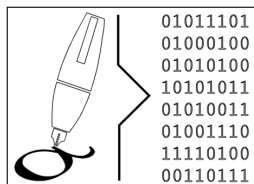


JANUSZ A. ZAJDEL

PARADYZJA

Data wydania : 1966 r.



Rozdział I

Statek wykonał niewielki zwrot. Obraz platformy orbitalnej zniknął z pola widzenia, Tibor zamknął wizjer i odwrócił się twarzą do Rinaha. Przez chwilę milczeli obaj.

Pierwszy oficer frachtowca „Regina Vacui” uściśnął dłoń Rinaha. Zawahał się, szukając odpowiednich słów.

— Pomyślności i szczęśliwego powrotu. Będziemy czekać, dopóki nie wrócisz. W razie opóźnienia wymyślimy jakąś awarię.

— Dziękuję. Postaram się nie sprawiać kłopotu — uśmiechnął się Rinah.

Tibor dostrzegł, że śniada twarz pasażera jest jakby bledsza.

— Uważaj, Rinah — powiedział, kładąc drugą dłoń na jego ramieniu. — Paradyzycyzcy to dziwni ludzie.

— Tak się twierdzi u nas, na Ziemi, ale sam mówiłeś, że prawie ich nie znasz. Któż więc może o nich wiedzieć prawdę?

— Jestem tutaj po raz szósty, a nigdy nie udało mi się dotrzeć dalej niż na platformę orbitalną.

— Jak daleko jest stąd do Tartaru? — Rinah podszedł do mapy nawigacyjnej rozpostartej na stole.

— Średnia odległość orbity, po której krąży platforma, od powierzchni Tartaru wynosi dwadzieścia siedem tysięcy kilometrów. Żaden obcy statek nigdy nie został dopuszczony bliżej. Tutaj odbywa się rozładunek towarów, które przywozimy. Stąd też odbieramy nasz ładunek powrotny.

— Co zabieracie tym razem?

— Tantal, wolfram, platynowce i trochę wzbogaconych rud rzadkich metali. Dostarczają to wszystko wahadłowcami bezpośrednio z Tartaru, w typowych kontenerach. Zwykle postój trwa około czterech tygodni, a załoga nie opuszcza statku. Nawet nasze przedstawicielstwo dyplomatyczno-handlowe umieszczono tutaj, na platformie.

— A Paradyzja? Na mapie nie widzę jej orbity.

— Sami chcielibyśmy wiedzieć, gdzie ona jest — zaśmiał się Tibor. — Nikt tego nie wie. Przypuszcza się, że krąży gdzieś w odległości paruset kilometrów

nad Tartarem, ale to nic pewnego.

— Nie zlokalizowaliście jej nigdy?

— Nie. Nikt jej nie widział. Z tej odległości to przecież kruszynka! Cztery tysiące metrów średnicy...

— Ale... chyba przy użyciu radiolokacji...

— Narazilibyśmy się co najmniej na poważne kłopoty, próbując użyć tu jakiegokolwiek lokalizatora radarowego lub laserowego — uśmiechnął się Tibor. — Oni są wściekle wrażliwi na punkcie własnego bezpieczeństwa. Orbita Paradyzji jest jedną z najgłębszych tajemnic tego układu. Z materiałów informacyjnych, rozpowszechnianych przez nich samych, możesz dowiedzieć się mnóstwa ciekawych rzeczy. Znajdziesz tam nawet dość dokładny opis konstrukcji i wyposażenia Paradyzji, jej wymiary, prędkość obrotową... Tylko o parametrach orbity i czasie obiegu ani słowa. Kiedy podchodzimy do platformy orbitalnej, która jest jedynym portem przeładunkowym i stacją pośrednią w drodze do Tartaru i Paradyzji, musimy wyłączać wszystkie własne urządzenia namiarowe. Oni sami naprowadzają nas sygnałami radiolatarń.

— Stare obciążenia psychiczne — westchnął Rinah. — Mam nadzieję, że wreszcie uda nam się przełamać tę ich nieufność. Może mój pobyt będzie dobrym początkiem...

— Zamierzasz napisać reportaż?...

— Może nawet całą książkę. Bądź co bądź, to przecież pasjonujący temat, ten sztuczny świat i zamieszkujący w nim ludzie. Jakże inne musi być ich życie od wszystkiego, co jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

Czerwony sygnał i donośny brzęczyk oznajmiły ostatnią fazę zbliżenia. Frachtowiec podchodził do platformy, by połączyć się z nią systemem zaczepów i śluz przejściowych. Rinah i Tibor zajęli miejsca w fotelach kabiny nawigacyjnej.

Rozdział II

Pomieszczenie, do którego Rinah dotarł długim, krętym korytarzykiem prosto ze śluzy, było czymś w rodzaju poczekalni dla pasażerów. W porównaniu z ogromem platformy satelitarnej stanowiło maleńką klitkę. Świadczyło to o znikomym ruchu pasażerskim pomiędzy Paradyzją i resztą Wszechświata. Jak się Rinah dowiedział uprzednio, platforma służyła także jako stacja pośrednia dla ruchu pomiędzy Tartarem a Paradyzją, co było trudne do zrozumienia, jeśli weźmie się pod uwagę wzajemną konfigurację przestrzenną tych trzech obiektów: Paradyzja była sztucznym satelitą Tartaru, obiegającym planetę na wysokości kilkuset kilometrów; platforma zaś krążyła znacznie dalej i wstępowanie tam w drodze między Tartarem a Paradyzją zdawało się być czymś nielogicznym.

Po namyśle jednakże Rinah znalazł racjonalne wyjaśnienie tej pozornej nielogiczności. Po prostu pasażerowie byli tylko drobnym dodatkiem do ładunków, przewożonych tu głównie na dwóch trasach: surowce eksportowane z Tartaru poza układ szły bezpośrednio na platformę; natomiast cały import, przychodzący spoza układu, rozwożono — stosownie do potrzeb — na Tartar i na Paradyzję. Stąd też ruch pasażerski, odbywający się na minimalną skalę, korzystał z tych dwóch szlaków przelotów, bezpośrednie loty między Paradyzją a Tartarem musiały być niezbyt częste, a uruchamianie specjalnych kursów pasażerskich dla nielicznych podróżnych nie miało widać uzasadnienia.

Rinah rozejrzał się po małej poczekalni. Zauważył od razu, że dzieli ją na dwie części szklista ściana bez drzwi czy jakiegokolwiek przejścia. W części, gdzie się znalazł, stała tylko miękka kanapa pokryta białą imitacją skóry. Stawiając walizkę na seledynowym dywanie obok kanapy, dostrzegł nieskazitelną czystość dywanu i białej dermy, co wyraźnie świadczyło o niezmiernie rzadkim używaniu tej części poczekalni. Po drugiej stronie przejrzystej ściany dywan był mocno wytarty, a dwie stojące tam kanapy nosiły wyraźne ślady używania.

„Port tranzytowy planety Tartar wita podróżnych przybyłych spoza układu — powiedział damskim miękkim głosem megafon pod sufitem. — Odlot wahadłowca do Paradyzji nastąpi w ciągu najbliższych trzydziestu minut”.

Rinah był jedynym pasażerem spoza układu. Po drugiej stronie szklistej ściany

oczekiwały jeszcze trzy osoby. Młoda kobieta w długiej, połyskującej brokatem sukni i dwaj przechadzający się prawie jednakowo ubrani mężczyźni, równocześnie spojrzeli na Rinah, który lekko się skłonił i uśmiechnął się przyjaźnie.

Kobieta odpowiedziała wyraźnym uśmiechem. Rinah stwierdził, że jest bardzo ładna, choć umalowana nieco przesadnie i uczesana z nadmiarem fantazji. Mężczyźni obojętnie, chłodno odwzajemnili ukłon i nadal przechadzali się ramię w ramię wzdłuż poczekalni. Z ruchów ust można było wnioskować, że rozmawiają, lecz ściana dokładnie tłumiała ich głosy.

Po chwili, siedząc już na miękkich poduszkach kanapy, Rinah dostrzegł coś zdumiewającego w sposobie, w jaki się poruszali rozmawiający mężczyźni: dochodząc do końca poczekalni nie zawracali — jak czyni się to normalnie, by zmienić kierunek przechadzki — lecz rozpoczynali marsz do tyłu, powoli, krok za krokiem, aż do przeciwległej ściany. Robili to najwyraźniej machinalnie i z dużą wprawą, znakomicie radząc sobie z zachowaniem kierunku i nie przerywając ani na chwilę ożywionej rozmowy. Wyglądało to, jak puszczony omyłkowo w przeciwną stronę odcinek niemego filmu.

Kobieta siedziała w rogu kanapy. Obok niej stała spora podróżna torba, w której — prawdopodobnie dla zabicia czasu — robiła porządki, wyjmując i układając na nowo różne drobiazgi. Gdy zwróciła głowę w bok, w stronę ściennego zegara cyfrowego, Rinah stwierdził, że jej profil jest również bardzo interesujący. Patrzył na nią, dopóki nie rzuciła w jego stronę szybkiego spojrzenia. Wówczas przeniósł wzrok na dwóch spacerujących. Byli w średnim wieku, o jednakowych, bujnych i rozwichrzonych fryzurach ze siadami siwizny. Z założonymi w tył rękami i opuszczonymi nieco głowami kontynuowali swój niezwykle wahadłowy spacer. Kobieta najwyraźniej nie okazywała zdziwienia sposobem ich poruszania się, więc Rinah, przypomniawszy sobie jedną z dobrych rad Mac Leoda, przestał się na nich gapić.

„Ilekoć coś wyda ci się dziwne, przypomnij sobie, gdzie jesteś, i zamiast się dziwić, spróbuj zrozumieć” — powiedział Mac Leod, gdy sześć lat temu żegnał Rinah przed odlotem, na kosmodromie Estavalhar.

Teraz prawie u celu podróży, Rinah przypomniał sobie te i inne jeszcze uwagi i rady przyjaciela, który — nie da się tego ukryć — wmówił mu tę podróż. Ani przedtem, ani teraz Rinah nie potrafiłby powiedzieć, czy słusznie postąpił, ulegając namowom. Podróż była dla niego przede wszystkim szansą zdobycia unikalnego materiału literackiego. Ten aspekt przeważał i skusił go ostatecznie. Całą resztę spraw, które miał do załatwienia, uważał za fanaberie Mac Leoda i paru jego zwariowanych kompanów. Ścisłej mówiąc, uważał tak przed odlotem. Teraz nie był już za bardzo pewien słuszności własnych sądów o Mac Leodzie i jego pomysłach.

Kolejny komunikat, wzywający do zajmowania miejsc w promie, wyrwał go z płytkiej drzemki. Wstał powoli i, zabierając walizkę, przeszedł przez bramkę.

Krótkim korytarzykiem dotarł do wnętrza kabiny z czterema fotelami. Wybrał pierwszy z brzegu, umieścił walizkę w uchwytach i zapinając pasy rozejrzał się po mrocznej kabinie.

Za fotelami dostrzegł szklistą ścianę, przez którą widać było następne trzy rzędy foteli. Pozostali pasażerowie sadowili się właśnie, przybyły jakieś dwie nowe osoby, oprócz tych, które widział w poczekalni.

Stosownie do rady Mac Leoda, usiłował zrozumieć przyczynę ciągłej izolacji od pozostałych pasażerów.

„Zapewne chodzi tu o względy sanitarne” — pomyślał. Było to dość prawdopodobne, łatwo sobie wyobrazić, czym groziłoby zawleczenie do Paradyzji jakiejś ziemskiej choroby zakaźnej.

W chwili startu promu Rinah odczuł lekkie podniecenie na myśl, że za kilka godzin znajdzie się w niezwykłym, legendarnym i jedynym w swoim rodzaju świecie zamieszkanym przez miliony ludzi, żyjących w warunkach skrajnie odmiennych od ziemskich — a mimo to zadowolonych ze swego losu i ponoć szczęśliwszych nawet niż ich ziemscy bracia...

Rozdział III

Kabina promu pozbawiona była urządzeń wizyjnych, pozwalających śledzić przebieg podróży. Było to zgodne z normalną, stosowaną tutaj praktyką. Według Tibora, nikomu spoza tego układu nie udało się dotychczas obejrzeć Paradyzji z zewnątrz, z bliska ani z daleka. Jej opisy, schematy i fotografie były jednakże szeroko znane i ogólnie dostępne. Rinah przestudiował je dokładnie przed odlotem z Ziemi i miał dość jasne wyobrażenie o budowie i wyglądzie satelity planety Tartar.

Przed wyruszeniem w podróż Rinah był wielokrotnie przestrzegany przez znawców przedmiotu, by mówiąc o Paradyzji starał się unikać określenia „satelita”. Jej mieszkańcy są na tym punkcie niezmiernie wrażliwi. Według nich, Paradyzja jest faktycznym ośrodkiem ich cywilizacji i nie przystaje do niej dwuznaczne miano „satelity”. Jest suwerenną planetą, sztuczną wprawdzie i stosunkowo niewielkich rozmiarów, lecz panująca nad bogactwami Tartaru, stanowiącego jej gospodarcze i surowcowe zaplecze.

Ostrość sformułowań dotyczących tej, formalnej na pozór, sprawy nazewnictwa, stawiała się zrozumiała dopiero w świetle faktów historycznych, związanych z początkami tartaryjskiego osadnictwa. Współczesne Rinahowi realia astropolityczne nie uzasadniały jakichkolwiek obaw w kwestii uznania suwerenności Paradyzji przez pozostałe centra ludnościowe. Jednakże — z bliżej nie znanych powodów — Paradyzyjczycy wciąż nie mogli pozbyć się nieufności wobec wszystkich dokoła.

Nawet sprawa pozornie tak prosta, jak uzyskanie zezwolenia na odwiedzenie Paradyzji przez pisarza z Ziemi, okazała się problemem na miarę międzygwiazdnej dyplomacji...

Opuszczając prom Rinah czuł się niepewnie — jak człowiek wkraczający do wnętrza potężnego statku kosmicznego jakichś obcych istot. Na próżno usiłował perswadować sobie w myślach, że Paradyzja to po prostu sztuczna planeta, dzieło rąk ludzi takich samych jak on. Podświadomie czuł, że nie mogą być tacy sami, że stuletnia izolacja musiała spowodować istotne różnice — w sposobie myślenia, w obyczajach, języku — między mieszkańcami tego świata i ich dalekimi braćmi

na Ziemi.

Ponadto odmienność warunków życia może sprawić, że niełatwo mu będzie nawiązać z nimi psychiczny kontakt, zrozumieć ich, poznać i opisać... Czuł się odpowiedzialny za obraz Paradyzyjczyków, jaki przedstawi Ziemianom w zamierzonej książce. Wiedział, że nikt inny nie miał dotychczas tak dogodnej okazji, takiej szansy poznania z bliska realiów życia w świecie, skrzętnie kryjącym, swe tajemnice przed oczyma obcych przybyszów.

Spodziewał się, że Paradyzyjczykom będzie zależało na tym, by ich portret był w miarę wierny i pełny. Jeśli po długim namyśle zgodzili się wreszcie przyjąć u siebie pisarza z Ziemi i pokazać mu przynajmniej wycinek swej codzienności, to zapewne postarają się nie utrudniać mu zadania.

Tymczasem — odkąd wysiadł z frachtowca na orbitalnej platformie tranzytowej — od świata Paradyzji oddzielały go wciąż przejrzyste ściany, głuszące nawet rozmowy przygodnych towarzyszy podróży.

W sali przylotowej paradyzyjskiego terminalu, która witała go barwnymi planszami, obrazującymi osiągnięcia z ostatniego okresu sprawozdawczego, znalazł się także w wydzielonym korytarzyku za przejrzystą ścianą. Widział pozostałych pasażerów, znikających w bramkach wyjściowych. Kobieta w długiej sukni wychodziła ostatnia. Spojrzała w stronę Rinaha, zatrzymała się na chwilę i pozdrowiła go ruchem dłoni. Skłonił się i uśmiechnął, a potem patrzył, jak oddalała się w kierunku wyjścia.

„Pasażerowie spoza układu proszeni są do odprawy paszportowej” — powiedział głos z megafonu.

Zaraz za drzwiami, które rozwarły się przed nim u końca przejścia, czekał go pierwszy, dość intensywny kontakt z tubylcami. Kolejno pozbawiony został walizki, paszportu, a w następnym pomieszczeniu — także całej odzieży wraz z zawartością kieszeni. Tutaj nie było już przejrzystych ścian pomiędzy nim a urzędnikami komory kontrolnej, choć wyczuwało się innego rodzaju przegrodę — niematerialny mur nieufności i podejrzliwości. Funkcjonariusze rzucali pojedyncze słowa, popierając je wymownymi gestami wyciągających się ku niemu dłoni, a oddawane im przedmioty błyskawicznie znikwały gdzieś z oczu Rinaha.

Stojąc pod natryskiem, który niespodziewanie chlusnął na niego deszczem zbyt chłodniej i dziwnie pachnącej wody, zastanawiał się, co z osobistych rzeczy uda mu się zachować. Strumyki wody ustały nagle, ciepły podmuch owiał jego ciało i włosy, po chwili drzwiczki kabiny otworzyły się. Rinah przeszedł do szatni, gdzie znalazł swoje ubranie. Nakładając je stwierdził, że miejscami nadpruto niektóre szwy, gdy zaś chciał się uczesać, nie znalazł w kieszeni grzebienia. Pomacał inne kieszenie — wszystkie były puste. Z rozwichrzonymi, wilgotnymi jeszcze włosami przeszedł następne drzwi, kierowany zieloną strzałką migoczącą na ścianie. W pomieszczeniu przedzielonym szerokim blatem przypominającym sklepową ladę, siedział gruby funkcjonariusz w srebrnoszarym uniformie. Na bla-

cie rozłożona była cała zawartość walizki i kieszeni Rinaha.

— Rinah Devi — odczytał powoli grubas wertując paszport, a potem przyjrzał się uważnie twarzy przybysza.

— To ja — uśmiechnął się Rinah.

Funkcjonariusz mruknął coś pod nosem i schował paszport do szuflady.

— Zwrot dokumentów przy wyjeździe — powiedział szorstko. — Masz zezwolenie na czterotygodniowy pobyt w Pierwszym Segmencie, poziom dziesiąty. Oto twój identyfikator.

Na pulchnej dłoni podał Rinahowi plastikową obrączkę.

— Nosi się w ten sposób — pokazał swój identyfikator, nałożony na środkowy palec prawej dłoni. — To możesz zabrać, a tamto zostanie w depozycie.

Dłonią nakreślił linię w poprzek blatu. Rinah spojrzął na zakwestionowane drobiazgi: zegarek, grzebień, dwa motki nici z przybornika do szycia, stalowa sprężynka z długopisu, jedna z książek — kolorowy album z widokami architektury, przywieziony jako ewentualny podarunek dla kogoś spośród gospodarzy — oraz kawałek cienkiej aptecznej gumki, który widać przypadkiem zaplątał się gdzieś na dnie walizki.

— Czy tutaj nie wolno się czesać? — spytał Rinah z lekką irytacją.

— Twój grzebień nie odpowiada naszym przepisom. Musisz pobrać inny z magazynu.

— A zegarek?

— Nie używamy tu indywidualnych czasomierzy. Czas miejscowy podawany jest przez system informacyjny. Czy używasz peruki szkieł kontaktowych?

— Nie! — Rinah szarpnął dłonią rozwichrzone włosy, by udowodnić, że nie są peruka, a potem nachylił się w kierunku grubasa i wytrzeszczył oczy, by ten mógł przekonać się, że nie ma w nich soczewek.

— Dobrze, dobrze! — funkcjonariusz odsunął się nerwowo. — Możesz to zabrać, resztę zwrócimy przy wyjeździe.

Rinah zgarnął do walizki część swoich rzeczy, pozostałe upchał po kieszeniach.

— Czy... to już wszystko?

— U mnie, tak. — Grubas uśmiechnął się ironicznie. — Przejdź do następnego pokoju.

Kolejny urzędnik — młody, energiczny cywil — posadził Rinaha przy pulpicie z mikrofonem i zarzucił go serią szybkich pytań, pozornie bez związku. Rinah starał się odpowiadać spokojnie i rzeczowo. Potem został poinformowany o bezwzględnej konieczności podporządkowania się miejscowym prawom i przepisom i dowiedział się, że za wykroczenia może być ukarany zgodnie z miejscową procedurą.

— Nie znam tutejszych praw — zauważył Rinah. — Czy mógłbym otrzymać jakiś informator?

— To żaden problem — uśmiechnął się urzędnik. — W każdej chwili możesz poznać aktualny stan prawny, korzystając z teleinformacji. Przecież i tak nie nauczysz się całego kodeksu na pamięć, nie mówiąc już o wszystkich zmianach i uzupełnieniach. Twój przewodnik wyjaśni ci jutro, na czym polega nasz system prawny. Poza tym chcę zauważyć, że przybyłeś tutaj jako literat, by zbierać informacje o naszym społeczeństwie. Czy jest to jedyny cel twojego pobytu w Paradyzji?

— Oczywiście. Podałem to w formularzu wizowym.

— W porządku. Wobec tego wszelkie próby zbierania informacji na inny temat, jak również rozpowszechniania jakichkolwiek informacji nie mieszczą się w ramach zezwolenia i mogą być podstawą do wydalenia cię z Paradyzji. Co najmniej wydalenia. Czy dobrze to rozumiesz?

— Tak sadzę. Czy mam podpisać jakieś oświadczenie w tej sprawie? — spytał Rinah chłodno, zniecierpliwiony już tą przydługą rozmową i zmęczony podróżą.

— Unikamy tutaj zbędnych papierków. Rozmowa została zarejestrowana, zgodnie z naszym prawem wystarcza to jako dowód. Ponadto informuję cię, że głos twój został utrwalony w centralnym rejestrze fonicznym i każda twoja wypowiedź może być w razie potrzeby zidentyfikowana i przypisana tobie na podstawie indywidualnych cech mowy. Czy przywiozłeś papier do pisania?

— Tylko jeden notatnik. Uprzedzono mnie, że notatki mogę prowadzić jedynie w formie zapisu fonicznego, więc zabrałem dyktafon.

— Uprzedzam, że strony twojego notatnika zostały policzone i specjalnie oznakowane. Przy wyjeździe nie może brakować ani jednej z nich. W Paradyzji nie używamy papieru. Do przekazu i zapisu informacji dopuszczone są tylko środki audiowizualne.

— A książki? Nie używacie książek?

— Tylko w formie zapisu dźwiękowego. Dla przybyszów z zewnątrz robimy wyjątek, ale przywiezione książki musisz stąd zabrać przy wyjeździe.

Urzędnik patrzył chwilę na Rinah, jakby usiłując jeszcze coś sobie przypomnieć, lecz widocznie dostrzegł na twarzy przybysza zmęczenie i senność, bo wstał i, uśmiechając się z przymusem, powiedział:

— To wszystko. Proszę poczekać w następnym pokoju. Za chwilę przyślemy porządkowego, który zaprowadzi cię do twojego mieszkania.

— Czy mógłbym dostać coś do jedzenia? Nie jadłem kolacji... — bąknął Rinah.

— Niestety. O tej porze już nie dostaniesz. Wszystkie jadalnie otwierają się dopiero o szóstej rano. O tej porze — urzędnik wskazał na cyfrowy zegar na ścianie, wskazujący dwudziestą trzecią pięćdziesiąt — nikt z mieszkańców nie korzysta już z posiłków, a gości miewamy tu bardzo rzadko.

Ziewnął ukradkiem, a Rinah uświadomił sobie, że cały personel komory kontrolnej zmobilizowano o tak późnej porze specjalnie dla niego, jednego jedynego

przybysza.

Oczekując na porządkowego notował w pamięci przebieg całej długiej procedury kontrolnej oraz wszystko to, czego dowiedział się od chwili przybycia do Paradyzji. Niektóre szczegóły mogły wywoływać zdziwienie — jak na przykład owa nieszczęsna sprężynka od długopisu albo grzebień, zarekwirowane przez celnika. Ale — ogólnie biorąc — wszystko to nie wносиło wiele nowego do jego zasobu wiedzy o świecie Paradyzji — poza tym, że potwierdzało pogłoski o drobniagowej przezorności jej gospodarzy, częstokroć niezrozumiałej dla przybysza.

Rozdział IV

— Ten korytarz ma dwa kilometry długości — powiedział porządkowy, zatrzymując się obok Rinaha po wyjściu z komory kontrolnej. — Takie korytarze są głównymi ciągami komunikacyjnymi na wszystkich piętrach każdego segmentu.

— Imponujące! — Rinah patrzył przez chwilę wzdłuż tunelu, którego podłoga, ściany i jarzący się błądą poświatą strop zbiegały się prawie do jednego punktu w dalekiej perspektywie.

— Korytarz biegnie wzdłuż całego segmentu, równoległe do jego osi — objaśniał porządkowy. — W dzień jest tu jasno i tłoczno. Nocą tylko służba porządkowa patroluje korytarze. Chodźmy, zaprowadzę cię do jednego z pokoi rezerwowych. Nie mamy właściwie żadnych pomieszczeń hotelowych, zbyt rzadko przybywa tu ktoś z zewnątrz...

Porządkowy był wyraźnie podekscytowany spotkaniem z gościem z Ziemi. Starał się być uprzejmy i usłusznie udzielał wyjaśnień, uprzedzając pytania.

Ściany były szkliste jak przegrody, które Rinah widział w poczekalni stacji tranzytowej i w hallu przylotowym, lecz w pomieszczeniach przylegających do korytarza było ciemno i trudno było dostrzec, co się w nich znajduje. Co kilka kroków mijali zamknięte drzwi — także ze szkliva, rozsuwane, jedno lub dwuskrzydłowe. Na niektórych widniały barwne piktogramy. Wynikało z nich, że drzwi prowadzą do barów, sklepów lub warsztatów usługowych. Rinah nie zauważył żadnych napisów ani reklam słownych, wszystko wyrażone było prostymi, symbolicznymi rysunkami.

— Musimy dostać się na dziesiąte piętro. Najbliższa winda jest o pięćset metrów stąd — powiedział porządkowy. — Może pomóc ci nieść walizkę?

— Dziękuję, jest raczej lekka. W ogóle czuję się tu lekko. Jakie macie ciśnienie?

— Średnio około zero osiem, na środkowych poziomach. Tutaj, na pierwszym, jest o dziesięć procent większe, a na ostatnim, najwyższym, o tyleż mniejsze.

— Czy to wam nie przeszkadza?

— Co? Wielkość siły ciśnienia?

— Nie, te zmiany wraz ze zmianą poziomu.

— To żaden problem. Po prostu: nie mamy potrzeby przemieszczać się z poziomu na poziom. Pełniąc służbę nie bywam wyżej niż na dziesiątym. W tym zakresie wysokości zmiana grawitacji jest niewyczuwalna.

— S z t u c z n e j grawitacji — uśmiechnął się Rinah.

— Sami zrobiliśmy ten świat, to i grawitację musieliśmy stworzyć. Wcale nie gorsza niż wasza.

— Nawet lepsza! Można ją regulować.

— To zbędne. Dobrze nam z taką, jaka jest. Wyobrażasz sobie, ile energii kosztowałaby taka regulacja?

— Pewnie. Przecież Paradyzja to kolos.

— Największy sztuczny twór w zamieszkanym Kosmosie — powiedział porządkowy z dumą — i najlepszy ze światów, jakie istnieją.

— Byłeś gdzie indziej?

— Na innych planetach? Nie.

— A na Tartarze?

Rinah złowił niespokojne łypnięcie swego przewodnika,

— Też nie. Tam jest bardzo niebezpiecznie. Wolę pracować tutaj — powiedział wyraźnie i jakby trochę za głośno. — Mamy windę!

Otworzył drzwi szybu, do których właśnie dotarli. Klatka windy była obszerna, mogłaby pomieścić co najmniej dwadzieścia osób.

— Mówiłeś, że rzadko przenosicie się na inne poziomy.

— Po prostu nie ma to sensu. Każde piętro jest samowystarczalne, na każdym jest mniej więcej to samo... No, może nie wszystko... Specjalistyczne szkoły i wyższe uczelnie są na przykład rozmieszczone co kilka poziomów. Ale przecież na każdym mieszka ponad sto tysięcy ludzi... Mierząc waszą miarą, to chyba duże osiedle, prawda?

— Nawet spore miasto. Tyle że u nas... jest trochę więcej miejsca — zauważył Rinah.

— Kwestia przyzwyczajenia. Dwadzieścia metrów kwadratowych na osobę to wcale nie tak mało. Wystarcza i na mieszkania, i na pomieszczenia użytku ogólnego.

Winda zatrzymała się. Tutaj, na górze, korytarz był równie pusty jak na dole i wyglądał identycznie. W drodze do najbliższego skrzyżowania z poprzecznym korytarzykiem minęli porządkowego.

Obaj funkcjonariusze wymienili gesty powitania, tutejszy z zainteresowaniem obejrzał przybysza.

— Gość z Ziemi — oznajmił przewodnik Rinaha.

Tamten kiwnął głową, raz jeszcze przyjrzał się nowemu mieszkańcowi swojego rewiru i powoli ruszył na dalszy obchód.

— Musimy teraz zachowywać się w miarę cicho — powiedział porządkowy i podszedł do jednego z szeregu drzwi w ścianie korytarza.

Otworzyły się, gdy zbliżył do nich prawą dłoń. Weszli do ciemnego pomieszczenia. Drzwi zasunęły się cicho, Rinah poczuł pod stopami miękki chodnik. W zupełnej ciemności dostrzegł przed sobą tylko zielony punkt świecący gdzieś pod sufitem.

— Chodź — Rinah usłyszał szept przewodnika. — Trzymaj mnie za ramię, żebyś się nie zgubił.

Przez długą chwilę szedł na oślep, starając się nie zgubić walizki, która od czasu do czasu zaczepiała o framugi mijanych drzwi, które rozsuwały się cicho, a potem zamykały.

— No, to już jesteśmy — powiedział porządkowy za kolejnymi drzwiami. — Dostałeś pokój dość blisko centralnego korytarza, żebyś nie błądził.

Sufit rozjarzył się słabo, lecz wystarczająco, by Rinah mógł rozejrzeć się po pomieszczeniu. Kwadratowy pokój o powierzchni około dziesięciu metrów miał w środku każdej ściany zamknięte drzwi, nad którymi paliła się mała zielona lampka sygnalizacyjna. Oprócz tego, w czterech kątach dostrzegł parę mebli: jakiś tapczan, dwa duże fotele, stolik i jeszcze kilka przedmiotów.

— Ze względu na oszczędność miejsca, nie mamy tu osobnych dojść do każdego pomieszczenia. Do pokoi nie sąsiadujących z korytarzem wchodzi się przez przyległe pomieszczenia — wyjaśnił porządkowy.

— Jak to? Przez cudze mieszkania? — zdumiał się Rinah.

— Tutaj wszystko jest nasze, wspólne. Jesteśmy jak jedna rodzina.

— Jednakże... to chyba okropnie przeszkadza?

— Dlatego prosiłem o zachowanie ciszy. O tej porze w ogóle się nie chodzi po korytarzach ani po pokojach. Godziny wypoczynku trwają od dwudziestej trzeciej do piątej rano. Musisz o tym pamiętać, bo później nie dostałbyś się do siebie.

— Jak to?

— Drzwi są centralnie blokowane, żeby nikt nikomu nie zakłócał wypoczynku. Tylko służba porządkowa ma uniwersalne identyfikatory umożliwiające otwieranie wszystkich przejść. Gdyby ci się przytrafiło nie zdążyć przed jedynastą do domu, musisz szukać porządkowego, żeby cię doprowadził. Jednak nie należy do tego dopuszczać. Nie wiem, jak będzie to traktowane w twoim przypadku, ale tubylcy są za takie przewinienia karani. No, to życzę przyjemnego snu. Rozjaśnienie jest o szóstej rano. Numer twojego pokoju masz wyryty na identyfikatorze. Gdybyś zablądził, każdy wskaże ci kierunek. W ciągu dnia można swobodnie przechodzić przez wszystkie pomieszczenia całego piętra. Kabiny sanitarne są rozmieszczone w narożnikach, jedna na cztery pokoje. To chyba na razie wszystko, co powinieneś wiedzieć.

— A... inne piętra? Czy wolno mi korzystać z windy?

— To... wymaga pewnych formalności. Najlepiej nie ruszaj się stąd, dopóki nie zjawi się przewodnik.

— Przewodnik?

— Tak, każdy przybysz otrzymuje tu przewodnika. Powinien zgłosić się koło ósmej.

— Dziękuję za pomoc i informacje.

— To mój obowiązek — powiedział porządkowy. — Światło gasi się przyciskiem obok drzwi.

Rinah został sam pośrodku pokoju. Przez chwilę jeszcze rozglądał się w półmroku, wreszcie z rezygnacją postawił walizkę pod ścianą, zgasił światło i, zrzuciwszy ubranie, wsunął się pod cienki koc. Na szczęście było dość ciepło.

Rozdział V

Skrzeczący przerywany dźwięk rozbrzmiewał już od dłuższej chwili, gdy Rinah otworzył zaspane oczy. Zamknął je od razu, olśnione jasno rozjarzoną płaszczyzną sufitu. Półprzytomny, siedział przez kilkanaście sekund, czując pod bosymi stopami szorstkość chodnika. Natarczywy dźwięk atakował jego uszy — niecierpliwie, przynaglająco...

Uchylił powieki, by sprawdzić czas i dopiero, stwierdziwszy brak zegarka, przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Brzęczyk zamilkł nagle. Gdzieś spod sufitu rozległ się donośny, Spokojny baryton:

„Ogłasza się stan zagrożenia. Alarm pierwszego stopnia dla wszystkich segmentów. Służby specjalne na stanowiska. Ludność pozostaje w pomieszczeniach mieszkalnych, zajmując miejsca w fotelach. Wprowadza się selektywną blokadę przejść”.

Teraz dopiero, oswoiwszy oczy z jasnym światłem, Rinah popatrzył dokoła i ze zdumieniem stwierdził, że wszystkie ściany jego pokoju, a także sąsiednich i dalszych pomieszczeń, są kryształowo przejrzyste. Za szklistymi taflami, jak w wielokrotnym zwierciadlanym odbiciu, trwał powielony ruch, żwawa krzątania rozbudzonych, na wpół ubranych ludzi, wykonujących prawie równocześnie podobne czynności.

Drzwi rozsunęły się nagle, przez środek pokoju przebiegły trzy postacie, w pośpiechu dociągając zamki kombinezonów. Przeciwległe drzwi otwarły się i zamknęły za nimi bezszelestnie. Rinah patrzył przez chwilę, jak ta trójka, wyróżniająca się pomarańczowym kolorem kombinezonów, dyfunduje poprzez pokoje-akwaria, jakby przenikając przez ich ściany, by zniknąć gdzieś w głębi niekończącego się ciągu szklanych pudełek.

Powoli wstał i nakładając ubranie rozejrzał się po sąsiednich pokojach. Ich mieszkańcy działali jakby według wyuczonego schematu, prawie synchronicznie, bez śladu nerwowości czy podniecenia. Machinalne zapinali zamki kombinezonów, podchodzili do foteli, siadali w nich i nieruchomieli z oczami utkwionymi w jaskrawożółty prostokąt, świecący na szkliwie ściany każdego pokoju.

„Uwaga! Pełna blokada pomieszczeń!” — oznajmił głośnik.

Jakiś mężczyzna, w pośpiechu naciągając pomarańczową bluzę, wpadł do pokoju Rinaha. Drzwi, którymi chciał wyjść, nie otworzyły się przed nim, choć kilkakrotnie uderzył w nie otwartą dłoń.

— A niech to diabli! — warknął i obrócił się na pięcie. — O dziesięć sekund za późno. A ty na co czekasz?

Przybyły spojrzał na Rinaha, stojącego na środku pokoju.

— Jestem tu obcy — powiedział Rinah. — Przyleciałem wczoraj i nie mam pojęcia, co należy robić.

— Siadaj! Prędko, bo lecą punkty karne! — przynaglił go tubylec. — Obcy czy swój, alarm obowiązuje wszystkich.

Rinah zajął pośpiesznie miejsce w fotelu. Poczuł, jak uchwyt unieruchamiają jego tułów i głowę. Fotel był przymocowany do podłogi i nie dawał się obracać. Przed oczyma siedzącego migotał barwny prostokąt, mieniaący się teraz na przemian żółtym i czerwonym światłem. Kątem oka Rinah dostrzegł, jak nieznajomy siada na drugim fotelu.

— Powinienem teraz być przy stanowisku pomp awaryjnych — westchnął przybysz. — Drugi raz w tym miesiącu trafia mi się taki pech... Mówiłeś, że jesteś obcy?

— Tak. Z Ziemi.

— Jak udało ci się dostać wizę?

— Jestem pisarzem.

— Aa!... To znaczy, robisz reportaż dla waszej telewizji?

— Nie. Chcę napisać książkę o waszym świecie.

— Książkę... Aha, rozumiem. Nagranie foniczne?

— Nie, po prostu książkę, drukowaną na papierze.

— Nie znam się na tym. To jakieś ziemskie specjalności. Tutaj tego nie używamy.

Rinah milczał przez chwilę, obserwując barwny ekran. Pojawiły się na nim kolorowe figury geometryczne, jakieś uproszczone rysunki i symbole.

— Co się właściwie dzieje? — zagadnął sąsiada. Nie mógł przyjrzeć mu się dokładnie, bo uchwyt fotela nie pozwalał na odwrócenie głowy.

— Stan zagrożenia. Trzeba czekać na dalsze instrukcje.

— Czy mogło się stać coś groźnego?

— Zawsze może się zdarzyć... coś groźnego. Podczas alarmu trzeba przestrzegać instrukcji niezależnie od tego, co się stało.

Na ekranie ukazała się nagle twarz człowieka w srebrzystym kasku. W prawym górnym rogu obrazu pojawiły się cyfry zegara, pokazujące szóstą pięć.

„Dziś o godzinie piątej czterdzieści siedem służba porządkowa wykryła próbę zbrodniczej dywersji w rejonie zaczepów międzysegmentowych. Przystąpiono do usuwania wykrytych ładunków wybuchowych i kontroli wszystkich zaczepów.”

pów. Do czasu zakończenia akcji obowiązuje stan zagrożenia pierwszego stopnia. Utrzymuje się pełną blokadę przejść i łączności indywidualnej, pełne oświetlenie i przejrzystość, oraz obowiązek śledzenia komunikatów audiowizualnych”.

Twarz z ekranu zniknęła zaraz po ogłoszeniu komunikatu. Znowy pojawiły się jakieś figury i symbole, a z głośnika popłynęła poważna, powolna melodia.

— Co to znaczy? — spytał Rinah. — Te ładunki wybuchowe?...

— Nie wiadomo. Może to prawda, a może tylko założenie ćwiczebne. Dowiemy się po odwołaniu alarmu. Jeśli to tylko próbny alarm, to nie potrwa dłużej niż pół godziny. Skończy się na pogadance szkoleniowej. O, właśnie zaczynają!

Z głośnika zabrzmiał donośny sygnał trąbki, jakby dla dobudzenia sennych widzów unieruchomionych przed ekranami. Obraz ukazywał ruchomy model Paradyzji, zawieszony na tle gwiazd i majestatycznie obracający się wokół osi.

„W związku z ogłoszeniem stanu zagrożenia — mówił spiker — przypominamy wszystkim mieszkańcom Paradyzji podstawowe zasady ochrony planety. Wśród zagrożeń, jakie mogą występować, wyróżniamy: zewnętrzne, do których zaliczamy zagrożenia spowodowane zjawiskami naturalnymi i zagrożenia militarne, oraz wewnętrzne, które dzielimy na awarie techniczne i działania dywersyjne.

Skutkiem każdego z wymienionych typów zagrożeń może być, po pierwsze, poważne naruszenie warunków biologicznych we wnętrzu jednego lub wielu segmentów, po drugie, naruszenie mechanicznej więzi międzysegmentowej, co spowodować może unicestwienie naszego świata.

Proszę uważnie prześledzić na modelu różne warianty zdarzeń, powodujących wymienione typy zagrożeń...”

Na ekranie ukazał się schematyczny, animowany rysunek, pokazujący w uproszczeniu konstrukcję sztucznej planety. Rinah znał to zagadnienie dość dokładnie. Przygotowując się do podróży, pilnie studiował podobne schematy i opisy.

„Paradyzja jest sztucznym obiektem kosmicznym, stanowiącym największy we Wszechświecie ośrodek osadnictwa orbitalnego. (Komentarzowi towarzyszyły odpowiednie poglądowe obrazy na ekranie). Zbudowana jest w postaci zespołu dwunastu walcowatych elementów, zwanych segmentami. Każdy walec spojony jest z dwoma sąsiednimi wzdłuż linii tworzącej koło, stykając się z nimi boczną powierzchnią. Wszystkie walce tworzą zamknięty pierścień, przypominający wieniec łożyska tocznego. Cały ten wieniec obraca się wokół osi symetrii, równoległej do osi wszystkich walców i przebiegającej przez geometryczny środek bryły. Inaczej mówiąc, planeta nasza jest zamkniętym łańcuchem złożonym z dwunastu segmentów-ogniw, który można by porównać do łańcucha Galia, lecz o sztywnej konstrukcji połączeń.

Poszczególne segmenty spojone są systemem zaczepów, których wytrzymałość gwarantować musi zrównoważenie potężnej siły odśrodkowej, powstającej w wyniku obrotu całego układu. Obrót ten — jak wiemy — jest niezbędny do za-

pewnienia sztucznej grawitacji w każdym z segmentów, skierowanej na zewnątrz pierścienia.

Paradyzja jest jedynym w swoim rodzaju, wspaniałym wytworem sztuki astroinżynierskiej, zaprojektowanym sto lat temu przez twórcę naszej wspaniałej cywilizacji, komandora Cortazara i jego niezrównany zespół specjalistów. Genialna idea, która uratowała naszych przodków i dała początek rozkwitowi naszej społeczności, była powszechnie krytykowana przez ówczesnych Ziemian i osadników z innych, naturalnych planet różnych układów gwiazdnych. Znamy dobrze przyczyny ich niechęci i wręcz wrogości do nas, Paradyzjczyków.

Niezlomna wola pokoleń sprawiła, że idea Sztucznej Planety Nowego Rodzaju została wcielona w życie, stała się faktem. Jest to dziś solą w oku całej reszty zaludnionego Kosmosu. Wiele jest takich — na Ziemi i gdzie indziej — których marzeniem jest zniszczenie Paradyzji i zawładnięcie bogactwami planety Tartar. Dlatego musimy być czujni i nieufni. Planeta nasza, zbudowana wedle genialnego planu konstrukcyjnego, przez wieki opierać się może wszelkim naturalnym czynnikom destrukcyjnym. Niestraszne jej deszcze meteorów i kosmiczne promieniowania, lodowata próżnia i gorące promienie naszej gwiazdy. Jednak istnieją środki techniczne, które — pozostając w dyspozycji złych, przewrotnych sił destrukcji i przemocy — mogłyby spowodować zagładę Paradyzji wraz ze stu pięćdziesięcioma milionami jej mieszkańców. Wiemy o tym my i wiedzą nasi przeciwnicy. Wśród tych ostatnich znajdują się i tacy, którzy nie zawahaliby się dokonać tej zbrodni.

Musimy wszyscy pamiętać, w jak niezwykle, jedynych w swoim rodzaju warunkach egzystuje nasze społeczeństwo: od próżni kosmicznej oddziela nas gruba i trwała — lecz przecież nie niezniszczalna — powłoka zewnętrzna. Paradyzja krąży po orbicie wokół Tartaru i każde wytrącenie jej z normalnego toru może grozić katastrofą, upadkiem na Tartar lub ucieczką w nieskończoność, najgroźniejszym jednak z możliwych — a zarazem najbardziej prawdopodobnym zagrożeniem jest rozerwanie pierścienia segmentów, choćby w jednym tylko z dwunastu połączeń. Spowodowałoby to nieuchronne, natychmiastowe rozerwanie wieńca, rozłamanie go na pojedyncze elementy i rozpad Paradyzji na dwanaście niezależnych części rozbiegających się w różne strony Kosmosu, pozbawionych sztucznej grawitacji, wytrąconych z tartaryjskiej orbity, pędzących ku zagładzie — każdy z osobna, by spłonąć w ogniu gwiazdy, rozbić się o powierzchnię Tartaru lub ulecieć w przestrzeń”.

Obraz na ekranie ukazywał w animacji tę apokaliptyczną wizję, a głos spikera, odpowiednio modulowany, potęgował nastrój grozy. Rinah wyobraził sobie, że mogłoby to się zdarzyć podczas jego pobytu w Paradyzji i poczuł niemiły dreszcz przerażenia. Teraz już nie dziwił się ostrożności i nieufności, z jaką traktowano tu obcych. Jeśli nawet przesadą jest twierdzenie, że współczesna Ziemia planuje zniszczyć Paradyzję, to przecież wystarczyłby jeden szaleniec z termonuklearną

głowicą...

„Należy więc zawsze pamiętać, że Paradyzja istnieć może tylko j a k o c a -
ł o ś ć i każde naruszenie więzi mechanicznej, spajającej poszczególne jej seg-
menty, byłoby zgubne dla wszystkich jej obywateli. Dbłość o bezpieczeństwo
jest podstawowym obowiązkiem każdego Paradyzjczyka. Nie należy przy tym
zapominać, że oprócz zewnętrznych zagrożeń istnieją także wewnętrzne. Każdy
może być dywersantem, pragnącym zagrozić naszemu najlepszemu ze światów —
światu zbudowanemu przez ludzi dla ludzi, planecie zaprojektowanej w każdym
szczególe dla optymalnego zaspokajania potrzeb jej mieszkańców”.

Na ekranie pojawiły się znowu barwne piktogramy. Rinah poczuł, że jego gło-
wa uwolniona została z uścisku chwytała. Spojrzał w stronę sąsiedniego fotela.
Tubylec — mężczyzna w średnim wieku, grubawy i czerwony na twarzy, chra-
pał w najlepsze. Głośnik zabrzęczał krótkim, urywanym sygnałem. Człowiek na
fotelu zbudził się, spojrzał wkoło nieprzytomnym wzrokiem.

— Spałem?! — wykrzyknął ze zgrozą i wyrzutem. — Dlaczego mnie nie obu-
dziłeś?!

— Skąd mogłem wiedzieć?... Patrzyłem na ekran. Dla mnie była to dość
interesująca pogadanka.

— Tfu, do stu diabłów! — zaklął tubylec. — Dodatkowe punkty karne za
zamykanie oczu!

Głośnik obwieścił odwołanie alarmu i zdjęcie blokady przejść. Fotele uwolni-
ły siedzących na nich ludzi, na ekranie ukazała się twarz lektora, zapowiadającego
wiadomości poranne.

— Co za fatalny dzień! Co najmniej trzy dziesiąte do tyłu... Kiedy ja to od-
robię? — jęknął człowiek w pomarańczowym kombinezonie.

Rozdział VI

Przewodnik zjawił się już około siódmej i powitał Rinaha gorliwymi przeprosinami za poranny alarm.

— Na nasze usprawiedliwienie — powiedział, rozkładając bezradnie ręce — mogę tylko wyjaśnić, że sami nie jesteśmy w stanie przewidzieć terminu kolejnego alarmu ćwiczebnego. System awaryjny ogłasza stan zagrożenia, a obowiązkiem ludzi jest sprawne wykonywanie przydzielonych zadań.

Rinah, choć niewyspany i porządnie głodny, zapewnił przedstawiciela gospodarzy, że doskonale rozumie specyfikę miejscowych warunków. Przybysz nazywał się Alvi, a jego zadaniem — jak oznajmił — było udzielanie gościowi wszechstronnej pomocy podczas poznawania świata Paradyzji. Był młodym, sympatycznym blondynem o pogodnej twarzy i niebieskich, trochę rozbieganych oczach. Znając skrupulatność, z jaką Paradyzyjczycy dbali o bezpieczeństwo swej sztucznej planety, Rinah pomyślał, że zadania Alwiego nie ograniczają się do roli przewodnika. Aby uniknąć nieдомówień, spróbował nawet wyrazić głośno swe domysły.

— Och, nie! — zaśmiał się w odpowiedzi Alvi. — Teraz już nie korzysta się z takich sposobów. Od dawna zniesiono zasadę wzajemnego nadzoru, a nawet obowiązek meldowania spostrzeżeń. Naszego bezpieczeństwa nie możemy dziś opierać na podstawach tak niepewnych, jak subiektywna obserwacja. Nie tylko przybysze z zewnątrz, ale każdy, bez wyjątku, podlega nadzorowi Centralnego Systemu Bezpieczeństwa. Informacje o wszelkich czynach i zamiarach, mogących naruszyć stan równowagi fizycznej lub bezpieczeństwo planety, docierają natychmiast do głównego rejestru, gdzie są skrupulatnie analizowane. Zapewniam cię, że o próbie zaszkodzenia naszemu światu można tutaj co najwyżej pomyśleć, nic ponadto...

— Czy... systemowi bezpieczeństwa służą także te przejrzyste ściany? — Rinah wskazał na szklane tafle dzielące pokoje.

— W pewnym stopniu, aczkolwiek pośrednio... Ale to dość złożona sprawa. Myślę, że jesteś głodny. Proponuję więc pójść na śniadanie, a potem będzie dość czasu, by wyjaśnić wszystko, czego będziesz ciekaw. A ściany... — Alvi pod-

szedł do jednej z tafli i dotknął jakiegoś punktu w jej dolnej części. — Możesz uczynić je nieprzezrystymi, jeśli czujesz się skępowany.

Ściana utraciła nagle przezroczystość i stała się szarobłękitna jakby ktoś z zewnątrz chlusnął na szkło olejną farbą.

— Ach, więc to tak! — uśmiechnął się Rinah. — To zmienia postać rzeczy. Zastanawiałem się, jak można stale mieszkać w takiej gablotce...

— Można się do tego przyzwyczaić. My bardzo rzadko zasłaniamy ściany naszych pokoi. Porządny człowiek nie ma właściwie niczego do ukrywania w swym codziennym życiu. Szklana, przejrzysta ściana to jakby legitymacja, wizytówka szczerego, uczciwego obywatela. O ile dobrze pamiętam, w którymś ze starych ziemskich utworów literackich była przedstawiona wizja „szklanych domów”. My ją właśnie zrealizowaliśmy. A poza tym, taki wizualny kontakt z sąsiadami stwarza bardzo silną więź między ludźmi, integruje społeczność całego piętra... Ja wiem, dla ciebie, przywykłego do nieprzezrystych ścian i murów, taki wgląd do sąsiednich mieszkań może wydawać się czymś niewłaściwym. Ale, zauważ, my nie mamy okien na świat, na krajobraz... A właściwie... mamy właśnie ściany, przez które widzi się to, co jest jedynym światem i krajobrazem tej planety miejsca przebywania innych ludzi. Zapewniam cię, że daje nam to poczucie bezpieczeństwa. Domyślam się, że trudno ci to pojąć...

— Staram się was zrozumieć, a to, co mówisz, przekonuje mnie... w pewnym stopniu.

— Istnieje jeszcze pewne uzasadnienie historyczne... W czasach, gdy nasi przodkowie zaczęli budować wewnątrz Paradyzji, mieli do dyspozycji tylko gołe stalowe pomosty, dzielące każdy segment na poszczególne poziomy. W pierwszych latach budowy planety ludzie obozowali grupami na tych rozległych pomostach, a granice obozowisk znaczone białymi liniami na podłodze. Nie było to najwygodniejsze rozwiązanie, ale wówczas stanowiło jedyną możliwość. Sąsiedzi przeszkadzali sobie nawzajem, dzieci hałasowały... Nim jednak powstały ściany mieszkań, wszyscy już zdążyli przywyknąć do takiego stanu, nauczyli się przechodzić bez hałasu przez teren sąsiadów i nie zwracać uwagi na ich prywatne życie. Coś nam z tego pozostało, jakieś nawyki, sentymenty...

— Więc ściany zostały celowo tak zaprojektowane? Skąd wzięliście ten niezwykły materiał?

— Ach, po prostu... zbieg okoliczności — wyjaśnił Alvi, prowadząc Rinaha przez amfiladę kolejnych pokoi w stronę głównego korytarza. — Te płyty, a także mechanizmy napędu rozsuwanych drzwi, w założeniu przeznaczone były do innych celów. Otóż, według pierwotnych zamierzeń, na Tartarze miały powstać gigantyczne szklarnie do uprawy ziemskich roślin użytkowych. Płyty te, wykonane z materiału o nazwie „vardens”, zapewniają możliwość zmiany przejrzystości i gęstości optycznej poprzez działanie odpowiednich potencjałów elektrycznych. Użyte jako okna szklarni, mogą, stosownie do potrzeb, regulować nasłonecznie-

nie upraw i zabarwienie światła, utrzymywać właściwą temperaturę... Są przy tym niezmiernie trwałe i odporne na uderzenia, a więc w praktyce nietłukące. Mogą być, przy zastosowaniu pewnych mechanizmów, przesuwane, żeby otwierać lub zamykać okna szklarni... Jak wiesz, nasi przodkowie, z dobrze ci znanych przyczyn, zrezygnowali z zasiedlenia planety Tartar i stworzyli Paradyzję z materiałów, którymi dysponowali... Vardensowe płyty służą więc teraz innemu celowi...

— Ale za to nie macie świeżych warzyw i owoców... — wtrącił Rinah.

— Mamy konserwowane i mrożone, prosto z Ziemi i innych planet. Na szczęście Tartar obdarowuje nas hojnie swymi zasobami i mamy czym płacić za importowaną żywność...

Znaleźli się właśnie w pomieszczeniu stanowiącym rodzaj samoobsługowego baru.

— Będąc gościem jesteś tu traktowany na równi z nami wszystkimi nie tylko w zakresie obowiązków. Masz takie same prawa i przywileje — objaśniał przewodnik, gdy stanęli przed okienkiem, gdzie odbierało się tace z zestawami śniadaniowymi — łącznie z całodziennym wyżywieniem.

Alvi sięgnął dłonią w stronę okienka, którego szyba uchyliła się. Pobrał tacę, okienko zamknęło się natychmiast, a po chwili podajnik podsunął następną tacę. Rinah w podobny sposób sięgnął po swoją porcję.

— Rozdział żywności i innych towarów powszechnego użytku podlega tutaj centralnemu sterowaniu i kontroli. Identyfikator, który masz na palcu, wysyła nieustannie pewną sekwencję impulsów magnetycznych, zawierającą kod cyfrowy twojego numeru identyfikacyjnego. Pobranie posiłku rejestrowane jest natychmiast w centralnej pamięci komputera. W ten sposób zapewnia się sprawiedliwy przydział wszystkich dóbr konsumpcyjnych, nikt nie może pobrać więcej, niż wynosi jego limit.

— Nie używacie niczego w rodzaju pieniędzy czy żetonów? — zdziwił się Rinah. — Jakże więc wynagradzacie ludzi za ich pracę?

— Być może, ekonomista lepiej by ci to wyjaśnił — powiedział Alvi zabierając się do jedzenia, gdy usiedli przy jednym z licznych stolików. — Jestem historykiem... To znaczy wychowuję młodzież, nauczam ją dziejów naszej cywilizacji i zagadnień współczesności. Moje wyjaśnienia mogą więc wydać ci się nieco uproszczone. Ale spróbuję...

Rinah zauważył, że meble w barze były przytwierdzone do podłogi. To, co miał na tacy, wyglądało niezbyt pojętnie, ale w smaku było znośne. Nie zastanawiając się zbyt nad składem pożywienia, zaczął jeść coś w rodzaju owsianki, popijając płynem z plastikowego kubka.

— Pieniądzy nie używamy, bo są niepotrzebne i niepożądane w naszym systemie. Każdy otrzymuje to, co niezbędne, i musi mieć poczucie pewności, że zawsze otrzyma tyle, ile mu aktualnie przypada z podziału wszelkich dóbr indywidualne-

go spożycia pomiędzy mieszkańców planety. Nikt tu niczego nie gromadzi na zapas, bo wszystko dostaje we właściwym czasie, według określonych terminów i limitów. Po cóż więc pieniądze? Planeta wraz ze wszystkim, co się w niej znajduje, należy do nas wszystkich. Za zaspokojenie życiowych potrzeb każdy powinien oczywiście zapłacić wykonywaniem pracy, której się od niego wymaga, stosownie do jego umiejętności. Można by powiedzieć, że nasz system jest odwrotny do waszego: u was pracujesz, by zdobyć środki do życia, u nas otrzymujesz je, by pracować... Na pozór różnica jest tylko formalna, jak w paradoksalnym problemie: czy się pracuje, by być żyć, czy żyje, by pracować. Ale po zastanowieniu przyznasz, że nasz system jest bardziej humanitarny. Wszyscy mają szansę odpłacić uczciwą, społeczną postawą za otrzymany przydział...

— A... jeśli ktoś nie wywiązuje się z obowiązków?

— Cóż, zdarza się i tak. Nie może to być tolerowane w żadnym zorganizowanym społeczeństwie. Środkiem nacisku jest oczywiście zmniejszenie przydziałów...

— Więc jednak nie wszyscy otrzymują po tyle samo?

— To chyba oczywiste. Funkcjonuje złożony system oceny każdego obywatela. Kryteria są dość różnorodne, nie tylko pracą bierze się pod uwagę... Ale o tym może opowie ci ktoś bardziej ode mnie kompetentny...

Bar wyludniał się stopniowo. Dochodziła ósma i mieszkańcy Paradyzji spieśzyli do codziennych zajęć. Rinah skończył jedzenie. Po posiłku poczuł się znacznie lepiej.

— Mam nadzieję — powiedział — że w ciągu dwóch-trzech dni zaaklimatyzuję się tutaj i będę w stanie zacząć pracować. Czy wolno mi będzie rozmawiać z ludźmi, nagrywać ich wypowiedzi?

— Oczywiście! Wiemy przecież, że zamierzasz opisać nasz świat, by Ziemia mogła nas lepiej rozumieć. To leży także w naszym interesie i będziemy się starali ułatwić ci zadanie.

Za witryną baru przemykali nieliczni już przechodnie, spieszący gdzieś głównym korytarzem.

— Nie zauważyłem nigdzie dzieci i młodzieży — powiedział Rinah.

— Mieszkają na innych piętrach. Nasz system wychowawczy nie przewiduje indywidualnego wychowywania dzieci. Wynika to z konieczności bardzo efektywnego oddziaływania na młode pokolenie. Musimy wychowywać naszych obywateli w poczuciu silnej więzi społecznej, a zwłaszcza w poczuciu bezwzględnej dyscypliny. Sam wiesz, że rodzice nie zawsze zdolni są do obiektywizmu i konsekwencji wobec własnego potomstwa. Tutaj nie ma miejsca na błędy wychowawcze. Każdy błąd może kosztować najwyższą cenę: istnienie całego społeczeństwa. Alarm, który dziś miałeś okazję przeżywać, jest tylko chwilowym zaostreniem panującego tu nieustannie stanu zagrożenia. W świecie takim, jak nasz, istnieje ciągle niebezpieczeństwo katastrofy...

— Tak, wiem — wtrącił Rinah, by uniknąć słuchania szerszych wywodów na ten temat. — Uważnie wysłuchałem dzisiejszej porannej pogadanki... Wydaje mi się jednak, że zbyt wielką wagę przypisujecie zagrożeniu ze strony Ziemi... My, społeczeństwo Starego Globu, myślimy o was raczej z sympatią i podziwem, bez wrogości i złych zamiarów...

— Mówisz tak, bo jesteś wrażliwym humanistą, człowiekiem kultury, a nie interesu... — Alvi uśmiechnął się z zakłopotaniem, zwijając odruchowo w palcach brzeg plastikowego obrusa. — Brak zaufania do Ziemi i innych ośrodków ludnościowych w naszym sąsiedztwie ma zupełnie realne podstawy historyczne...

— Czytałem wiele o historii powstawania Paradyzji, nim tutaj przybyłem — zauważył Rinah — i doprawdy, nie wysnułem z tej lektury podobnych wniosków...

— To, co czytałeś, stanowi produkt wtórny. Prawdziwe dzieje naszego społeczeństwa zawarte są wyłącznie w dziele naszego wielkiego antenata, Carlosa Jose Cortazara, przywódcy pierwszych osadników wysłanych z Ziemi na Tartar. O ile wiem, dzieło to nie jest rozpowszechniane na Ziemi w jego źródłowej formie... Krótko mówiąc, wasze opracowania tendencyjnie naświetlają sprawę powstania Paradyzji. Brak im obiektywizmu.

Rinah znał dość dobrze różne wersje opisu dziejów tej planety. Różniły się one w szczegółach, niekiedy nawet istotnych. Jednak ogólny obraz rysował się dość jednoznacznie.

Wyprawa osadnicza na Tartar, drugą planetę Enigmy w gwiazdozbiorze Psów Gończych, poprzedzona była załogową ekspedycją badawczą. Stwierdziła ona, iż warunki naturalne planety Tartar rokują pomyślny rozwój osadnictwa. W owym czasie stan zaludnienia Ziemi osiągał właśnie wielkość krytyczną i każda nowo odkryta planeta budziła ogromne nadzieje licznych amatorów pozaukładowej emigracji.

Rozwinięta technika dalekiego transportu pozwalała już wówczas na przeniesienie znacznych grup osadników wraz z niezbędnym sprzętem i wyposażeniem nawet do odległych systemów planetarnych. Podróże takie, trwające dość długo, nie przerażały już kandydatów do zdobywania nowych terenów osiedleńczych. Oswojono się zarówno z wymyślnymi technikami konserwacji ludzkich organizmów na czas podróży, jak też z potencjalnymi niebezpieczeństwami i niespodziankami w obcych światach. Nowe planety były silną pokusą dla tych, którzy nie widzieli szans realizacji swych planów i ambicji na Ziemi, pełnej takich samych ambitnych, zdolnych i pewnych siebie młodych ludzi.

Na Tartar wysłano wówczas konwój złożony z dwunastu kosmicznych kontenerów, holowanych przez sześć jednostek napędowych. Każdy kontener, zbudowany w kształcie cylindra o długości dwóch tysięcy metrów i blisko kilometrowej średnicy, zawierał w swym wnętrzu kilka milionów uśpionych w anabiozie pasażerów wraz z całym wyposażeniem niezbędnym do ich stopniowego urządzenia

się na planecie. Kontenery miały być osadzone na powierzchni Tartaru w różnych miejscach, wybranych przez kierownictwo wyprawy.

Plan ten nie został nigdy zrealizowany. Tartar okazał się planetą o wiele mniej gościnną, niż wydawał się w oczach jego pierwszych badaczy. Dowództwo wyprawy — jak głosiły raporty kierowane na Ziemię — dokonało własnych, długotrwałych i wszechstronnych badań warunków naturalnych planety, podczas gdy cały konwój pozostawał na orbicie w oczekiwaniu na wyniki rekonesansu.

Cortazar i jego załoga zakwestionowali wyniki poprzednich badań i zarzucili pierwszej wyprawie rozpoznawczej karygodną lekkomyślność i niedbalstwo: zbyt krótkotrwałe, wyrywkowe i pobieżne obserwacje nie wykazały wielu istotnych, groźnych niebezpieczeństw jakie mogły spotkać przybyłych osadników na powierzchni planety. Jej tektonika, działalność wulkaniczna, potężne ruchy mas powietrza i wód, występujące okresowo lub nieregularnie na całym prawie obszarze przewidzianym do zasiedlenia, wykluczały — zdaniem dowództwa wyprawy — możliwość bezpiecznego osiedlenia się tam przybyłych milionów ludzi.

Cortazar oświadczył swym ziemskim zwierzchnikom, iż nie zamierza brać na siebie odpowiedzialności za losy powierzonych mu ludzi w tak niepewnych warunkach.

Z drugiej strony, Ziemia nie miała specjalnej ochoty przyjmować z powrotem masy ludzkiej, której raz się pozbyła. Nie oznacza to jednakże, iż odmówiono im prawa powrotu. Nikt zresztą nie pytał o zdanie samych osadników, którzy — do czasu zapadnięcia ostatecznych decyzji — pozostawali w anabiozie na orbicie Tartaru.

Decyzję podjęło kierownictwo wyprawy. Cortazar oświadczył Ziemi iż gotów jest mimo wszystko utworzyć kolonię ludzką — wprawdzie nie na samej planecie Tartar, lecz na jej orbicie — w postaci ogromnego, orbitującego „miasta”, czy raczej — sztucznej planety. Byłaby ona miejscem zamieszkania ludzi, zajmujących się eksploatacją bogactw naturalnych Tartaru, które, w przeciwieństwie do warunków klimatyczno-tektonicznych, pierwsza wyprawa oceniła nader trafnie i dokładnie: planeta była fantastycznie bogatym skarbcem surowcowym.

Perspektywa możliwości czerpania z tych nieprzebranych bogactw naturalnych była dla Ziemian tak kusząca, iż bez większych oporów zaakceptowano plan Cortazara, nie pytając o zdanie kandydatów na mieszkańców owego fantastycznego tworu — orbitalnej metropolii, która miała dopiero powstać. Na żądanie Cortazara wysłano dodatkowe transporty z odpowiednimi materiałami i urządzeniami, uznając za słuszne jego argumenty w sprawie moralnej i materialnej odpowiedzialności Ziemi za wyekspediowanie swych obywateli w niedbale rozpoznany obszar osiedleńczy.

W ten właśnie sposób, kosztem Ziemi i wysiłkiem rąk osadników powstała jedyna w swoim rodzaju kolonia orbitalna poza Układem Słonecznym, nazwana później Paradyżją. Jako podstawowych elementów jej konstrukcji użyto dwuna-

stu walcowatych kontenerów, spojonych w zamknięty pierścień, wirujący wokół swego środka i obiegający planetę Tartar po eliptycznej orbicie.

Wydawać się może nieprawdopodobne, by dwanaście walców o długości dwóch tysięcy metrów każdy i średnicy około tysiąca mogło pomieścić sto kilkadziesiąt milionów ludzi wraz ze wszystkim, co jest im potrzebne do stałego tam pobytu. Jednakże proste obliczenie kubatury takiego obiektu wykazuje, że jest to zupełnie realne... Podział każdego walcowatego segmentu na sto pięćdziesiąt pięter oraz odpowiednio dobrana prędkość obrotowa całego obiektu stwarza w nim warunki zbliżone do tych, jakie panowałyby w wielkim gmachu mieszkальnym ustawionym na powierzchni Ziemi z tą jedynie różnicą, że z Paradyzji nie można oczywiście wychodzić na spacer.

Na mocno przeludnionej Ziemi istniały już wówczas w wielkich metropoliach zespoły mieszkalne, których lokatorzy także prawie nie opuszczali wnętrza budynków, mając do dyspozycji na miejscu wszystko, co potrzebne w codziennym życiu. Pomysł „orbitalnych miast” też nie był nowością: pisano o nim wiele od dawna, i choć nikt dotychczas świadomie nie zdecydował o realizacji podobnego przedsięwzięcia, w przypadku Paradyzji okoliczności praktycznie wymusiły taką decyzję.

Już w pierwszym dniu pobytu Rinah mógł przekonać się, iż mimo zrozumiałych odmienności i specyficznych obyczajów lokalnych, w Paradyzji żyje się dość zwyczajnie jak na niezwykle warunki orbitalnej kolonii, liczącej sobie już prawie sto lat istnienia.

Budowa tego niezwykłego tworu inżynierii kosmicznej trwała długie lata, pochłaniając niemałe kwoty, jednak Ziemia wciąż liczyła na przyszły dopływ tani surowców i bez protestu kredytowała śmiało i kosztowne pomysły Cortazara i jego współpracowników. Gdy jednakże zakończono prace przy budowie Paradyzji i wszczęto eksploatację pierwszych odkrywek na Tartarze, stała się rzecz niespodziewana: Cortazar oznajmił, iż nie zamierza nadal uznawać zwierzchnictwa swych ziemskich mocodawców i ogłosił niezależność Paradyzji oraz jej suwerenność nad planetą Tartar wraz z jej bogactwami. Ziemia — twierdził przywódca paradyzyjskiego społeczeństwa — będzie płaciła za dostawy surowców według obowiązujących cenników, dostarczając Paradyzji tego wszystkiego, czego jej mieszkańcy nie są w stanie sami wytworzyć, a więc przede wszystkim żywności i najnowocześniejszego sprzętu technicznego...

Na protesty oburzonych Ziemian Cortazar miał jakoby odpowiedzieć, iż tworząc Paradyzję nie budował hotelu robotniczego dla tartaryjskich górników i geologów, lecz miejsce do życia dla normalnego, w pełni rozwiniętego, wolnego społeczeństwa.

Teraz dopiero, ponieważ, ziemscy dostawcy doszli do wniosku, iż Cortazar nosił się od samego początku z zamiarem uniezależnienia Paradyzji. Zrozumiała stała się na przykład stosowana od początku praktyka niedopuszczania

żadnych obcych specjalistów do udziału w budowie sztucznej planety. Pierwszą inwestycją na orbicie Tartaru — i jedyną, w której uczestniczyli inżynierowie z Ziemi — była platforma orbitalna, stanowiąca port przeładunkowy. Od chwili jej uruchomienia, przez długie lata nikomu nie zezwolono na odwiedzenie budowanej, a później — gotowej już Paradyzji. Cortazar najwyraźniej obawiał się infiltracji ziemskich agentów do nowo tworzonego, odrębnego świata.

Zasoby Tartaru, rozsądnie eksploatowane, mogły wystarczyć na tysiące lat istnienia i rozwoju orbitalnej metropolii, a nawet na zbudowanie kilku następnych sztucznych planet. Ziemia zaś, stojąc w obliczu głodu surowcowego, miała do wyboru: albo milczeć i płacić żadaną cenę za tartaryjskie dostawy, albo... siłą przywrócić swe panowanie nad planetą. To drugie rozwiązanie, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia Paradyzji, byłoby dość proste, w realizacji, lecz nie obyłoby się bez ryzyka zgładzenia całej ludności zbuntowanej „prowincji”. Nie mieściło się to w kanonach moralnych obowiązujących na Starym Globie. Wybrano zatem pierwszy wariant, co z kolei pozwoliło Paradyzjczykom na okrzepnięcie i stworzenie własnego systemu obronnego, opartego — o ironio! — na dostarczonych z Ziemi środkach technicznych i militarnych...

Zapanował więc pewien szczególny rodzaj równowagi pomiędzy Paradyzją a Ziemią, oparty na potrzebach obu stron, potrzebach tak istotnych dla bytu obydwu społeczeństw, że każde naruszenie tej równowagi stanowiłoby zapewne katastrofę dla każdego z nich...

„To zupełnie bez sensu! — myślał Rinah, słuchając podczas śniadania wywodów Alviego na temat rzekomego zagrożenia Paradyzji przez Ziemię. — Przecież oni muszą nie gorzej od nas zdawać sobie sprawę z sytuacji. Można by wprawdzie teoretycznie wyobrazić sobie, że Ziemia jednym uderzeniem jądrowym likwiduje stu pięćdziesięciomilionową społeczność ludzką... Ale nawet tak drastyczne rozwiązanie owego zamierzonego konfliktu — pomijając już całą moralną ohydę podobnego posunięcia — spowodowałoby długą przerwę w dostawach niezbędnych surowców, dewastację istniejących urządzeń wydobywczych, utratę wszystkich miejscowych specjalistów i całej siły roboczej, którą na nowo trzeba by sprowadzić z Ziemi... i zbudować dla nowych osadników nową Paradyzję. A kto zagwarantuje, że... nie powtórzy się ta sama historia?”

Nie wypowiedział jednakże tych argumentów wobec swego przewodnika, nie chcąc wdawać się od pierwszego dnia w rozwlekłe polityczne dysputy.

Wychodząc z baru Rinah spojrzał w lustro i przypomniał sobie o grzebieniu. Jego włosy, z trudem przygładzone rano dłonią, po wczorajszej kąpieli wyglądały jak słomiana strzecha. Nie zwracało to wprawdzie nikomu uwagi — bo jak dostrzegł Rinah, rozwichrzone czupryny były tu widać modne, wielu przechodniów nosiło włosy w podobnym nieładzie — lecz on sam nie czuł się z tym najlepiej.

— Gdzie mógłbym dostać grzebień? — spytał Alviego, gdy szli wzdłuż głównego korytarza, mijając magazyny z odzieżą i innymi wyrobami codziennego

użytku.

— Właściwie... — Alvi zawahał się. — No, jeśli już koniecznie musisz się czesać... Zresztą, w twoim przypadku, nie ma to chyba znaczenia. Chodź, poszukamy...

Grzebieni nie było w kilku kolejnych magazynach.

— Wobec tego chyba będę musiał ostrzyć się do gołej skóry — uśmiechnął się Rinah.

— O, nie, nie! Tego nie radzę ci robić, to byłoby... bardzo niepożądane! — Alvi zaoponował z dziwną gwałtownością, biorąc widać na serio żart Rinaha.

— Czy... długość włosów ma jakieś specjalne znaczenie?

— Hm... — Alvi przez chwilę milczał, jakby układając w myślach odpowiedź. — W każdym razie łysemu zawsze trudniej...

— Nie rozumiem.

Alvi zrobił nieokreślony ruch dłonią — jakby, chcąc coś wskazać, zrezygnował w połowie gestu.

— Nie ma o czym mówić. Jakiś grzebień musi się znaleźć.

To, co znaleźli w jednym z następnych kiosków, wywołało nieme zdumienie Rinaha. Grzebień, który otrzymał z automatycznego dozownika — choć fabrycznie opakowany w przejrzystą folię ze znakami znanej ziemskiej firmy i napisem „Made for Paradisia only” — przypominał raczej grabie. Rinah oglądał przez chwilę ten dziwny przyrząd, którego zęby rozmieszczone były w centymetrowych odległościach.

— Bardzo dobry! — zauważył Alvi z całą powagą. — Korzystamy tylko z dostaw renomowanych producentów.

Rinah powstrzymał się od wszelkich pytań. Zgodnie z radą Mac Leoda przestał się dziwić i próbował zrozumieć. Przyczesał włosy. Efekt był niewiele lepszy, niż gdyby zrobił to przy użyciu własnych pięciu palców. Na razie wyjaśniło się tylko, dlaczego wszyscy chodzą tu źle uczesani...

— Czy mógłbyś odpowiedzieć mi krótko, najkrócej jak potrafisz... — Rinah zawahał się, patrząc w twarz Ałwiego, gdy zmęczeni wędrowną podróżą po zakamarkach piętra przysiedli w niewielkim pomieszczeniu klubowym u końca głównego korytarza. — Czym żyją mieszkańcy Paradyzji? Co motywuje ich działania? Potrzebny mi jest jakiś klucz do zrozumienia tego świata...

Alvi patrzył w obraz telewizyjny wyświetlany na jednej ze ścian. Powoli popijał lemoniadę i wyraźnie zwlekał z odpowiedzią.

— Chcąc o was pisać, muszę wczuć się w wasz sposób myślenia — ciągnął Rinah, sądząc, iż jego przewodnik mógł nie zrozumieć zadanych pytań. — My, na Ziemi, pracujemy nie tylko dla przyjemności, ale też nie wyłącznie z obowiązku i konieczności. Wielu z nas ma jakieś czysto materialne cele: lepsze warunki mieszkaniowe, bardziej wyszukane przedmioty codziennego użytku, lepsze jedzenie, wykwintniejsze ubranie... U was motywy te nie mają zastosowania.

W warunkach ograniczonej przestrzeni każdy może mieć tylko tyle miejsca i tyle rzeczy, ile przypada z równego podziału. Nie można mieć niczego więcej, niż mają inni, a zatem...

— Mylisz się! — Alvi patrzył wciąż w obraz telewizyjny, pokazujący jakieś scenki baletowe. — Można mieć więcej, można także mieć mniej. To zależy od bieżącej oceny każdego z nas.

— Kto was ocenia i na podstawie jakich kryteriów? Władze?

— Tutaj nie ma władz... W każdym razie nie ma takiej władzy, jaką znacie wy, Ziemianie.

— Któż więc rządzi?

— Tutaj, w Paradyzji, rządzi Prawo. Wszelka władza, jakakolwiek by była, nawet bardzo mądra i sprawiedliwa, nie jest w stanie ustrzec się przed subiektywizmem. W naszych warunkach nie możemy pozwolić sobie na subiektywizm w rządzeniu. Prawo jest obiektywne i podporządkowuje wszystkich bez wyjątku potrzebom i interesom całego społeczeństwa. Nigdzie takie podporządkowanie nie jest do tego stopnia niezbędne, jak właśnie tutaj, w naszym sztucznym świecie.

— Nie wyobrażam sobie realizacji takich obiektywnych rządów...

— A jednak jest to realne i funkcjonuje tutaj od dziesięcioleci. Widzisz, według nas każdy sposób kierowania społeczeństwem jest realny i skuteczny, jeśli społeczeństwo rozumie i akceptuje taki właśnie system rządzenia, uznaje jego słuszność i konieczność... Pytałeś o motywacje naszych działań. Są one dwójakiego rodzaju, lecz nie mają nic wspólnego z powiększaniem stanu posiadania. Paradyzja jest jedynym naszym własnym miejscem we Wszechświecie, a Tartar — jedynym źródłem naszego utrzymania.

Pierwszym motywem naszych działań jest duma z dokonań wielu pokoleń Paradyzjczyków: z pustych metalowych pudeł skonstruowaliśmy jedyny w swoim rodzaju świat, sztuczną planetę, jakiej nie ma w całym poznanym Kosmosie... Świadomość faktu, że jesteśmy obywatelami tak niezwykłego świata, każe nam poświęcać cały nasz wysiłek dla jego istnienia i ulepszania. Paradyzji grozi wiele niebezpieczeństw, a każdy z nas doskonale zdaje sobie sprawę, iż jego indywidualne istnienie jest nierozzerwalnie związane z istnieniem naszej planety. Stąd pełne zrozumienie i akceptacja wszelkich ograniczeń i nawet pewnych niedogodności codziennego życia. Wszystko tutaj podporządkowane jest bezpieczeństwu i ochronie naszego świata. Z tym wiąże się druga motywacja, kierująca czynami Paradyzjczyka: świadomość, że od rzetelności pracy każdego obywatela zależy nasza potęga, którą przeciwstawić możemy siłom sięgającym po bogactwa Tartaru. To jest odpowiedź na twoje pytania: naszą motywacją jest świadomość wspólnoty całego społeczeństwa. Wszystko jest tu wspólne: żyjemy razem i tylko razem możemy ulec zagładzie, nikt jej nie ujdzie w krytycznej chwili...

— To nie jest motywacja, lecz obsesja! — zachnął się Rinah. — Jak można

żyć w ciągłym poczuciu obłączenia, w nieustannym lęku, podporządkowując mu wszelkie działania...

— Ze wszystkim można się oswoić. — Alvi uśmiechnął się melancholijnie. — Zwłaszcza gdy stan taki trwa od pokoleń, gdy od dziecka ma się świadomość, że tylko metalowa ściana dzieli nas od kosmicznej próżni... Chciałeś, abym pomógł ci przyswoić nasz sposób myślenia... To trudne, bardzo trudne. To kwestia ukształtowania psychiki, wyobraźni... Któryś z naszych socjologów wyjaśniłby ci to może lepiej niż ja... Tak, to jest dobra myśl! Spróbuję umówić cię z socjologiem, znam kilku. Mogę nawet zaraz z kimś porozmawiać!

Alvi wstał z krzesła i podszedł do miejsca na ścianie, gdzie widniał szereg czujników dotykowych. Przebiegł po nich palcami.

Dźwięki muzyki, towarzyszącej baletowym popisom, przycichły nagle, a w rogu ekranu, w kwadratowym wycinku na tle obrazu telewizyjnego pojawiła się twarz brodatego mężczyzny o długich, rozwichrzonych włosach.

— Witaj, Zeb! — powiedział Alvi w kierunku ekranu. — Czy miałbyś trochę czasu, by zająć się naszym gościem z Ziemi? Chodzi o kilka fachowych wyjaśnień...

— Kiedy? — brodacz nie wyglądał na uradowanego propozycją.

— Może dziś?

— Wolałbym jutro, przed południem.

— Zgoda. Mamy dużo czasu — uśmiechnął się Alvi. — Skontaktujemy się z rana. Dziękuję, Zeb.

Twarc z rogu ekranu zniknęła, dźwięk telewizyjny wrócił do normalnego, umiarkowanego natężenia.

— Słyszałeś — powiedział Alvi, siadając znów obok Rinaha. — Pojedziemy do niego jutro.

— Pojedziemy?

— Tak, windą na dwunasty poziom. Będę musiał załatwić zezwolenia, ale z tym nie powinno być kłopotu...

— Zezwolenia? Na przejazd windą?

— Tak. Na zmianę poziomu. Migracje międzypoziomowe podlegają kontroli...

— Czy tutaj nie wolno poruszać się swobodnie nawet po wnętrzu segmentu?

— Wolno, jeśli zezwoli na to Centrala.

— Czy to też... ze względu na bezpieczeństwo?

— A żebyś wiedział! — Alvi wyraźnie zniecierpliwił się tym razem, wyczuwając w pytaniu Rinaha odcień drwiny. — Właśnie tak! Musisz to wreszcie zrozumieć! Nasze Prawo nie jest kupą bezsensownych zakazów. Każde dziecko wyjaśni ci, dlaczego nie można przemieszczać się wewnątrz Paradyzji wedle własnego widzimisię. Wszystko wynika z reguł bezpieczeństwa i porządku i nie musisz we wszystkim wietrzyć działań policyjno-kontrwywiadowczych. Każde dziecko...

— Mówiłeś, że na tym piętrze nie ma dzieci, a na inne nie mogę w tej chwili pojechać, bo nie mam zezwolenia. Będziesz więc musiał sam mi to wyjaśnić — zazartował Rinah, by rozładować sytuację.

Alvi uśmiechnął się i położył mu dłoń na ramieniu.

— Wybacz, uniosłem się... — powiedział cicho. — Rozumiem cię. Wszystko tu jest inne, a tam, u was, wygadują bzdury o Paradyzji... Ale zrozum także mnie... Jesteśmy tu wszyscy gorącymi patriotami i nie pozwalamy podejrzewać naszych władz o jakieś idiotyczne pomysły. Bo przecież Paradyzja to nasza jedyna ojczyzna, choć tak inna od twojej. Ale, na szczęście, wszystko tutaj da się logicznie wyjaśnić. Wystarczy trochę wiadomości z elementarnej fizyki. Otóż, jak wiesz, w układzie swobodnie wirującym, a takim przecież jest Paradyzja, każda zmiana momentu bezwładności powoduje zmianę prędkości wirowania. Przemieszczenie jakiejś masy wzdłuż promienia, wyprowadzonego ze środka obrotu, powoduje zmianę momentu bezwładności. Słowem, gdyby we wszystkich segmentach wszyscy naraz przenieśli się z dolnych pięter na górne, to prędkość wirowania zmniejszyłaby się znacznie, a co za tym idzie, zmniejszyłaby się też siła odśrodkowa, zapewniająca nam sztuczną grawitację... Czy teraz rozumiesz, dlaczego wszelkie wędrówki z piętra na piętro podlegają kontroli komputera, regulującego ruch obrotowy i utrzymującego sztuczną grawitację na stałym poziomie?

— Przepraszam cię! Teraz zrozumiałem.

— To dobrze. Może ten przykład przekona cię, że wszelkie pojęcia, które przywiozłeś z Ziemi, tutaj muszą ulec rewizji. Proste analogie zawiodą w tak różnych układach, jak naturalna planeta i sztuczny twór w rodzaju Paradyzji. Tu obowiązują raczej prawa statku kosmicznego i nie wolno o tym zapominać. Staramy się, by prawa ludzkiej jednostki były realizowane o tyle, o ile nie jest to sprzeczne ze zbiorowym bezpieczeństwem całej planety. Nigdzie działanie pojedynczego człowieka nie wpływa w takim stopniu na los planety, jak właśnie tutaj. Nie kontrolowane przemieszczanie się z piętra na piętro powoduje zmianę ciężenia dla wszystkich mieszkańców wszystkich pięter i sektorów! Nie kontrolowane wędrówki z sektora do sektora przesunęłyby środek masy całego układu, a więc także środek obrotu całej Paradyzji, która zaczęłaby obracać się ekscentrycznie! Widzisz więc, że większość naszych praw i przepisów nie wynika z przesłanek politycznych czy społecznych, nie stanowi, jak się u was mówi: ograniczania praw i swobód ludzkich. To po prostu czysta fizyka, to konsekwencja istnienia takiego właśnie, nowego i niespotykanego nigdzie więcej sztucznego świata, jak ten...

— Przekonałeś mnie! — Rinah pojednawczo uściśnął ramie Alwiego. — A muszę ci się przyznać, że pewien mój przyjaciel próbował mi przed moim odlotem udowodnić, że życie tu jak więźniowie...

— Głupstwa! — Alvi roześmiał się szeroko. — Każdy jest w pewnym stopniu więźniem swojej planety. Czyż Ziemia jest więzieniem swych mieszkańców dlatego tylko, że zaledwie nieliczni z nich mogą podróżować na inne planety?

Zresztą cóż to jest wolność?

— Wolność, jak twierdzi nowoczesna filozofia, to świadomość ograniczeń, którym człowiek podlega. . . — wtrącił Rinah.

— My mówimy, że wolność uzyskuje się przez uświadomienie sobie braku możliwości innych niż ta, której realizacją jest nasz świat. . . Po prostu, wedle starożytnego przysłowia, „głową muru nie przebijesz”. . . Tym murem jest skorupa naszej sztucznej planety. . . Choćbyś ją nawet przebił, będzie to twoją zgubą i zagrożeniem dla pozostałych. . . Od chwili, gdy nasi przodkowie postanowili urzeczywistnić śmiały projekt Cortazara, nie ma już odwrotu ani innych dróg. Można by powiedzieć, że Paradyzja, jako skończona i doskonała idea powstała w chwili, gdy ją wymyślono. Jej materialna realizacja jest tylko potwierdzeniem słuszności pierwotnego planu. . .

— Czy rzeczywiście wszystko zrealizowano zgodnie z założeniami projektu?

— W ogólnych zarysach, tak. W szczegółach oczywiście poczyniono pewne zmiany, ulepszenia. Ale kiedy czyta się dzieło Cortazara, odnaleźć w nim można genialną, dalekowzroczną wizję dzisiejszej Paradyzji.

Wyjaśnienia Alviego tchnęły szczerym entuzjazmem. Rinah wyczuwał w nich głębokie przekonanie o słuszności wszystkiego, co stanowi rzeczywistość tego niezwykłego świata. Jedynie język, jakiego używał młody historyk, wydał się Rinahowi trochę sztywny i schematyczny, brzmiała w nim publicystyczna frazeologia. . . Zbyt jednak mało znał tutejszy język potoczny, by ocenić, do jakiego stopnia usłyszane zdania pochodziły z języka oficjalnych komunikatów. . .

Na ekranie telewizyjnym pojawił się barwny symbol, w głośniku zabrzmiały tony melodyjnego sygnału. Po chwili obraz wypełnił się twarzą lektora, podającego bieżące informacje.

„Dzisiejszy poranny alarm — mówił lektor — wykazał pełną gotowość służb specjalnych oraz sprawne działanie ludności wszystkich segmentów. Możemy być spokojni o nasze bezpieczeństwo i pewni, że w przypadku rzeczywistego zagrożenia zdołamy opanować każdą sytuację”.

Na obrazie pokazano kilka migawek z porannego alarmu: biegnących dyżurnych, ludzi w fotelach przed pulpitemi kontrolnymi, porządkowych regulujących ruch na korytarzach.

„Nasz system bezpieczeństwa zewnętrznego wzbogacił się o kolejny pierścień obrony. Siły ochrony planety otrzymały do dyspozycji cztery nowe platformy orbitalne uzbrojone w rakiety typu Epsilon-Theta oraz wyposażone w lokalizatory dalekiego śledzenia”.

Pokazano kilka ujęć obiektów kosmicznych, najeżonych wyrzutniami rakietowymi, z odzianymi w próżniowe skafandry oddziałami obsługi, a po chwili komentator ciągnął dalej:

„Na Tartarze zanotowano dziś szereg wstrząsów o sile od ośmiu do dziesięciu stopni w rejonach na północ od równika, w okolicy baz wydobywczych okręgu

B. Ponadto zaobserwowano trzy nowe tornada, formujące się nad Kontynentem Zachodnim. Tajfun numer 412 czyni dalsze spustoszenia okolic na południowy wschód od kosmodromu numer 12”.

Obraz ukazał kilka statycznych fotografii jakichś zrujnowanych budowli i połamanych konstrukcji. Jakby dla zrównoważenia tych niepomyślnych wieści, przez następnych kilka minut lektor wygłaszał pochwały pod adresem różnych grup wydobywczych, które w ostatnim czasie osiągnęły najlepsze wyniki w pracy na Tartarze. Potem w miejsce lektora pojawiła się twarz kobiety. Rinah przyjrzał się jej uważnie.

— Kto to jest? — spytał, trącając Alviego.

— To Zinia Vett, dziennikarka. Dość popularna postać.

Pod obfitym makijażem Rinah rozpoznał swą towarzyszkę podróży promem. Z miłym uśmiechem — tym samym, którym żegnała go w hali dworca raketowego — informowała widzów o wydarzeniach kulturalnych, imprezach rozrywkowych i wystawach sztuki, odbywających się w różnych segmentach Paradyzji.

„Od wczorajszego wieczora gościmy w Pierwszym Segmencie znanego ziemskiego pisarza, znawcę zagadnień osadnictwa kosmicznego i wielkiego przyjaciela naszej planety, Rinaha Devi. Nasz gość zamierza bliżej poznać życie Paradyzji, by napisać książkę, dementującą plotki i oszczerstwa, którymi wrogie nam siły otumaniają ludność innych planet. Witamy miłego gościa i mamy nadzieję, że będzie czuł się doskonale przez cztery tygodnie swego pobytu w naszej planecie”.

Uśmiech Zinii, który posłała z ekranu, był tym razem adresowany najwyraźniej wyłącznie do Rinaha.

— Widziałem ją w porcie tranzytowym — wyjaśnił Rinah. — chyba wracała z Tartaru. To piękna kobieta.

— Też tak uważam — zgodził się Alvi. — Cieszy się ogólną sympatią.

Tymczasem na ekranie — ku zdumieniu Rinaha — pokazano jego samego, z rozkudłaną, wilgotną czupryną i walizką w dłoni, opuszczającego komorę kontrolną. Potem zobaczył siebie nad talerzem owsianki i usłyszał własne słowa:

„Mam nadzieję, że w ciągu dwóch-trzech dni zaaklimatyzuję się tutaj i będę w stanie zacząć pracować. Staram się was zrozumieć. . . Czytałem wiele o historii powstania Paradyzji, nim tutaj przybyłem. . . My, społeczeństwo Starego Globu, myślimy o was z sympatią i podziwem”.

Były to rzeczywiście zdania, wypowiedziane przez niego w rozmowie z Alvim, lecz wyrwane z różnych kontekstów i zestawione razem w innym porządku, z wyciętymi niektórymi słowami. . . W sumie tworzyły wypowiedź, której — w takiej formie — nigdy nie wygłosił.

— Skąd oni to mają?

— Co takiego?

— Film ze mną i fragmenty naszej rozmowy.

— Normalnie. Z rejestracji Centrali.

— Czy to znaczy... — Rinah przerwał, przypominając sobie przebieg wideofonicznej rozmowy Alwiego z socjologiem. — Gdy rozmawiałeś z tym... Zebem, chyba tak się nazywał? Więc podczas tej rozmowy nie mówiłeś do żadnego mikrofonu, nie zauważyłem też kamery wizyjnej. W jaki sposób twój głos i obraz docierał do rozmówcy?

— Tutaj, pod ekranem telewizyjnym — wskazał palcem Alvi podchodząc do ściany — jest mikrokamera i kierunkowy mikrofon. Podczas rozmowy wideofonicznej są one wykorzystywane do przekazywania obrazu i dźwięku do pokoju wybranego rozmówcy.

— A gdy nie korzysta się z wideofonu? Czy kamera jest wyłączona?

— Nie. Wszystkie kamery i mikrofony w każdym pomieszczeniu działają bez przerwy.

— Więc... są też inne?

— Tak, w każdej ścianie i w narożnikach pokoi. To także element systemu zabezpieczeń. Zdaje się, że wspomniałem ci o tym?

— Chyba tak... Mówiłeś, że nie polegacie na subiektywnych obserwacjach. Czyżby więc... te kamery i mikrofony przekazywały informacje do komputera?

— Oczywiście. Jakże bez tego Centrala mogłaby znać sytuację w każdym zakątku planety... Wiesz przecież, że zachowanie grup ludzi, a nawet pojedynczych osób może mieć wpływ na bezpieczeństwo całości.

— Wiem... — potwierdził Rinah i zamyślił się głęboko.

Rozdział VII

Paradyzja jawiła się światem niewątpliwie dziwnym i niezwykłym, lecz — jak Rinah mógł przekonać się już w pierwszym dniu pobytu — wystarczyło kilka prostych wyjaśnień, udzielonych przez kompetentnego przewodnika, by każda jej zagadkowa właściwość stała się jasna i zrozumiała. Ten świat służył potrzebom zamieszkujących go ludzi, a niezwykłość sytuacji, w jakiej trwał od stulecia, sprawiała, że powstały tu szczególne metody i sposoby rozwiązywania jego codziennych problemów. Sztuczna planeta, której metalowe ściany oddzielały strefę życia od oceanu pustki, przez cały czas swego istnienia znajdowała się w stanie szczególnej „równowagi chwiejnej”, stosunkowo słaby bodziec, zewnętrzny czy wewnętrzny, mógłby wytrącić ją z tego stanu, powodując totalną zagładę.

Ludność, żyjąca od paru pokoleń w warunkach ciągłego zagrożenia, zaakceptowała ów stan jako jedyną możliwość. Wiedząc, że nie sposób niczego zmienić, człowiek przestaje wysilać umysł nad bezowocnymi spekulacjami i zaczyna urządzać się najlepiej, jak to możliwe w danej sytuacji.

— Tutaj jest już „koniec świata” — powiedział ze śmiechem Alvi, gdy stanęli przed gładką płytą, kończącą główny korytarz. — Gdyby ta ściana była przezroczysta, zobaczyłbyś czarną otchłń Kosmosu, przez który nieustannie żeglujemy. Czasem myślę, że powinny tu być okna. Jest to, rzecz jasna, technicznie niemożliwe: ta ściana składa się z kilku warstw różnych materiałów, odpornych na działanie wszelkich możliwych czynników, zagrażających całości naszego świata. Ale okno takie miałoby ogromne znaczenie psychologiczne: pomagałoby każdemu uświadomić sobie własną małość i słabość wobec Wszechświata, własną bezsilność w obliczu tego wszystkiego, co nam grozi w razie awarii powłoki. Wiesz, u nas każde dziecko, od najmłodszych lat, przyzwyczajane jest do tej myśli, już w przedszkolu prowadzi się wycieczki malców do komory ochronnej, by pokazać im ostatnią granicę, dzielącą nas od próżni. . .

— Co to jest „komora ochronna”? — spytał Rinah.

— Pójdziemy tam któregoś dnia. Jest to przestrzeń pomiędzy wewnętrznymi a zewnętrznymi ścianami skorupy. Jak wiesz, każdy segment Paradyzji ma kształt walca, lecz nie cała jego wewnętrzna przestrzeń wykorzystywana jest na pomiesz-

czenia użytkowe. Część użytkowa to jakby prostopadłościenną pudło wpisane w walec. Jest ono podzielone na sto pięćdziesiąt poziomów, lecz na dole, u góry i po bokach tego prostopadłościannu pozostają wolne przestrzenie pomiędzy ścianami pudła i zaokrągloną powierzchnią zewnętrzną walca. Tam mieszczą się różne urządzenia i instalacje, obsługujące segment, ale większość tej przestrzeni pozostaje pusta. Wypełnia je jedynie szkielet konstrukcji nośnej, na której opiera się wewnętrzny prostopadłościann. Mówiąc obrazowo, żyjemy w ogromnym, wielopiętrowym gmachu zamkniętym w cylindrycznym naczyniu...

— Nabitym w butelkę! — zażartował Rinah.

Twarz Aliego spoważniała nagle, rozejrzał się niespokojnie.

— Powstrzymaj się od podobnych porównań — powiedział z nagłą złością. — Tobie może to nie zaszkodzi, lecz... trzeba mieć wzgląd na słuchaczy!

— Nie rozumiem — Rinah patrzył na swego przewodnika, oczekując wyjaśnienia przyczyn jego gwałtownej reakcji.

— Trudno mi to wyjaśnić. Po prostu w twoim żarcie, nieświadomie być może, zabrzmiała aluzja. Centrala nie analizuje intencji, lecz znaczenie słów.

— Przepraszam... — bąknął Rinah, nadal nie rozumiejąc. — Rzeczywiście nie miałem na myśli niczego innego oprócz obrazowego porównania...

— W każdym razie uważaj — Alvi jakby nieco się uspokoił. — Bądź co bądź, ty także podlegasz naszym kodeksom. A wracając do tematu, chciałbym ci powiedzieć jeszcze jedno. U was, na Ziemi, często ponoć słyszy się zarzuty dotyczące ograniczeń, jakim tutaj podlegamy. Musisz być przekonany o tym, że nie ma tu żadnych ograniczeń poza tymi, które wynikają z praw fizyki i zwykłych, w całym cywilizowanym Wszechświecie uznanych praw społecznego porządku. Na planecie naturalnej, otwartej, takiej jak Ziemia te fizyczne ograniczenia też istnieją, choć są zupełnie inne. Żyjąc z nimi, nie zauważacie ich nawet. Tutaj nie można przebić skorupy zewnętrznej, by wydostać się z Paradyzji, a u was nie można podskoczyć tak wysoko, by się trwale oderwać od Ziemi. Ot i wszystko. Wszelkie idiotyzmy na temat naszego przymusowego zamknięcia wewnątrz planety są taka samą brednią, jak krytykowanie ziemskiej grawitacji. Chciałbym, aby to było jasne i niech to znajdzie odpowiedni wyraz w twojej przyszłej książce. Wolność człowieka to bardzo źle zdefiniowane pojęcie!

— Ustaliliśmy już — zauważył Rinah — że człowiek staje się wolny wówczas, gdy nic i nikt nie krępuje jego działań w granicach wyznaczonych przez obiektywne konieczności. Rozumiem wasze ograniczenia i nie zamierzam ich kwestionować...

— Jednakże nasi filozofowie — przerwał Alvi — są bardziej precyzyjni w określaniu pojęcia wolności. Bo cóż to są te „obiektywne konieczności”, o których mówisz? Czyż nie jest to temat do nie kończących się dysput i sporów? W naszym pojęciu wolność osiąga się przez uświadomienie, że w s z y t k o, co nas ogranicza, jest konieczne. Krócej mówiąc, wolność — to świadomość braku

alternatywy, innej możliwej rzeczywistości dla naszego świata niż ta, w której żyjemy. Nasza wolność to wiara w optymalizację. Centralny System Zabezpieczeń kalkuluje bezstronnie i to on właśnie określa, co w danej chwili i sytuacji jest konieczne dla przetrwania tego świata.

Było późne popołudnie. Niemordowany Alvi oprowadził Rinaha po przeróżnych zakątkach piętra, pokazując mu wszystko, co służyło mieszkańcom w ich codziennym życiu. Wybierał z rozmysłem, według dobrze opracowanego planu, najbardziej interesujące obiekty, dające przybyszowi pojęcie o zainteresowaniach, rozrywkach i warunkach życia mieszkańców. Pokazał Rinahowi salę widowiskową, gdzie właśnie odbywała się próba zespołu muzycznego, pływanię z trenującymi zawodnikami, parę magazynów z podstawowymi artykułami codziennego użytku, kilka zakładów usługowych, biuro projektowo-konstrukcyjne urządzeń automatycznych, zakład konserwacyjno-remontowy i miejscową przychodnię lekarską. Było tego dostatecznie dużo, by Rinah poczuł zmęczenie — mimo że odległości były niewielkie, a powierzchnia całego piętra nie przekraczała dwóch kilometrów kwadratowych.

Ludzie pracowali pilnie, widać było, że znają swoje obowiązki i starają się jak najsumienniej je wypełniać.

— Jesteśmy tu jakby jedną rodziną. Obowiązuje podział pracy — wyjaśniał Alvi. — Każdy musi zrobić, co do niego należy, by całość mogła prawidłowo funkcjonować. Życie nasze sprowadza się, w gruncie rzeczy, do tego, by umożliwić sobie życie. Jak zresztą wszędzie, na każdej z zamieszkanych planet. Człowiek musi jeść, spać, ubierać się, zażywać rozrywek, uprawiać sporty, tworzyć dzieła sztuki, uczestniczyć w życiu kulturalnym. To są potrzeby osobiste. Natomiast dla społeczeństwa jako całości ważne są jeszcze takie dziedziny, jak porządek i bezpieczeństwo, ochrona przed zewnętrznymi wrogami, no i oczywiście praca na Tartarze, której efekty są podstawą naszego bytu. Z tym wiąże się eksport surowców i import wszystkiego, co nam potrzebne do życia, zwłaszcza żywności i produktów nowoczesnej techniki. Jednym słowem, nie różnimy się w zasadzie od każdego innego społeczeństwa. Tylko warunki, w jakich odbywa się nasza praca, są inne niż na przykład u was. Obowiązuje nas ostrzejsza dyscyplina, konieczna dla sprostania wymogom naszej rzeczywistości. Tutaj nie można sobie pozwolić na dowolny wybór rodzaju zajęcia, typu wykształcenia i specjalizacji. Liczba miejsc pracy w każdej dziedzinie jest ściśle określona. Nie możemy, na przykład, mieć zbyt wielu elektroników kosztem niedoboru pracowników służb porządkowych. Musimy mieć także zapewnioną stałą kadrę do prac wydobywczych na Tartarze...

— To pewnie największy problem? — zauważył Rinah. — Mało jest chyba ochotników do tej niebezpiecznej pracy...

— Problemu nie ma żadnego — uśmiechnął się Alvi. — Rodzaj i miejsce pracy, do której kierowani są mieszkańcy, wynika po prostu z obiektywnej oceny

każdego z nas, a precyzyjny system, biorący pod uwagę wszystkie cechy osobowe człowieka, ustala, co ów człowiek może i powinien robić w najbliższym czasie. Im wyższa jest ocena, tym większe znaczenie mają chęci, wyrażane przez obywatela. Nisko oceniony nie ma prawa wyboru: musi robić to, co mu przypadnie w podziale zajęć.

— Ach, rozumiem... — zamyślił się Rinah.

W milczeniu ruszyli w kierunku najbliższej jadłodajni, bo zbliżała się pora obiadu.

Rozdział VIII

Cyfry w rogu obrazu telewizyjnego wskazywały godzinę szesnastą z minutami, gdy Rinah, zmęczony wycieczką po piętrze, znalazł się znowu w swoim pokoju. Teraz dopiero mógł po raz pierwszy obejrzeć dokładnie wszystkie szczegóły wnętrza tego niewielkiego pomieszczenia.

Pokoik miał kształt zbliżony do kwadratu o powierzchni niewiele ponad dziesięć metrów kwadratowych. W każdej ze ścian widoczne były przejrzyste drzwi, które przy zbliżeniu dłoni odsuwały się bezszelestnie. Pomiedzy tymi drzwiami, na dywanowej wykładzinie podłogi, biegły wydeptane szlaki, krzyżujące się na środku pokoju. Co pewien czas któreś z drzwi otwierały się, jakiś człowiek przechodził szybko przez pomieszczenie, nie rozglądając się na boki i nie odzywając się ani słowem, by wyjść przeciwnymi drzwiami.

Jeden z narożników zajmował obszerny tapczan, w drugim — przodem do ściany, na której wyświetlano obraz telewizyjny, stały dwa fotele. Pozostałe wolne miejsca pod ścianami były zabudowane szafkami i schowkami.

Pominąwszy ciągły ruch przechodniów, można by porównać to wnętrze do zwykłego, średniej klasy jednoosobowego pokoju hotelowego. Rinah odnalazł na ścianach czarne kropki, których dotknięcie powodowało, że szkliwo traciło przejrzystość. Zasłonił wszystkie cztery ściany, potem zbadał powierzchnie drzwi i stwierdził, że można je zablokować przez dotknięcie odpowiedniego czujnika. Zablokował wszystkie drzwi i dopiero teraz poczuł się swobodniej. Nikt już nie defilował przez jego pokój, nikt nie zaglądał przez ściany. Zdawał sobie sprawę z utrudnienia, jakie stanowi to dla innych mieszkańców, lecz uznał, że mogą się pomęczyć przez czas jego pobytu, obchodząc jego pokój przez sąsiednie pomieszczenia.

Łazienki nie mógł obejrzeć, gdyż wciąż była zajęta przez sąsiadów, jej ściany były nieprzejrzyste, a wąskie drzwiczki w rogu pokoju — zablokowane.

Rinah usiadł w fotelu i przyjrzał się małej tablicy rozdzielczej z rzędami przycisków, która była przytwierdzona do wąskiego stolika, a raczej pulpitu, wystającego ze ściany pod ekranem telewizyjnym. Odszukał przycisk oznaczony odpowiednim piktogramem i wyłączył obraz telewizyjny. Po zniknięciu obrazu ściana

w tym miejscu nie różniła się niczym od reszty jej powierzchni, pozostały tylko świetliste cyfry zegara. Inne przyciski, oznaczone obrazkowymi symbolami, służyły do regulacji natężenia światła, jaskrawości obrazu na ekranie, natężenia dźwięku płynącego z głośnika umieszczonego w środku sufitu. Były tam także oznaczone cyframi przyciski do wywoływania abonentów wideofonicznych i kilka innych, których przeznaczenia Rinah nie umiał odgadnąć na podstawie pikto-graficznych oznaczeń.

Dotknął jednego z tych tajemniczych przycisków. W głośniku rozległ się krótki sygnał brzęczyka, a potem głos, nagrany na taśmie powtórzył kilkakrotnie: „Tu Informacja Centralna”.

— Przepraszam, pomyłka... — powiedział Rinah, a głośnik zamilkł.

Spróbował dotknąć następnego przycisku.

„Tu Centralny Rejestr Mieszkańców — powiedział głośnik. — Rinak Defi 152718497, stan wskaźnika SC na dzień dzisiejszy, godzina szesnasta, minuta trzydziesta druga: 0,981”.

Rinah uśmiechnął się, słysząc zniekształconą wymowę swego imienia i nazwiska. Paradyzyjczycy mieli trudności z niektórymi spółgłoskami, zauważył to już wcześniej.

Równocześnie z informacją słowną na ścianie przed Rinahem zajarzyły się dwie wymienione liczby. Pierwsza z nich — jak stwierdził, spojrzawszy na swój identyfikator — była numerem porządkowym. Znaczenia drugiej nie rozumiał.

Głośnik zamilkł, po chwili zgasły także cyfry na ścianie, a Rinah podjął dalsze eksperymenty z przyciskami.

„...Informator o aktualnym stanie praw planety Paradyzja — odpowiedział głośnik na następny przycisk. — Proszę zadać pytanie”.

— Dziękuję, przepraszam — bąknął Rinah, nie znajdując na poczekaniu odpowiedniego pytania.

Wstał z fotela i wyciągnął się na tapczanie, lecz niedługo dane mu było pławić się w odprężającej drzemce.

„Tu Centralny System Zabezpieczeń — powiedział nagle głośnik. — Ostrzeżenie!”

Rinah usiadł na skraju tapczanu.

„Do mieszkańca pokoju 1–10–4280! — kontynuował głośnik. — Koniec limitu czasowego blokady przejrzystości. Koniec limitu czasowego blokady przejść. Za minutę system zacznie naliczać punkty karne”.

Rinah spojrzął na cyfry zegara. Dochodziła siedemnasta. Od chwili, gdy zasłonił ściany i zablokował drzwi, upłynęło pół godziny.

„Więc to tak! — pomyślał. — To dlatego nikt tu nie zasłania ścian i nie zamyka się w domu...”

Wstał i obszedł pomieszczenie dokoła, dotykając czujników. Ściany odzyskały przejrzystość. Spróbował otworzyć jedno z drzwi. Rozsunęły się.

„W porządku — pomyślał. — Licho wie, co oznaczają te punkty, lepiej więc nie narażać się niepotrzebnie”.

Cyfry zegara przeskoczyły na siedemnastą i w tej samej chwili ściana rozjaśniła się obrazem telewizyjnym. Rinah popatrzył przez ściany na sąsiadów. Wszyscy siedzieli w fotelach, każdy przed swoim ekranem.

Dotknął drzwi, które otwierał przed chwilą, lecz teraz nawet nie drgnęły. Podobnie wszystkie pozostałe... Stał przez chwilę bezradnie, a potem, za przykładem sąsiadów, zasiadł w fotelu.

Na ekranie lektor rozpoczął czytanie bieżących wiadomości. Rinah dotknął przycisku, lecz obraz i dźwięk nie dały się wyłączyć.

Nie mogąc opuścić pokoju, nie mając też pewności, czy brak zainteresowania podawanymi komunikatami nie spowoduje zaliczenia „punktów karnych”, obejrzał cały program informacyjny. Na koniec wiadomości na ekranie pojawiła się Zinia. Była uczesana inaczej niż przed południem, lecz podawała prawie te same informacje, włącznie z wiadomością o przybyciu gościa z Ziemi. Jej uśmiech, znów jakby do niego skierowany, był jeszcze bardziej uwodzicielski...

„Być może uda nam się — powiedziała na koniec — uzyskać od naszego gościa kilka zdań na temat jego pierwszych wrażeń z pobytu w naszej planecie. Jak nam wiadomo, słynny autor zwiedzał dziś w towarzystwie przewodnika dziesiąte piętro pierwszego segmentu”.

Po wiadomościach obraz telewizyjny można było wyłączyć, a drzwi wyjściowe — otworzyć. Rinah chciał spytać kogoś z sąsiadów, jak to jest z tymi punktami karnymi, lecz wszyscy tkwili w fotelach, oglądając w napięciu jakiś film kryminalny. Z urywków dialogu, usłyszanych przez otwarte drzwi, Rinah zorientował się, że film, opowiada o dywersantach z Ziemi, usiłujących zniszczyć zaczepy międzysegmentowe Paradyzji...

Nie chcąc przeszkadzać sąsiadom Rinah wcisnął przycisk informatora prawnego i spytał:

— Czy istnieje obowiązek oglądania programów informacyjnych w telewizji?
Odpowiedź była wyczerpująca i dokładna.

„Według stanu prawnego na dzień dzisiejszy oglądanie programów informacyjnych nie jest obowiązkowe. Jednakże za przebywanie w fotelu przed ekranem w czasie trwania tych programów przyznawane są punkty dodatnie, pod warunkiem jednakże, iż oglądający nie zamyka oczu. Programu informacyjnego nie można wyłączać ze względu na możliwość przeoczenia ważnych wiadomości dotyczących bezpieczeństwa planety. W czasie nadawania wiadomości obowiązuje pełna blokada przejść, by przechodnie nie zakłócali mieszkańcom odbioru programu. Blokada nie dotyczy jedynie służb awaryjnych i pogotowia lekarskiego”.

Można było tylko podziwiać precyzję działania Systemu Zabezpieczeń, sterującego w każdym szczególe wszystkim, co miało związek z utrzymaniem mieszkańców Paradyzji w stanie ciągłej gotowości, czujności i pełnego poinformowa-

nia. System czuwał dosłownie nad każdym z osobna. Rinah mógł przekonać się o tym, gdy zdjął na chwilę z palca swój identyfikator, by dokładniej go obejrzeć.

„Wzywa się natychmiast właściciela identyfikatora 152718497 do bezzwłocznego założenia go w przepisowy sposób — powiedział groźnie głośnik. — Zdjęcie identyfikatora z palca zagrożone jest karą jednej setnej punktu za każdą sekundę!”

Rinah pospiesznie wsunął obrączkę z powrotem na palec i trwożnie rozejrzał się po przyległych pokojach, lecz sąsiedzi zajęci byli oglądaniem filmu.

„Kamery...” — pomyślał, szukając wzrokiem po ścianach.

Wysoko, prawie pod sufitem, rozmieszczone w regularnych odstępach, patrzyły na niego lśniące punkciki, jak główki nitów wprawionych w powierzchnię ściany.

„Albo może czujnik termiczny”? — Rinah szybko przełożył obrączkę na palec lewej dłoni. Ostrzeżenie nie powtórzyło się. — Tak, raczej coś w tym rodzaju. Czujnik wysyła jakieś sygnały magnetyczne. Alvi wspominał o tym... Na pewno jest tu jakaś pętla indukcyjna wokół ścian. W ten sposób łatwo stwierdzić, który identyfikator znajduje się w danym pomieszczeniu... A wraz z identyfikatorem — jego właściciel. Bo sam identyfikator, pozbawiony źródła ciepła, jakim jest dłoń ludzka, natychmiast sygnalizuje swoje osamotnienie”.

System śledzenia mieszkańców Paradyzji zaczynał powoli odsłaniać swe tajemnice. Może zresztą były to „tajemnice” tylko dla niego, przybysza z zewnątrz. Tutejsi obywatele znali zapewne wszystkie właściwości swego świata i odruchowo, z nawyku i obawy przed „punktami karnymi”, zachowywali się w sposób, jakiego wymagał i oczekiwał Centralny System Zabezpieczeń, znający bez wątpienia wszelkie triki i naiwne próby oszukiwania go w jakimkolwiek celu. Świadomi tego, Paradyzyjczycy nie narażali się bez potrzeby na karne punkty, obniżające ich wskaźnik „SC” — bo od jego wielkości zależała zapewne ocena każdego obywatela, o której wspominał Alvi...

— Czy nie przeszkadzam? — Rinah usłyszał za plecami ściszony, jakby skądś znajomy głos kobiety.

Odwrócił się powoli. Na środku pokoju, na skrzyżowaniu wydeptanych w chodniku ścieżek, stała Zinia. Jej ciemnozielona aksamitna suknia prawie dotykała wyburzałej powierzchni dywanu, który — też ongiś zielony — wyglądał w tym zestawieniu jak brudna szmata. Rinah stał naprzeciw dziewczyny, zdumiony jej nagłym pojawieniem się, zapomniawszy odpowiedzieć na zadane pytanie.

— Może tutejsze obyczaje wydają ci się prostackie — powiedziała z uśmiechem — ale panuje tu zasada, że do nie zablokowanego pomieszczenia wchodzi się bez uprzedzenia... Pomyślałam, że... mógłbyś mi odmówić spotkania, gdybym próbowała uprzedzić cię przez video, więc...

— Ach, oczywiście, bardzo mi przyjemnie! — Rinah odzyskał mowę, lecz wciąż nie mógł oderwać wzroku od wspaniałej postaci dziewczyny.

Wyglądała jeszcze efektowniej niż na ekranie. Zdążyła nawet zmienić fryzurę,

jej makijaż był o wiele bardziej dyskretny, stonowany. Najwyraźniej usiłowała wyglądać jak kobieta z Ziemi. Mieszkanki Paradyzji były dość szare i nieciekawe w swych niewiele różniących się seryjnych ubiorach.

Rinah chciał wskazać jej fotel, lecz dziewczyna bez ceregieli usiadła na skraju tapczanu.

— Zasłoń ściany — powiedziała. — Sąsiedzi już mnie poznali.

Rzeczywiście, we wszystkich przyległych pokojach widać było zainteresowanie wśród mieszkańców. Jak nigdy do tej pory, sąsiedzi Rinaha zerkali przez ściany, wymieniając między sobą jakieś uwagi.

— To straszne być popularną osobą w Paradyzji — powiedziała Zinia, gdy Rinah zasłaniał ściany. — Tracę okropnie dużo punktów, chcąc mieć parę chwil spokoju. Aż dziwne, że ludzie nie mają mnie dosyć na ekranie... Czy zechcesz poświęcić mi kilka minut? Chodzi o wywiad dla telewizji.

— Jak zdążyłem się zorientować, do zmontowania wypowiedzi nie trzeba tutaj wcale prosić o wywiad — zauważył Rinah cierpko,

— Ach, wybaczone... U nas jest to przyjęte. Korzystamy z rejestracji rozmów...

— Właśnie. A mnie mówiono, że te mikrofony i kamery we wszystkich pomieszczeniach służą jedynie komputerowemu systemowi bezpieczeństwa. Nie przypuszczałem, że ludzie mają dostęp do tych materiałów...

— Wiesz, telewizja ma specjalne upoważnienia... Aktualność informacji, szybkość działania... Wszystko to służy wreszcie bezpieczeństwu. Rozumiem, że cię to zaskakuje, ale... chyba to nie jedyne zaskoczenie, jakie spotyka cię w tym cudownym świecie?

Ostatnie dwa słowa wypowiedziała z wyraźnie przesadną emfazą, lecz wyraz jej twarzy pozostał poważny, bez cienia ironii.

— Myślę, że podoba ci się tutaj — ciągnęła wciąż z powagą, głęboko patrząc w oczy Rinaha. — Na pewno w życiu nie widziałeś czegoś podobnego i pewnie też nigdzie więcej nie zobaczysz.

— Masz rację. To jest coś... — Rinah szukał odpowiedniego słowa — coś absolutnie oryginalnego.

— Niepowtarzalnego! — dopowiedziała. — Świat jak ze snu...

A propos, czy dobrze ci się spało tej pierwszej nocy? Bo ja mam zawsze jakieś senne koszmary po podróży promem...

— Nie wyspałem się z powodu porannego alarmu, ale... spałem raczej dobrze.

„O co jej chodzi? — pomyślał. — Skąd ten przeskok z tematu na temat?”

— Czasem jawa jest gorsza od snu, a prawda straszniejsza od literackiego horroru... Czy zawsze piszesz tylko o tym, co widzisz wokół siebie?

— No, nie... Raczej staram się pogłębiać temat, rozumieć dobrze to, o czym piszę. Dlatego właśnie przyjechałem tutaj. Chcę napisać prawdę o tym świecie... niepowtarzalnym, jak go nazwałaś.

— Dobrze. Staraj się nie odstępować od tego planu. Napisz koniecznie prawdę o tym świecie. Nam, ludziom tej planety, należy się wreszcie sprawiedliwość...
— tu Zinia zawiesiła głos na kilka sekund — sprawiedliwość w ocenie naszego świata. Wy, tam na Ziemi, zupełnie nic o nas nie wiecie. A w każdym razie to, co wiecie, to bardzo, bardzo mało...

— Wiem o tym.

— Nie. Nic nie wiesz o niczym — powiedziała gwałtownie i urwała.

— Nie rozumiem?

— Ja ci tego nie wyjaśnię — powiedziała cicho i potoczyła wzrokiem wokół ścian.

— Dlaczego?

— Ze względu na to, przez co wielbłąd...

— Co: wielbłąd?

— Masz przybory do szycia?

— Zabrali mi wszystkie nici.

— Niczego więcej?

— Do szycia?

— Tak, do szycia.

— Nie. Igły mam. Potrzebujesz?

— Ech, nie...

— Więc o co chodzi?

— O nic. Midasa znałeś?

— Którego?

— Z mitologii.

— Tego, co miał o...

— Mowa jest srebrem — przerwała gwałtownie. — Słowo wyleci ptakiem...

Czy podobają ci się moje klipsy?

Rinah nie odpowiedział. Zrozumiał wreszcie sens tych wszystkich aluzji.

— Taak... — powiedział po chwili. — Mają je ściany.

Zinia uśmiechnęła się.

— To była lekcja — powiedziała. — Musisz się tego nauczyć, jeśli chcesz cokolwiek zrozumieć... tutaj. Ale to, co przy dzbanku, też się uczy... Wiesz, kiedy uczę się nowej piosenki, wystarczy mi, że dwa razy przeczytam tekst i już wiem, o co chodziło autorowi...

Rinah nie nadązał. Bezradnie patrzył w ciemnoszare oczy Zinii. Na jej twarzy pojawił się wyraz oficjalnej powagi.

— Więc ty również... śpiewasz? — spytał.

— Przypadkiem, tak. Lecz nawet, gdybym nie śpiewała, to wszystko, co mówiłam, pozostaje w mocy. Ale... my tu sobie rozmawiamy o n i c z y m, a miał być wywiad.

— Może nie dziś — mruknął Rinah. — Jestem zmęczony i nie błysnąłbym elokwencją.

— Dobrze. Umówmy się, że do ciebie zadzwonię... powiedzmy, jutro wieczorem. Bo pojutrze wyjeżdżam na kilka dni.

— Dokąd?

— Na dół.

— To znaczy?

— Na Tartar...

— Byłaś tam przecież wczoraj. Nie boisz się?

— Jestem dziennikarką — odpowiedziała wymijająco. — Ryzyko zawodowe.

— Czy... ja także mógłbym odbyć taką wycieczkę?

— Trudna sprawa. Boję się, że nawet... beznadziejna. Od czasu, kiedy... dziesięć lat temu pewien Ziemianin zaginął na Tartarze, nikomu obcemu nie udzielono zezwolenia.

— Zaginął? — Rinah z trudem opanował odruch gwałtownego zainteresowania. — Któż to był?

— Nie pamiętam tej historii, byłam wtedy dzieckiem. Ktoś mi tylko o tym wspominał. Zdaje się, że to był dziennikarz albo jakiś socjolog czy politolog...

— Lars Benig?

— Nie pamiętam, czy słyszałam kiedykolwiek jego nazwisko. A ty znałeś go?

— Tylko ze słyszenia. Wiem, że nie wrócił z Paradyzji. Oficjalnie podano, że uległ wypadkowi, ale zwłok nigdy nie odesłano na Ziemię.

— Może chodzi o inną osobę. Nie wiem — skwitowała Zinia niechętnie. — Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Jakie pytanie?

— O biżuterie.

— Aha... — Rinah popatrzył na uszy Zinii. — Owszem. Godne właścicielki. Czy w każdym pokoju jest je do czego przypiąć?

— Masz jednak uzdolnienia lingwistyczne — powiedziała z uśmiechem. — Tak, w każdym. Nie ma miejsca w świecie, gdzie nie znalazłbyś Eustachiusza. „... tylko puste słowa — jak wiatr przez szczelinę przelecia i szczyzną — i w nicość się obróci niebyła rozmowa...”

— To cytat?

— Mógłby być. Ale niekoniecznie. Powiedz, czy ci się podobam?

Pytanie było zaskakująco bezpośrednie, lecz w tej rozmowie Rinah niczemu się już nie dziwił i wszystko próbował zrozumieć.

„Pocziwy, stary Mac Leod” — pomyślał z uznaniem o przyjacielu.

— Jesteś najpiękniejszą Paradyzyjką, jaką zdarzyło mi się widzieć — powiedział zupełnie szczerze.

— Dziękuję. Może nie zmienisz tego mniemania, przynajmniej do końca pobytu. Chciałabym, żebyś zebrał tu obfity materiał do książki, wywiózł stąd jak

najlepsze wrażenia i zabrał ze sobą to, co wyda ci się najpiękniejsze.

Wstała nagle i wyciągnąwszy dłoń w kierunku Rinaha powiedziała:

— Wiec do jutra! — a wychodząc, już w drzwiach, rzuciła przez ramię: — On się tak nazywał.

To wszystko było jednak dość skomplikowane. . .

Rinah odtwarzał z pamięci dialog z dziewczyną i próbował odgadnąć znaczenie wszystkich subtelności tej pozornie bezsensownej rozmowy.

Uprzedzając kolejne ostrzeżenie Centrali, odsłonił ściany i rozsiadł się wygodnie, by pomyśleć. Po godzinie miał już dość dobrze uporządkowane to wszystko, co chciała mu przekazać Zinia.

Przed wszystkim dziewczyna dawała do zrozumienia, że chce go o czymś poinformować i nie może tego zrobić ze względu na zainstalowane wszędzie kamery i mikrofony, ale o tym wszechobecnym podsłuchu wiedział Rinah, jak i wszyscy tutaj, zupełnie oficjalnie. Cały komiczny dialog, aluzyjnie naprowadzający go na słowo „ucho”, był raczej rodzajem instruktażu. Wynikało z niego, iż chcąc coś powiedzieć tak, by nie być zrozumianym przez kontrolny komputer, trzeba odwoływać się do skojarzeń słuchacza. To dość oczywiste: komputer może wyławiać z rozmowy pojedyncze słowa, takie jak owo „ucho”, które jest dla niego trywialną aluzją do słowa „mikrofon” czy „podsłuch”. Widać, słysząc takie słowo, komputer pilniej nadstawia. . . „ucha”. Komputer może także analizować całe zestawy słów, znaczenie zdań. . . Ale nie jest w stanie rozszyfrować aluzji, którą słyszysz p o r a z p i e r w s z y. Dlatego — nie chcąc być zrozumianym — trzeba każdorazowo używać i n n e j aluzji, i n n e g o hasła wywołującego to samo skojarzenie. Centrala jest komputerem o wysokim stopniu zdolności uczenia się. Zbyt przejrzyste, obiegowe, często pojawiające się porównania czy kryptonimy, ma zapewne skatalogowane w swych zbiorach pamięciowych. Wystarczy, że dana aluzja pojawi się dwa, trzy razy w różnych kontekstach — i już staje się dla komputera zrozumiała. Dlatego szyfrowy język, którym posługują się tu ludzie, mający do przekazania poufne informacje, musi być językiem dynamicznym, zmiennym, nie istniejącym trwale, lecz powstającym i ginącym w trakcie rozmowy, efemerycznym, doraźnym systemem skojarzeń, odwołującym się do pamięci i erudycji, do bystrości i zdolności kojarzenia. A więc posługiwać się nim mogą tylko ludzie, których inteligencji nie jest w stanie sprostać najbardziej nawet sprawny system sztuczny.

To jednakże nie wszystko. Czego nie rozumie system, mogą rozszyfrować jego operatorzy. Komunikat, który jest przekazywany słownie, musi być na pozór idealnie p u s t y, wolny od istotnej treści — aby system pominął go i nie utrwalił dla ewentualnej ponownej próby interpretacji. „Tylko puste słowa jak wiatr przeleca. . .”. Jednym słowem, rozmowa musi sprawiać wrażenie pustego gadania o niczym. Jakies skoki myślowe, cytaty. . .

„Coś podobnego znaleźć można u niektórych poetów z końca XX wieku —

przypomniawszy sobie Rinah. Tylko, że tam można było pozwolić sobie na słowotwórstwo, a czytelnik nie zawsze musiał rozumieć, o co chodzi poecie. Tutaj trzeba wyczuć tę subtelny granicę między zdolnością kojarzenia komputera i człowieka. Żadnych neologizmów — bo każde nowe słowo, raz tylko użyte, jest albo niezrozumiałe, albo znaczeniowo zdefiniowane przez kontekst. W jednym i drugim przypadku nie spełniałoby tu swej roli...

Cóż jeszcze przekazywała Zinia? Informację o tym, że podsłuch jest absolutnie wszędzie i być może nie ogranicza się do mikrofonów rozmieszczonych w ścianach. „Trąbka Eustachiusza” jest elementem ucha wewnętrznego... Czyżby więc... w człowieku samym też istnieć mogły jakieś urządzenia, działające wówczas, gdy zewnętrzne nie są zdolne spełnić swojej roli? W tym świecie wszechstronnych zabezpieczeń wszystko jest możliwe! Końcowe aluzje do chęci opuszczenia Paradyzji przez Zinię wraz z Rinahem były dość jasno wyrażone zbyt jasno, by można było liczyć, że niegłupi wreszcie komputer nie dostrzeże w nich niczego istotnego. Mógł to być jednak wyraz jakichś ogólnych tęsknot do dalekich podróży.

„Sporo, jak na jedną krótką i, zdawałoby się, bezsensowną rozmowę — pomyślał Rinah. — Załóżmy, że ta dziewczyna chce mnie wyposażyć w klucz do rozumienia podtekstów, wyrażanych przez ludzi, z którymi będę tutaj rozmawiał. Wynika stąd, że niektórzy, być może, mają do powiedzenia więcej, niż toleruje System Zabezpieczeń. Dlaczegożby jednak mieli obcemu przybyszowi z planety uważanej za wroga udzielać informacji i opinii uznanych za zagrażające bezpieczeństwu ich własnej?”

Jeszcze jedną ważną informacją, która zelektryzowała Rinahę w trakcie rozmowy z Zinią, była wzmianka o zaginionym — czy też, jak poinformowano Ziemię — zmarłym przed dziesięciu laty ziemskim socjologu, Larsie Benigu. Człowiek ten był główną

i pierwotną przyczyną obecności Rinahę w Paradyzji, choć on sam dotychczas sceptycznie odnosił się do możliwości wyjaśnienia czegoś w tej zamierzchłej sprawie sprzed dziesięciu lat. Ale Mac Leod był innego zdania...

Rozdział IX

Na temat Larsa Beniga wiadomo było oficjalnie tyle, że jako młody naukowiec, badający rozwój społeczeństw izolowanych, otrzymał stypendium Międzyplanetarnej Agencji Rozwoju Osadnictwa Kosmicznego i, uzyskawszy zgodę na krótki pobyt w Paradyzji, — udał się tam — podobnie jak teraz Rinah — jednym z frachtowców Ziemskiej Floty Handlowej.

Załoga statku nie doczekała się powrotu pasażera. Komendant o Portu Tranzytowego przekazał kapitanowi frachtowca wyrazy ubolewania i oznajmił, że Lars Benig zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Żadnych szczegółów nie podano, nie okazano też żadnych dowodów ani protokołów. Zwrócono jedynie paszport oraz kilka drobiazgów należących do zmarłego.

Sprawa musiała się na tym zakończyć, gdyż — znając obyczaje panujące w stosunkach z Paradyzją — władze ziemskie nie mogły spodziewać się niczego więcej. Z drugiej strony wiadomo, iż każdy, kto otrzymuje paradyzyjską wizę, podpisać musi oświadczenie, iż jedzie tam na własne ryzyko. A zatem oficjalnie nie można było podjąć żadnych dalszych kroków w celu wyjaśnienia sprawy.

Wiadomość o śmierci Beniga dotarła na Ziemię drogą radiową w cztery lata po fakcie, lecz na dwa lata przed przybyciem frachtowca, którym miał powrócić. Wtedy to Mac Leod zaproponował Rinahowi podróż na Paradyzję.

Projekt był interesujący, lecz Rinah od razu zdał sobie sprawę, że nie jest to bezinteresowny gest ze strony przyjaciela.

Wyprawa w rejon Tartaru oznaczała dwanaście lat wykreślonych z „ziemskiego” życiorysu — tyle bowiem trwał lot w obie strony. Jednak biologicznie oznaczała ledwie parę tygodni życia, gdyż pasażerowie odbywali podróż w urządzeniach anabiotycznych.

Nim jeszcze Rinah wyraził zgodę na tę podróż, zapoznał się z kulisami sprawy Beniga. Był to rzeczywiście młody socjolog, lecz misja jego, oficjalnie firmowana przez szacowną organizację MAROK, była w istocie próbą nielegalnej penetracji Paradyzji. Próbę tę podjęła grupa ludzi, działająca — nieformalnie zresztą — pod kryptonimem VISU (od łacińskich słów: vox inter silentium Universi — głos po-

śród milczenia Wszechświata). Zadaniem, które postawiła sobie owa grupa zapaleńców, było zbieranie informacji o życiu osadników na różnych planetach i badanie, czy miejscowe stosunki odpowiadają wymaganiom Konwencji Osiedleńczej. Konwencja ta przedstawiała — ogólnie biorąc — wszystkie powszechnie uznane i na ogół oczywiste zasady organizacji i kierowania pozaziemskimi grupami osiedleńczymi. Twórcom Konwencji, ratyfikowanej przez samorządowe władze wszystkich zaludnionych planet, chodziło głównie o stworzenie ogólnych ram prawnych dla utrzymania ciągłości kultury i tradycji humanistycznych w odległych nieraz i luźno z Ziemią powiązanych ośrodkach ludzkiej cywilizacji.

Grupa VISU, powstała w dobrych kilkadziesiąt lat od chwili wejścia w życie Konwencji, próbowała teraz — własnymi sposobami i przy cichym wsparciu różnych legalnych organizacji międzyplanetarnych — zbadać, do jakiego stopnia rzeczywiste warunki życia osadników odpowiadają literze Konwencji.

Paradyzja nie była ani pierwszym, ani ostatnim z obiektów przewidzianych przez VISU do dyskretnej kontroli. Jednakże ze względu na szczególny rodzaj stosunków między tą planetą i resztą cywilizowanego Kosmosu, a także z uwagi na jedyny w swoim rodzaju typ obiektu, jakim była sztuczna, zamknięta planeta — zbadanie jej było sprawą niezmiernie trudną.

Nikt jednakże nie spodziewał się, że już pierwsza próba przebicia muru tajemnicy pociągnie za sobą śmiertelną ofiarę. Członkowie VISU nie poniechali swego planu. Śmierć Beniga potraktowali jako wyzwanie i dowód, że w Paradyzji dzieją się sprawy co najmniej podejrzane...

— Mam być zatem kolejną ofiarą? — roześmiał się sarkastycznie Rinah, gdy Mac Leod przedstawił mu, w tajemnicy oczywiście, projekt następnej wyprawy.

— Nie wygłupiaj się. Przygotowujemy wszystko lepiej niż za pierwszym razem. Mamy swoich ludzi we Flocie Handlowej, zainteresowaliśmy tym również Wydział Specjalny Służby Ochrony Układu Słonecznego... Twoim zadaniem byłoby tylko wnikięcie do środka i rozejrzenie się, zebranie wiarygodnych informacji... No i oczywiście, o ile będzie to możliwe, wyjaśnienie, choćby częściowe, co właściwie stało się z Larsem...

Rinah nie od razu zgodził się na tę propozycję. Właściwie...- prawie już odmówił udziału w przedsięwzięciu, ale wiadomość o uzyskaniu wizy podekscytowała go do tego stopnia, że porzucił wątpliwości,

„Ostatecznie — pomyślał — mogę nawet palcem nie kiwnąć w celu wykonania mojej specjalnej misji, gdyby się okazało, że Paradyżę zamieszkuje banda podstępnych morderców. Ale przecież to są bzdury, a Mac Leod, jak zwykle, wszystko przejawia”.

Tym właśnie sposobem, po kilku tygodniach szkolenia w ośrodku Wydziału Specjalnego i po sześciu latach podróży w anabiotycznej komorze statku „Regina Vacui”, w dziesięć lat po incydencie z Benigem, trzydziestopięcioletni pisarz z Ziemi — Europejczyk z dużą domieszką krwi hinduskiej — znalazł się we wnętrzu

trzu niechętniej przybyszom sztucznej planety.

Rozdział X

Jakże przyjemnie było po porannym alarmie móc położyć się jeszcze na parę godzin, pospać beztrąsko, bez pośpiechu wziąć natrysk, gdy wszyscy współużytkownicy kabiny kąpielowej byli już dawno przy pracy. Potem, wciąż nie spiesząc się, nie będąc przez nikogo ponaglanym, można było przejść się po okolicznych jadłodajniach i sprawdzić, co gdzie dają dziś na śniadanie, a nawet przepuścić parę osób przy podajniku, aż się za szybą zjawi kolejna porcja jedzenia, która wskutek nieuwagi i braku staranności obsługi okaże się wyraźnie większa od innych.

Nikor wiedział, że idylla może skończyć się każdego dnia, lecz starał się nie myśleć o tym i korzystać póki można z ulgowej taryfy, jaką zapewniał mu status obywatela bez przydziału. Trwało to już prawie tydzień — wystarczająco długo, by wyzbyć się nawyków przyniesionych z obskurnego lochu, szyderczo zwanego „Pensjonatem nad Żłotą Żyłą”. Sam dziwił się i zdumiewał, jak łatwo przywyka się do komfortu paradyzyjskiego apartamentu po dziesięciu latach spędzonych w warunkach tartaryjskiego osiedla górniczego. Mimo wszystko, każdego dnia z tych kilku, które upłynęły od jego powrotu, budził się rano dokładnie po sześciu godzinach snu i toczył wkoło zdumionym wzrokiem, szukając widoku znajomego wnętrza betonowej komory pełnej podobnie jak on niewyspanych, poszarzałych ludzi. Zamiast tego widział lśniące ściany pokoju, migocący obraz telewizyjny, a z głośnika — w miejsce spodziewanego wrzasku brygadiera — dawał się słyszeć o wiele sympatyczniejszy głos lektora lub miłej spikerki. Nawet alarm był czymś swojskim, świadczącym o normalności świata, do którego nareszcie wrócił.

„Nigdy więcej... — myślał wtedy, każdego ranka budzony do ciężkiej harówki w kopalni złota i arsenu. — Jeśli wrócę tam, na górę, to już na pewno nigdy nie dam się tutaj wpakować”.

Teraz, gdy naprawdę wrócił, postanowienie przeistoczyło się w naczelny cel na resztę życia. Paradyzja, ze wszystkimi niegdyś uciążliwymi ograniczeniami i niewygodami, wydawała mu się najlepszym miejscem we Wszechświecie. Paradyzyjscy socjolodzy mogliby powiedzieć, że czasowe oddelegowanie do „trudniejszej pracy” przyniosło oczekiwane efekty wychowawcze.

Dziś także, jak w poprzednich dniach, Nikor wygrzebał się spod koca około

dziesiątej i pierwsze kroki skierował do pulpitu informacyjnego. Upewniwszy się, że wciąż nie ma dla niego przydziału pracy oraz — co najważniejsze — że jego SC wciąż równa się jedynce z trzema zerami po przecinku, wykapał się, ubrał i ruszył w stronę głównego korytarza.

„Wszystko po staremu! — myślał, mijając znane miejsca. — Nic się tu nie zmieniło, jakby czas przestał płynąć, czekając na mój powrót...”

Ale przecież jednak minęło dziesięć długich lat i Nikor dobrze o tym wiedział, choć starał się nie myśleć ani o wydartej mu młodości, ani o Livii, której po powrocie nawet nie próbował odnaleźć wiedząc, że mogłoby to jedynie pogorszyć jego względnie pogodny nastrój.

„Wszystko jak było” — powtarzał sobie, by nie myśleć o tym, że niepostrzeżenie przekroczył trzydziestkę, w czasie gdy tutaj ludzie żyli sobie normalnie, po ludzku, nie spiesząc się bardziej, niż wymagał tego Centralny System, sprawiedliwie traktujący każdego, kto zasłużył na takie czy inne potraktowanie. Tam, na dole, był tylko brygadier i regulamin, a każdy pracownik mógł przekonać się na własnej skórze o wyższości komputerowego obiektywizmu nad subiektywnym, z natury rzeczy niedoskonałym ludzkim kierownictwem.

„Tylko kamer widać teraz jakby więcej — zauważył rozglądając się po znanych ścianach. — A w telewizji jakoś częściej wspominają o wzroście zagrożenia... Czyżby stosunki międzyplanetarne popsuly się jeszcze bardziej? Stary, poczciwy Pierwszy Segment — westchnął z sentymentem, spacerując głównym korytarzem, objedzony owsianką, w poczuciu bezpieczeństwa i bez troski mimo niepokojących komentarzy w codziennych programach telewizyjnych. — Byle tylko nie tracić panowania nad własnym językiem. Wszystko jeszcze jakoś się może ułożyć...”

Zewnętrzne czy wewnętrzne zagrożenie Paradyzji było czymś mglistym i odległym wobec realnego, codziennego strachu doświadczanego w chodnikach i wyrobiskach Złotej Żyły, pełnych trującego pyłu, grożących w każdej chwili tąpnięciem, zawałem, zalaniem... Miał to za sobą i jak wszyscy inni, którym udało się cało powrócić z tartaryjskich lochów, codziennie powtarzał sobie, że nigdy więcej nie opuści rajskich apartamentów ojczystej planety.

Stan bezczynności Nikora dziwnie się przedłużał. Wracającym z Tartaru pozostawiano zwykle trzy lub cztery doby na readaptację, a potem kierowano do pracy, z pełną jedynką w rejestrze, pozwalając im rozpocząć wszystko od nowa, bez obciążeń dawnymi wykroczeniami. Praca na dole oczyszczała ich, przywracała pełne prawa jednostki, dawała szansę zwiększenia SC nawet powyżej jedynki.

Nikor nie spodziewał się, by Centrala skierowała go z powrotem na studia, które przerwał nagły wyjazd dziesięć lat temu. Takie rzeczy nie zdarzały się tutaj zbyt często. Wracający z dołu musieli pogodzić się ze zmianą pracy, kierunku kształcenia, a nawet miejsca zamieszkania. Nikor wrócił wprawdzie do tego samego segmentu, lecz teraz znalazł się na bardzo wysokim, sto dwudziestym trzecim

poziomie — daleko od dolnych pięter, gdzie spędził pierwsze dwadzieścia trzy lata życia.

„Najwidoczniej nie wiedzą, co ze mną zrobić” — myślał, sprawdzając codziennie w informacji, czy nie zdecydowano jeszcze o jego dalszym losie.

Na podjęciu nauki specjalnie mu nie zależało, długa przerwa dość dokładnie zatarła w jego pamięci wiadomości z dziedziny elektrotechniki i napędów elektrycznych, które były przedmiotem jego studiów. Właściwie było mu teraz obojętne, do jakiej pracy zostanie skierowany. Każde zajęcie jest przyjemnością i rozrywką w porównaniu z tym, co robił ostatnio.

„Mógłbym być konserwatorem instalacji albo naprawiać dźwigi międzypoziomowe...” — rozmyślał, wędrując wzdłuż korytarza.

Od chwili przekroczenia komory kontrolnej, gdy szef służby porządkowej wręczył mu identyfikator, Nikor starał się raczej słuchać, niż mówić. Nie nawiązywał rozmów, zagadnięty — odpowiadał pojedynczym słowem. Po latach spędzonych w świecie, gdzie nikt nie troszczył się o formę słownych wypowiedzi, z trudem chwycił teraz treść słyszanych rozmów, jakby oduczył się długo nieużywanego obcego języka. Wiedział, że musi na nowo przyswoić sobie umiejętność sprawnego posługiwania się koalangiem, bez którego nie sposób zakomunikować tu ani jednej prawdziwej myśli — chyba że ma się do powiedzenia tylko wytarty banał lub urzędową formułkę.

Koalang rozwijał się i komplikował przez dziesięć lat nieobecność Nikora. Widać Centrala też w tym czasie nie próżnowała. Nikor słyszał wokół siebie tak nieprawdopodobne zbitki słów, że gubił się w tym zupełnie.

Już w szkolnych czasach Nikora koalang był sztuką rozwijającą się bujnie zarówno wśród dorosłych, jak wśród naśladowających ich dzieci i młodzieży. Umiejętność formułowania i deszyfrowania słownych komunikatów była jednym z najważniejszych czynników chroniących przed wyeliminowaniem ze społeczności Paradyzji. W każdym środowisku — naturalnym lub sztucznym — największe szansę przetrwania mają osobniki danego gatunku, zdolne oprzeć się czynnikom eliminującym z tego środowiska.

W świecie skrupulatnej kontroli słów największe szansę mają ci, którzy potrafią komunikować się swobodnie pomimo kontroli. Szansę małomównych są znacznie mniejsze — trudno bowiem żyć wśród ludzi nie porozumiewając się z nimi. Natomiast szansę gaduły pozbawionego wyobraźni twórczej są w Paradyzji znikome.

Szczególny ten dobór naturalny — wynik nieustannych zmagania pomiędzy doskonalącym się Systemem Zabezpieczeń i wyobraźnią ludzi — sprawiał, że ludność Paradyzji w coraz większej części stawała się społeczeństwem awangardowych poetów z konieczności.

Siedząc w kącie małej herbaciarni, gdzie pełno było pracowników z okolicznych pomieszczeń, spędzających tu południową przerwę, Nikor mógł słyszeć ich

zmieszane głosy. Niektóre zdania rozumiał bez większego trudu, inne brzmiały zagadkowo i dopiero po głębszej analizie udawało się chwycić ich sens.

— Szary anioł przyśnił mi się nieostrożnie — mówił młody mężczyzna do siedzącej naprzeciw dziewczyny.

— Przestrzeni skrawek pustką się wypełnił?

— Mimo przeszłości myszki w czasowniku rozprzestrzenionej od krańca po kraniec, kotara głosu mej dłoni nie tknięta, tęsknoty hieny pozostały przy niej.

— Słodycz nieśmiała wilgoci wśród kęp torfowiska.

Ten dialog Nikor przełożył w myślach zupełnie machinalnie, bez najmniejszego wysiłku. Sens był mniej więcej taki:

— Funkcjonariusz służby porządkowej wlaźł mi w nocy do pokoju, myśląc, że udało mu się mnie nie obudzić.

— Zabrał coś?

— Chociaż myszkował po całym pomieszczeniu, nie znalazł mojego tłumika do zagłuszania sygnału identyfikatora, ale pewnie drań nie zrezygnował i znów będzie szukał.

Ostatnia kwestia dziewczyny dotyczyła smaku herbaty i należało ją rozumieć prawie dosłownie.

O ileż bardziej finezyjny dialog. prowadzili dwaj starsi mężczyźni przy innym stoliku:

— Milczące, chłodne drzemią struny harfy, kiedy nadejdzie wreszcie ich budziciel?

— Przybył, już wczoraj, lecz niestety, martwy. Czeka na serce, co wróci mu życie.

Nikor w duchu wyraził podziw dla doskonałości tych paru zdań improwizowanych z niezwykłą wprawą.

Podziwu tego nie była w stanie pomniejszyć prosta w zasadzie treść przekazanych informacji. Pierwszy z rozmówców pytał po prostu, kiedy wreszcie dostanie długo oczekiwany sztuczny podgrzewany palec do przechowywania identyfikatora pod nieobecność właściciela, drugi zaś odpowiadał, że palec taki już wykombinował, lecz ma jeszcze kłopot ze zdobyciem baterijki zasilającej podgrzewacz.

Fenomen języka kojarzeniowo-aluzyjnego, zwanego popularnie koalangiem, polegał na tym, że używający go ludzie nie usiłowali kryć treści wypowiedzi przed postronnym żywym uchem. Kamuflaż służył jedynie ogłupieniu elektronicznych uszu systemu komputerowego, dla którego zdania koalangu były niewartym uwagi bełkotem, albowiem komputery, choćby najbardziej wyspecjalizowane, nie posiadają ani za grosz wyobraźni skojarzeniowej. Przy tym, w świecie wszechobecnych komputerowych uszu, zupełnie zanikła instytucja donosicielstwa — co dla funkcjonowania koalangu było niezmiernym ułatwieniem.

Ekran na ścianie herbaciarni rozbłysnął sygnałem wiadomości południowych. Nikor słuchał nieuważnie, dopóki na ekranie nie pojawiła się czarująca dziewczyna, podająca informacje kulturalne. Widział ją po raz pierwszy, lecz natychmiast zwróciła jego uwagę oryginalna uroda i sympatyczny uśmiech dziewczyny. Myśl o Livii znów przemknęła przez jego mózg jak bolesne ukłucie, by natychmiast zniknąć pod presją zdrowego rozsądku, każącego pamiętać o barierze czasu oddzielającego Nikora od wszystkiego, co zostawił tu w chwili odlotu na Tartar.

Poprzez gwar rozmów dotarły do niego słowa z głośnika. Dziewczyna mówiła o jakimś przybyszu z Ziemi. Potem zobaczył na ekranie tego człowieka — mocno śniadego, przystojnego mężczyznę po trzydziestce. Słuchał jego głosu, machinalnie usiłując zastosować reguły koalangu do treści usłyszanych zdań. Po chwili dopiero spostrzegł swe roztargnienie i wtedy do świadomości jego dotarła informacja, że przybysz jest pisarzem, zamierzającym przekazać Ziemianom obraz życia Paradyzji. Seria nakładających się obrazów, jak szybko zmieniane przezrocza, przemknęła w jego pamięci. Nie lubił wracać do tych wspomnień, lecz wzmianka o przybyszu z Ziemi wyzwoliła — wbrew woli — zapomnianą prawie scenę.

Rankiem tamtego dnia, jeszcze przed rozjaśnieniem świateł, głośny sygnał dźwiękowy wyrwał Nikora z głębokiego snu. Ściany były zasłonięte, choć poprzedniego dnia pozostawił je przejrzyste. Ostry głos z głośnika nakazał mu natychmiastowe stawienie się przy drugim szybie dźwigowym na głównym korytarzu.

Trwało dłuższą chwilę, nim rozbudzony Nikor pojął, co to może oznaczać. Sprawdzenie wartości SC upewniło go, że stało się najgorsze... Kilka niedorzecznych pomysłów przebiegło mu przez głowę, gdy automatycznymi ruchami naciągał ubranie. Wiedział, że nie ma żadnej szansy. Mógł tylko, zgodnie z poleceniem, najkrótszą drogą poprzez pomieszczenia dzielące go od korytarza, udać się na miejsce zbiórki. O tej porze wszystkie inne przejścia były zablokowane. Jeśli nie zgłosi się w ciągu kilku minut, jeśli zatrzyma się po drodze w którymkolwiek z mijanych pokoi, drzwi zatrzasną się wokół niego jak pułapka na uciekające zwierzę, a sygnał identyfikatora nieomylnie przywiedzie dwóch lub trzech roślących porządkowych, którzy doprowadzą go tam, gdzie należy...

Rozejrzał się po pokoju. Jak wszyscy w tej planecie, oprócz ubrania i paru osobistych drobiazgów nie miał tu nic własnego. Wsunął do kieszeni szczotkę do zębów i resztkę mydła z ostatniego przydziału.

Na korytarzu zbierali się inni, zaspani i przestraszeni. Porządkowi poganiaли, przynaglali do zajmowania miejsc w windzie, potem długa wędrówka korytarzami jakichś obcych pięter, ciemne i kręte korytarzyki, schodki w górę i w dół, znów korytarz, skąpo oświetlony nocnym światłem — to już inny segment, drugi, trzeci... Wreszcie szósty. Teraz nie było już wątpliwości. Transporty na Tartar szły zwykle przez siódmą.

Grupa liczyła ponad setkę osób, długi sznur ludzi niknął powoli w czeluści

jakiegoś wjazdu. Porządkowy odbierał identyfikatory, w zamian zawieszając na szyi każdego metalową blaszkę z numerem. Nikt nie próbował protestować, pytać o cokolwiek, jeśli pytali — to każdy sam siebie, dociekając, co było tą ostatnią kroplą, która przelała miarę cierpliwości Centrali. . .

Nikor domyślił się prawie od razu, co było przyczyną nieszczęścia. Mógł go łatwo uniknąć, sam był sobie winien, lecz teraz za późno było na daremne żale.

Miejsce, w którym się znalazł po przebyciu ciemnego przejścia, musiało być wnętrzem pojazdu. Mroczne, dość obskurne, zatłoczone szeregami ciasno zestawionych foteli. Usiadł, machinalnie zapinając pasy bezpieczeństwa. Automatyczny chwytak unieruchomił jego głowę i kark. Kątem oka widział sąsiada z prawej strony — starszego znacznie, siwiejącego lekko mężczyznę o delikatnych rysach i łagodnym, pełnym rezygnacji spojrzeniu, na którego zwrócił uwagę jeszcze w windzie. Lewy fotel, skrajny w tym rzędzie, pozostawał pusty jeszcze przez kilka minut, podczas których głośnik przypominał o konieczności zapięcia pasów i zachowaniu milczenia podczas lotu.

Na chwilę przed startem dwaj porządkowi wprowadzili jeszcze jednego pasażera. Wciskając go dość brutalnie w fotel obok Nikora, dopięli pasy i upewnili się, czy nie będzie mógł sam ich rozpiąć.

— Uważaj na niego — zwrócił się do Nikora jeden ze strażników. — To urman. Może gadać różne głupstwa albo usiłować się odpiąć.

Porządkowi wyszli, drzwi zasunęły się z trzaskiem. Nikor spojrzał ukosem na sąsiada z lewej, który siedział spokojnie z przymkniętymi oczyma. Głośnik obwieścił start, rozległ się ogłuszający jazgot silników, kabina zatrzęsa się. Nikor poczuł rosnące przyspieszenie, wszystko dokoła wibrowało, jakby za chwilę cały pojazd miał rozpaść się w kawałki. Zmiany przyspieszeń szarpały nim w różne strony tak, że po chwili stracił orientację co do kierunku lotu.

Po kilkunastu minutach wycie silników ustało nagle, pojazd znieruchomiał. Głośnik obwieścił wejście na tor orbitalnego lotu bezwładnego.

— Uważaj — usłyszał Nikor cichy głos z lewej. — Popatrz tutaj, w moją stronę.

Nikor zwrócił oczy w lewo. Na skraju pola widzenia dostrzegł zarys twarzy sąsiada. Nagle jakiś drobny przedmiot, z odgłosem przypominającym parsknięcie, wystrzelił gdzieś z okolicy tej twarzy, odbił się od oparcia fotela przed Nikorem i spadł na podłogę kabiny, niknąc mu z oczu.

— Widziałeś?

— Tak — potwierdził Nikor. — Co to było?

— Pestka od śliwki z wczorajszego kompotu — zachichotał urman. — Wiesz co to znaczy?

— Co? Pestka? Wiem — mruknął Nikor niechętnie.

Ten człowiek był widocznie naprawdę stuknięty.

— Nie jesteś zaskoczony... — głos sąsiada z lewej brzmiał jakby trochę ironicznie. — Może to nawet lepiej, bezpieczniej dla ciebie. Teraz posłuchaj. Ty zapewne wrócisz do Paradyzji. Ja nie jestem pewien, co ze mną zrobią. Mam prośbę...

Zamilkł na długą chwilę i Nikor pomyślał, że jego pomyłony współtowarzysz zrezygnował z konwersacji. Odetchnął z ulgą. Po chwili jednak tamten ciągnął półgłosem dalej:

— Ty także możesz nie wrócić. Powtórz to, co ci powiem, paru innym, z którymi będziesz przez najbliższe lata. Może komuś uda się to zrobić... Tu chodzi nie tylko o mnie. A właściwie w ogóle nie o mnie, tylko o was wszystkich.

Nikor prawie nie słuchał monotonnego szmeru słów urmana. W ciszy i bezruchu kabiny kosmicznego transportera docierało do jego świadomości wszystko, nad czym nie zdążył zastanowić się głębiej od chwili dzisiejszego nagłego przebudzenia.

„Wszystko przez to nieszczęsne opowiadanie! — Ta myśl co chwila kołatała w jego mózgu. — Zachciało mi się zostać literatem, zamiast pilnować własnej profesjonalnej kariery...”

— Jeśli wrócisz, w jakimkolwiek czasie, i jeśli usłyszysz, że w Paradyzji przebywa jakiś Ziemianin, musisz koniecznie opowiedzieć mu o naszym spotkaniu. Bardzo dokładnie, ze wszystkimi szczegółami! — Urman podkreślił dobitnie to ostatnie zdanie. — A jeśli ci się to nie uda, to przekaz przynajmniej tych kilka słów... Uważaj i postaraj się dokładnie zapamiętać!

Nikor zapamiętał to zdanie, zawierające dwa imiona własne i brzmiące raczej niewinnie.

Po paru godzinach bezruchu pojazd zatrząsł się, zaryczał silnikami, a potem znów znieruchomiał — tym razem już na tartaryjskim lądowisku. Urmana zabrano pierwszego, potem resztę pasażerów poprowadzono wprost do podziemnej osady.

Tak zaczęło się dziesięć lat, które Nikor pragnął wymazać z pamięci wraz z postacią nieszczęsnego wariata poznanego podczas podróży. Dopiero wiadomość o pisarzu z Ziemi przebywającym we wnętrzu Paradyzji przywołała na nowo te niemiłe wspomnienia...

Są chwile w życiu człowieka, których nie sposób zapomnieć nawet po wielu latach, gdy zniknie z pamięci wszystko inne, wypełniające czas pomiędzy tymi momentami... Tak trudno nieraz odtworzyć w pamięci sytuację sprzed niewielu dni — a wystarczy przymknąć oczy, by każde z takich odległych, lecz ważnych, przełomowych zdarzeń pojawiło się w wyobraźni ze zdumiewającą dokładnością.

Dziwny towarzysz podróży na Tartar musiał dobrze znać tę cechę ludzkiej pamięci i ufał, że kilka zdań wypowiedzianych wówczas wryje się trwale we wspomnienia Nikora, wraz z mnóstwem innych mało ważnych szczegółów rejestrowanych przez pobudzoną świadomość i podświadomość człowieka, którego los

doznawał właśnie dramatycznego zwrotu.

„On wcale nie musiał być urmanem — zastanawiał się teraz Nikor w pustoszejącej herbaciarni — a to, co mówił, mogło mieć jakiś sens i znaczenie. Ten człowiek chciał być może powiadomić kogoś o swym losie albo przekazać inną ważną wiadomość. Dlaczego jednak kierował ją do kogoś z Ziemi? Albo sam był Ziemianinem, zatrzymanym za jakieś ciemne sprawy w Paradyzji, albo... był szpiegiem, któremu nie udało się przed schwytaniem przekazać zdobytych informacji... Jeśli tak, to najlepiej będzie nie mieszać się do jego spraw. Zwłaszcza teraz, gdy można zacząć od nowa spokojne życie z dala od tartaryjskich kopalń”.

Myśl o urmanie czy może szpiegu nie dawała mu jednak spokoju. Przeoczył zupełnie wszelkie bliższe informacje o ziemskim pisarzu, poza tą jedną, że zamieszkuje w Pierwszym Segmencie. Pomyślał, że trzeba będzie uważać podczas następnego wydania telewizyjnych wiadomości, gdzie zapewne powtórzą przynajmniej nazwisko tego człowieka, na podstawie którego można, będzie odnaleźć numer jego video.

„Tylko... po co?” — spytał sam siebie, uświadomiwszy nagle, że nawet perspektywa udziału w szpiegowskiej aferze nie odstręcza go w wystarczającym stopniu od podświadomej chęci spełnienia prośby przypadkowego współtowarzysza niedoli.

Było w tym coś z lojalności i solidarności wobec drugiego, podobnego sobie pechowca... A może także nieco przekory i chęci zrobienia na złość machinie, która z matematyczną, bezosobową precyzją wycięła najlepszy kawałek z życia Nikora.

„Właściwie mógłbym... — pomyślał. — Trzeba by jednak zrobić to bardzo ostrożnie. Ziemianin może nie zrozumieć koalangowego szyfru. Nie wiadomo także, czy imiona własne zawarte w zdaniu, które należy przekazać, nie wywołają reakcji Systemu. Trzeba będzie dokładnie to przemyśleć, nie spieszyć się, żeby nie narobić sobie kłopotów”.

Nikor dokładnie zdawał sobie sprawę z trudności przekazu takich podejrzanych informacji. W prostym zdaniu, które powierzył mu nieznajomy, mogło nie być niczego niebezpiecznego, lecz nie należało ryzykować, zwłaszcza gdy było ono adresowane do Ziemianina. W takim przypadku System Zabezpieczeń mógłby w swej mechanicznej nadgorliwości doszukać się nieobecnych znaczeń, rozłamać nieistniejący szyfr i obciążyć Nikora choćby za samą niejasność wypowiedzi.

Problem był tym trudniejszy, że wiadomość trzeba było przekazać przez sieć wideofoniczną, całkowicie i skrupulatnie poddawaną analizie informacyjnej. Gdyby można było liczyć na kontakt bezpośredni, arsenał sposobów rozszerzyłby się nieco, można by zagłuszyć mikrofony albo zrobić jakąś kombinację z identyfikatorem, czy wreszcie — napisać to zdanie palcem na blacie stołu, poza okiem kamery. Nikor znał wszystkie litery alfabetu, nauczył się ich sam, studiując krótkie teksty i napisy na opakowaniach niektórych importowanych ziemskich wy-

robów. Jednakże Centrala była szczególnie uczulona na teksty pisane, a trudno mieć pewność, że ziemski gość nie ma żadnej m u s z k i w oku... Można by szepnąć mu te słowa na ucho, lecz nigdy nie wiadomo, czy nie, siedzi tam jakaś p l u s k w a...

Zresztą przyczyną nieszczęścia może być także pospolity, mikroskopijny k l e s z c z wczepiony w skórę głowy mówiącego, rejestrujący każde wypowiedziane słowo poprzez drgania kości czaszki. Nie, nawet bezpośrednia rozmowa nie gwarantowała bezpieczeństwa w przypadku dosłownego przekazu.

Nikor zupełnie nie miał ochoty wpaść powtórnie w tarapaty, związane z nieopatrznymi wypowiedziami. Opowiadanie, które dziesięć lat temu nagrał i próbował wydać w większej ilości kaset do użytku publicznych taśmotek, zamiast spodziewanej sławy przyniosło mu dziesięć lat pracy na Tartarze. Po tym doświadczeniu obiecywał sobie wielokrotnie, że nie ulegnie już nigdy pokusie tworzenia...

Opowiadanie zarekwirovano na polecenie Systemu Zabezpieczeń, który znalazł w nim widocznie elementy zagrażające ogólnemu bezpieczeństwu. Nikor wielokrotnie analizował później treść swego utworu. Tam, na dole, nieraz opowiadał je współtowarzyszom w podziemnym osiedlu, gdzie oprócz pracowników obsługi i nadzoru żadne sztuczne oczy i uszy nie śledziły mieszkańców.

W tekście trudno było dopatrzeć się niebezpiecznych treści, lecz Centrala musiała wiedzieć lepiej niż sam autor, co ten ostatni zawarł — może nieświadomie — w swoim utworze. Teraz, pomimo grożących konsekwencji, Nikora nieodparcie korciło, by ponownie zmierzyć się z Centralą. Byłby to pewien rewanż, tylko że teraz należało świadomie ukryć podejrzane treści w nie budzących zastrzeżeń słowach.

„Wystrychnę go na dudka! — postanowił, mając na myśli komputer. — Po wiem, co trzeba, a on niczego nie zauważy”.

Od tej chwili traktował swój zamiar jako coś w rodzaju pojedynku pomiędzy własnym sprytem i precyzyjną logiką maszyny.

Rozdział XI

— Nietrudno odgadnąć, co nurtuje cię najbardziej, przeciwko czemu buntuje się twoja natura Ziemianina!

Socjolog Zeb patrzył na Rinaha z tym samym zniecierpliwieniem czy niezadowoleniem, które malowało się na jego twarzy poprzedniego dnia, gdy Alvi umawiał się z nim przez video. Po kilku minutach rozmowy Rinah zaczął podejrzewać, że ten grymas niechęci jest po prostu stałą cechą rysów jego twarzy i przestał czuć się jak intruz, zabierający cenny czas zapracowanemu badaczowi.

— Nie potrafisz zapewne pogodzić się z nieustanną ingerencją Systemu Zabezpieczeń w prywatne życie poszczególnych mieszkańców tej planety — ciągnął Zeb, przechadzając się przed Rinahem i Alvim, których usadowił w dwóch fotelach naprzeciw swego laboratoryjnego stołu, pełnego wideokaset i zastawionego kilkoma monitorami ekranowymi do ich odczytywania. — Ja cię rozumiem i nawet się nie dziwię. Wy, na Ziemi, nie jesteście zdolni wyobrazić sobie wszystkich czynników, których działaniu jesteśmy tutaj poddawani od stulecia. Posłużę się prostą przenośnią: wyobraź sobie to samo słowo, wypowiedziane przez człowieka na powierzchni Ziemi i tutaj, we wnętrzu Paradyzji. U was słowo to zabrzmi na krótko i rozwieje się w powietrzu, odleci w otwartą przestrzeń. Tutaj to samo słowo odbije się od ścian i będzie dudniło echem, uwięzione w przestrzeni zamkniętej... Takie są prawa akustyki, niezależnie od znaczenia wypowiedzianego słowa. Mówię to, by dać ci przykład zasadniczej różnicy warunków czysto fizycznych. Na to nakładają się inne jeszcze, wtórne konsekwencje naszej sytuacji. Nie można więc bezkrytycznie posługiwać się analogiami przy porównywaniu u tak różnych światów.

Zeb zatrzymał się nad stołem. Grzebał przez chwilę wśród rozrzuconych kaset, wybierając niektóre spośród nich i odkładając na bok.

— Od paru lat zajmuję się badaniami społecznymi, sondowaniem opinii publicznej... Mam tutaj zgromadzony ogromny materiał pochodzący z zapisów Centrali...

— Sądziłem, że te zapisy nie docierają do wiadomości ludzi, że są wykorzystywane jedynie przez system komputerowy... — wtrącił Rinah. — A tymczasem

okazuje się, że ma do nich dostęp telewizja, naukowcy...

— Przecież nie interesują nas pojedyncze osoby! Dla nas te zapisy są najzupełniej anonimowe i służą do opracowań statystycznych. My, socjologowie, rozpatrujemy społeczeństwo jako całość: jego nastroje, opinie, stopień zadowolenia z warunków życia. Oceną indywidualną zajmuje się wyłącznie Centrala, to znaczy komputerowy System Zabezpieczeń.

Zeb usiadł na brzegu stołu naprzeciw Rinaha. Uśmiechnął się, lecz wypadło to jak grymas podczas przełykania czegoś kwaśnego.

— Sądziś zapewne — powiedział — że z tych słów i gestów, które rejestruje Centrala, trudno stworzyć prawdziwy obraz nastrojów społeczeństwa. Po części masz rację. Ludzie, zwłaszcza wówczas, gdy mają pełną świadomość, że są obserwowani, starają się nie wypowiadać i nie czynić tego, co mogłoby im być zapisane na minus. No i bardzo dobrze! Czyż nie o to chodzi?

— Taak... — mruknął Rinah niepewnie. — Ale... w takiej sytuacji... czy można poznać prawdziwe poglądy, opinie, myśli ludzkie?

— To rzeczywiście trudny problem, ale zapewniam cię, że Centrala ma i na to sposoby. System Zabezpieczeń nie jest skostniały w swej strukturze i metodach, on ustawicznie ewoluuje, rozwija się, ulepsza! Czy wiesz, od czego zaczynali nasi przodkowie, pierwsi przybysze do tego układu? Oni nie mieli ani tej techniki, ani opanowanych metod działania, a problemy były takie same, może nawet trudniejsze. Z zewnątrz groźba karnej ekspedycji z Ziemi, od wewnątrz zaś... nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, co się tutaj działo. Sądzę, że Alvi, jako historyk, potrafi ci lepiej przedstawić sytuację w Paradyzji... a właściwie, jeszcze nie w Paradyzji, lecz we wnętrzu dwunastu prowizorycznie powiązanych ze sobą walcowatych kontenerów, krążących po orbicie wokół Tartaru...

— Krótko mówiąc — wtrącił Alvi — nie wszyscy byli zachwyceni tym, czego dowiedzieli się po obudzeniu z anabiozy, że nie będą mogli osiedlić się na planecie, jak przewidywano w pierwotnych planach, lecz mieszkać będą w orbitalnej kolonii... Jedni chcieli wracać, inni nie dowierzali wynikom badań i twierdzili, że Tartar nadaje się do zasiedlenia... Zdarzali się tacy, co w desperacji gotowi byli zniszczyć nowo tworzoną orbitującą kolonię wraz z wszystkimi jej mieszkańcami.

— Ale... większość zaakceptowała jednak plan Cortazara?

Alvi i Zeb popatrzyli jeden na drugiego, jakby każdy z nich chciał uniknąć odpowiedzi na pytanie Rinaha.

— Cóż mogłoby pomóc poparcie większości w sytuacji, gdy jeden nierozważny oponent albo po prostu zwariowany desperat mógł doprowadzić do zguby wszystkich: tak zwolenników, jak i przeciwników... — odpowiedział wreszcie Zeb. — Utworzenie kolonii orbitalnej było najkorzystniejszym rozwiązaniem i trzeba było przekonać wątpiących i ograniczyć wpływ zdecydowanych krytyków tego planu. Wtedy właśnie po raz pierwszy pojawiła się potrzeba sprawnego Systemu Zabezpieczeń. Myśli człowieka są sferą, do której najtrudniej dotrzeć,

a tam przecież rodzą się treści wypowiedzi i zamiary działań. Myśli ludzkie kryć mogą w sobie istotne elementy zagrożenia publicznego. Człowiek, pozostawiony z własnymi myślami, bez moralnego i naukowego wsparcia, wątpi, docieka, roztrząsa dziwaczne i niebezpieczne pomysły... Gdyby udało się dotrzeć do myśli człowieka w fazie ich powstawania, można by mu wiele wyjaśnić, skorygować błędne założenia, wyprostować niesłuszne poglądy, zapobiec mylnym wnioskowi i tworzeniu planów działań opartych na błędzie i fałszywych przesłankach...

Niestety, Centrala nie może ocenić bezpośrednio stanu myśli i świadomości jednostki, nie umie więc wykrywać początków błędu czy wręcz obłądu, urojeń i umysłowych dewiacji... U was, na Ziemi, także pojawiają się szaleńcy, terroryści strzelający do tłumu, podkładający bomby... Lecz tam kończy się to śmiercią kilku czy kilkuset osób, ruiną jednego gmachu, katastrofą jednego samolotu czy rakiety... Tutaj zaś taki sam fakt może pociągnąć za sobą totalną zagładę całej planety. O tyle właśnie sprawa nadzoru i kontroli staje się u nas bardziej krytycznym problemem, a każdy błąd o tyle bardziej brzemiennym w skutki...

Czyż nie jest więc zrozumiała owa szeroko stosowana profilaktyka, polegająca z jednej strony na wykrywaniu zagrożeń przez kontrole słów i czynów ludzkich, z drugiej zaś na uniemożliwianiu niebezpiecznych poczynąń jednostkom podejrzanym o złe zamiary? Nie mogąc zbadać bezpośrednio procesów myślowych, Centrala musi z możliwie największą precyzją rejestrować idące za myślą słowa i czyny ludzkie. Słowa są bardzo dobrym wskaźnikiem stanu myśli. Niewinny na pozór dialog dwóch osób może — po dokładniejszej analizie — okazać się rozmowa spiskujących dywersantów. Rejestrując i badając treść rozmów, Centrala wyławia z nich wszelkie niejasne sformułowania czy wręcz treści jednoznacznie niebezpieczne. Niejasności są interpretowane, rozszyfrowywane i odpowiednio oceniane. Człowiek, który je wypowiada, staje się obiektem podejrzeń. Natomiast treści znaczeniowo czyste, klarowne i nie zawierające elementów niebezpiecznych, są przez Centralę pomijane i natychmiast zapominane.

Centrala zresztą identyfikuje nie tylko osobników o podejrzanym zamiarach, lecz także tych, którzy treścią głoszonych poglądów przyczyniają się do zwiększenia naszego wspólnego bezpieczeństwa. Jednym słowem, Centrala słucha naszych rozmów, obserwuje nasze gesty, nasze czyny i zachowania, by nieustannie oceniać stan ludzkich umysłów. Ta ogromna ilość informacji napływająca bez przerwy do Centrali za pośrednictwem sieci mikrofonów i kamer, jest na bieżąco analizowana. Uzyskane w ten sposób dane służą do oceny każdego obywatela z osobna, a także do kontroli ogólnego stanu bezpieczeństwa. Żaden spisak, żaden zbrodniczy zamysł czy szaleńcze urojenie, mogące zaszkodzić planecie, nie może ująć uwagi Centrali — jeśli z nieprzeniknionej sfery myśli ludzkiej przechodzi w fazę słów lub czynów... Ten złożony system zabezpieczeń funkcjonuje z niezwykłą precyzją, bo pozbawiony jest pierwiastka subiektywizmu. Komputerowa analiza pozwala przetworzyć i zbadać tak ogromną liczbę danych, że nie zdarza się prze-

oczenie czegoś istotnego.

Najlepszym dowodem tej precyzji jest nasze istnienie przez tak wiele lat, pomimo wszelkich grożących nam niebezpieczeństw.

— Skąd wzięliście tak niezwykle wyspecjalizowane urządzenia? — zapytał Rinah.

— Nad projektami i ulepszeniami tego systemu pracują najtęższe głowy — wyjaśnił Zeb, z dumą wskazując poprzez przejrzyste ściany na ludzi w sąsiednich pokojach. — Tutaj i na innych piętrach tego i pozostałych segmentów. Bezpieczeństwo ma absolutny priorytet przed innymi potrzebami. A elementy do budowy układów i systemów sprowadzamy z Ziemi. Stać nas obecnie na najnowocześniejsze urządzenia, choć każecie sobie za nie słono płacić. Tutaj, u nas, brak odpowiednich warunków, by produkować precyzyjne elementy elektroniczne. To samo dotyczy innych ważnych produktów najnowszej technologii, niezbędnych do ochrony naszej niezależności.

— Ale wtedy, na początku... nie mieliście jeszcze takich możliwości, jakże więc...

— Zaczęło się, jak wszystko tutaj, od najprymitywniejszych sposobów — Zeb z czułością pogłaskał jeden ze swych monitorów. — To były trudne czasy, ale dzielny naród (bo już wtedy wszyscy osadnicy czuli się narodem, związanym wspólnotą interesów) radził sobie bez elektroniki. Po prostu każdy uważał na siebie i innych, słuchał pilnie, oczy miał otwarte. Meldunki czujnych obywateli pozwalały eliminować tych, którzy coś knuli przeciwko ogólnemu dobru albo wzniecali zamęt w umysłach ludzkich swymi nieodpowiedzialnymi poglądami i opiniami. Ponieważ odznaczających się czujnością czekały wyróżnienia, wkrótce liczba meldunków wzrosła tak potężnie, że Komisja Zabezpieczeń nie była w stanie wszystkich przeanalizować. Okazało się, że praktycznie prawie wszyscy gorliwie składają meldunki na sąsiadów, z najbliższego powodu albo zgoła bez powodu, by tym samym podkreślić swój pozytywny stosunek do apeli o czujność wobec wrogów społeczeństwa.

Sytuacja taka nie mogła być dłużej tolerowana. Subiektywne doniesienia były bezskuteczne, tworząc tylko zbędny szum, w którym ginęły istotne informacje. Wówczas to powstała idea Centralnego Systemu Zabezpieczeń, opartego na rzetelnej, obiektywnej informacji audiowizualnej i komputerowej analizie danych. Równocześnie zbędne stało się korzystanie z meldunków pochodzących od poszczególnych obywateli, które, jeśli nawet napływają, nie są ani nagradzane, ani nawet brane pod uwagę, bo ich treść, jeśli są prawdziwe, pokrywa się z wiadomościami, które System zdobywa poprzez własne kanały informacyjne.

Zwróć uwagę — ciągnął Zeb po chwili przerwy — że nie ma u nas odpowiednika waszej tajnej policji. Nie miałyby tutaj racji bytu. Mamy jedynie służbę porządkową. Bezpieczeństwo planety zapewnia działający samoczynnie system elektronicznej rejestracji i oceny danych, wskazujący bezbłędnie kto mógłby za-

grażać interesom ogółu.

— Czyżby wciąż jeszcze zdarzali się tacy? — Zeb uśmiechnął się szeroko, tym razem zupełnie szczerze i z wyraźnym rozbawieniem.

— Mój drogi — powiedział. — Ludzie są ludźmi! Nie brak nigdy głupców, fantastów czy po prostu wichrzycieli z zamięłowania. Ale system jest nawet dla nich wyrozumiały. Stać nas na wielkoduszność.

— Nie karze się ich?

— Pojęcie kary jest tutaj nieznane. Nie mamy sądów i więzień. Nie wymierzamy wyroków. To Centrala ocenia każdego z nas na bieżąco. Każde, najdrobniejsze wykroczenie, odnotowywane jest w formie punktów ujemnych. Wiele następujących po sobie wykroczeń składa się na zmniejszenie wskaźnika SC... Jeśli spadek on u kogoś znacznie poniżej jedności, osobnika takiego kieruje się do trudniejszej pracy. Jeśli natomiast otrzymuje się punkty dodatnie, mogą one zniwelować częściowo lub całkowicie ów spadek wskaźnika, a nawet uczynić go większym od jedności.

— I wszystko to odbywa się na podstawie analizy dokonywanej przez komputer Centrali?

— Absolutnie. Nikt nie może tu niczego zmienić. Mowy nie ma o protekcji, o subiektywizmie ocen... Prawo działa jednakowo wobec każdej jednostki ludzkiej. Każdy może sprawdzić w dowolnej chwili, jaki jest jego aktualny wskaźnik, a także, co jest w tej chwili dozwolone, a co wzbronione. Nikt nie może tłumaczyć się nieznajomością przepisów ani wnosić pretensji w sprawie ujemnych ocen swego postępowania.

— No... dobrze... — zastanowił się Rinah. A co dzieje się w przypadku, gdy ktoś otwarcie głosi niebezpieczne idee, na przykład...

— Tylko bez przykładów! — zawołali równocześnie obaj rozmówcy Rinaha, wyciągając przed siebie ręce, jakby chcieli zatkać mu usta.

— System informacyjny nie odróżnia przykładów od poglądów będących własnością mówiącego! — wyjaśnił Alvi. — Musisz na to uważać! Cytując cudze słowa, podpisujesz się pod ich treścią!

— Cóż więc dzieje się z... głosicielami niebezpiecznych idei? Takich, które mogłyby zachwiać bezpieczeństwem Paradyzji...

— Rozumiesz chyba, że idee takie świadczą o zaburzeniach psychicznych — powiedział Zeb z naciskiem. — Niezbędna staje się więc pomoc medyczna.

— Zdarzają się takie przypadki?

— Owszem, urojenia maniakalne, paranoja, pseudologia phantastica... Czasem bywa, że trzeba się kimś zaopiekować. Ale nie ma to nic wspólnego z karaniem ani też ze skierowaniem do innej pracy. Po prostu chorych izoluje się, i tyle. Znam parę zarejestrowanych przypadków urojeń maniakalnych... Chodźmy do cichociemni!

Zeb wprowadził Rinaha do przyległego pomieszczenia — niewielkiej komórki o nieprzejrzystych ścianach. Alvi pozostał na zewnątrz.

— Tutaj można mówić swobodnie wszystko, co się chce. Nie ma tu kamer ani mikrofonów. Pokój ten służy nam do przesłuchiwania taśm z tekstami, które mogłyby wprowadzić zamęt w sieci informacyjnej... A ponadto, tutaj omawia się pewne... sprawy o charakterze naukowym, cytuje nieprawomyślne opinie, nie narażając się na punkty karne. Możemy mówić swobodnie, ściany są ekranowane tak, że nie wychodzi poza nie nawet sygnał emitowany przez muszki i kle... .

Zeb urwał nagle, jakby przygryzł własny język. Przez moment milczał z zakłopotaniem.

— Jaki sygnał? — spytał Rinah, widząc jak rumieniec oblewa czoło socjologa.

— Ach, nic, mniejsza o to. Pewne techniczne sprawy, o których zapewne nie masz pojęcia — jękał się Zeb. — Szkoda czasu na wyjaśnienia.

— Rozumiem — Rinah nie usiłował powstrzymać się od ironicznego tonu. — Sypnąłeś się z jakąś tajemnicą służbową. Zeb spojrzał na niego jakby z wdzięcznością.

— Tak... coś w tym rodzaju... — przyznał, uśmiechając się po lizusowsku. — Spróbuj nie pamiętać, że coś mówiłem o tych...

— Na szczęście jesteśmy w tej, jak jej tam... cichociemni, tak? — Rinah klepnął go po ramieniu. — W porządku, już zapomniałem, miałeś mi coś zacytować.

— Owszem. Parę przykładów urojeń maniakałnych. Był tu jeden taki, który opowiadał wszystkim dookoła, że Paradyzja w ogóle nie dotarła do Tartaru, lecz krąży wciąż wokół jednej z planet Układu Słonecznego, a ludzie pracują w nie-ludzkich warunkach, w kopalniach tej jakiejś tam planety. Maniak nie umiał się zdecydować, czy chodzi o Neptuna, czy Plutona... Albo drugi, który opowiadał, że Paradyzji nie zagrażają żadne klęski i katastrofy, a dochody z eksportu należałoby przeznaczyć raczej na podniesienie standardu życia -mieszkańców, niż na ciągłe doskonalenie i rozbudowę Systemu Zabezpieczeń i Sił Ochrony Zewnętrznej... Byli i tacy, którym się wydawało, że...

Zeb urwał znowu, jakby zastanawiając się, czy warto mówić dalej, wreszcie zakończył zupełnie od rzeczy.

— ... że coś się im tu nie kręci...

— Nie rozumiem — Rinah patrzył na niego zdziwiony.

— No, widzisz... Po prostu wariaci, któżby tam ich rozumiał — mruknął Zeb, kierując się ku wyjściu, a Rinah pojął, że jego informator sam widać przestraszył się tego, co zamierzał powtórzyć: przestraszył się z przyzwyczajenia, pomimo ślepoty i głuchoty ścian specjalnej komory izolującej ich od wszędobylskich uszu i oczu Systemu Zabezpieczeń.

Wracając od socjologa, Rinah czuł niedosyt, jakby wciąż brakowało mu odpowiedzi na pewne pytania nurtujące jego podświadomość. Próbował sprecyzować

sobie te wątpliwości, lecz coś nieuchwytnego wymykało się ciągle jego myślom.

— Nadal nie rozumiem paru spraw — powiedział do Alwiego, gdy oczekiwali na windę. — Nie wiem na przykład, w jaki sposób przeniesienie do trudniejszej pracy wpływać może na zmianę poglądów osób podejrzanych o... niechęć czy wrogość do społeczeństwa...

— Ależ to proste! — uśmiechnął się Alvi: — Po pierwsze, człowiek intensywniej pracujący ma mniej czasu i ochoty do rozważań na tematy nie związane z codziennymi zajęciami. Po drugie: ogranicza słowne wyrażanie nieodpowiedzialnych opinii, by uniknąć kolejnego przeniesienia na jeszcze pośledniejsze stanowisko pracy... Wreszcie, po trzecie, znalazłszy się na Tartarze, nie ma już nawet cienia możliwości jakiegokolwiek działania na szkodę Paradyzji, może wówczas jedynie myśleć i mówić różne rzeczy, ale zwykle ogranicza się i pod tym względem, bo to tylko przedłuża jego pobyt na Tartarze i opóźnia powrót na lepsze stanowisko pracy. Pobyt na Tartarze jest naprawdę bardzo uciążliwy i niebezpieczny. Zdarza się tam sporo nieszczęśliwych wypadków, praca jest trudna i wyczerpująca. Szczerze mówiąc, nie ma raczej ochotników, którzy chcieliby znaleźć się tam dobrowolnie.

— A więc... odpowiednio niski wskaźnik SC oznacza automatyczne skierowanie na Tartar?

— Oczywiście! Przecież ktoś musi tam pracować. Od tego zależy nasz wspólny byt, cała nasza gospodarka, ochrona, bezpieczeństwo wewnętrzne.

— Ale... przecież istnieją ogólne zasady, choćby Konwencja Osadnicza, podpisana przez Paradyzję wiele lat temu, które gwarantują jednostce ludzkiej pewne minimum praw i przywilejów... czy wasze Prawo nie stoi w sprzeczności z tymi zasadami?

— Skądże znowu! — Wyraz twarzy Alwiego zdradzał szczere oburzenie. — Prawa jednostki ludzkiej są u nas w pełni respektowane! Na każdą jednostkę przypada dokładnie tyle praw i przywilejów, ile przewidują międzyplanetarne konwencje. Reszta zależy wyłącznie od każdego z nas. Na przykład ja posiadam aktualnie około półtorej j e d n o s t k i, a ci, których wysyła się do pracy na Tartar, mogą posiadać po pół i mniej... To chyba jasne, że na p ó ł j e d n o s t k i l u d z k i e j przypada p o ł o w a praw i przywilejów!

Rinah już od paru chwil przestał rozumieć rozmówcę. Myśli kłębiły mu się w głowie, trudno mu było sformułować pytanie.

— Zaraz, zaraz... — wyjąkał, gdy wysiedli z windy na dziesiątym poziomie. — Co rozumiesz pod pojęciem „jednostki ludzkiej”?

— Jak to: co? — zdziwił się Alvi. — Chyba nie powiesz mi, że u was określa się tym pojęciem coś innego niż u nas! Jednostka — to jednostka. Jak metr, kilogram czy sekunda! Służy do określania wartości SC...

— Co oznacza ten skrót? — Rinah odczuł coś w rodzaju olśnienia i przerażenia zarazem.

— Nie wiesz? Po prostu: Stopień — Człowieczeństwa! — wyjaśnił spokojnie Alvi.

Do przejrzystości ścian można było rzeczywiście przywyknąć. Rinah coraz rzadziej zwracał uwagę na ludzi zajętych swoimi sprawami — podobnie, jak oni nie interesowali się jego osobą.

— Sądziłem, że w większym stopniu korzystacie tu z automatyzacji — zauważył, obserwując personel kuchenny, widoczny przez ścianą ze stołówek, gdzie jedli obiad. — Tymczasem okazuje się, że większość prac wykonują tu ludzie.

— Automatyka opłaca się tam, gdzie nie ma dość rąk do pracy. U nas nie narzekamy na brak pracowników — uśmiechnął się Alvi. — Każdemu trzeba dać zajęcie. Automatyka jest droga, urządzenia pochodzą z importu. Musimy przede wszystkim zaspokoić potrzeby Systemu Zabezpieczeń, który wymaga wielu kosztownych podzespołów. Poza tym urządzenia automatyczne muszą kontrolować rozdział towarów i żywności. Nikt tutaj nie dostanie więcej, niż mu się należy, choćby był zaprzyjaźniony z personelem kuchennym. Przy ostatniej fazie wydawania posiłków czuwa automatyczny kontroler, nieczuły na prośby i uśmiechy. Jeśli wyczerpałeś swój limit, nic więcej nie będzie ci wydane, klapka podajnika nie otworzy się na sygnał twojego identyfikatora. Dawniej, zanim wprowadzono to zabezpieczenie, zdarzały się przypadki nadużyć... Nawet kontrolerzy też czasem ulegali czyjemuś urokowi osobistemu...

— A więc każdemu należy się jedna porcja obiadu dziennie?

— W zasadzie, tak... To znaczy... jedna porcja na j e d n o s t k ę. Jeśli ktoś ma SC wyższy od jedności, otrzymać może co pewien czas dodatkową porcję... Natomiast przy SC równym pół jednostki, dostaje obiad tylko co drugi dzień...

— A jeśli ma jeszcze mniejszy wskaźnik?

— Takich t u t a j nie ma — powiedział Alvi z naciskiem.

— Rozumiem. Tacy pracują na Tartarze — domyślił się Rinah.

— Uhm! — przytaknął Alvi. — Tam zaś obowiązują nieco inne zasady... Dlatego każdy stara się pozostać tutaj.

— Ciekaw jestem, kto będzie pracował na Tartarze, gdy wszyscy okażą się pracowici, rozsądni i zdyscyplinowani?

— To nie ma nic do rzeczy — Alvi pokręcił głową. — Praca na Tartarze jest koniecznością. Bez niej nie mogłaby istnieć Paradyzja.

— Czy uważasz, że zawsze będzie wśród was dostatecznie wielu takich, którzy zasłużą sobie na wskaźnik mniejszy niż pięć dziesiątych?

— To naprawdę nie ma znaczenia. Na Tartarze musi pracować określona liczba obywateli i ta właśnie liczba stanowi parametr wyjściowy do określenia granicznej wartości wskaźnika, poniżej której dostaje się przydział na Tartar! Wszystko to oczywiście kalkuluje i reguluje Centrala, ona też kieruje poszczególne osoby do tej czy innej pracy. Tutaj także nie pomoże żadna protekcja. Dziś na przykład wskaźnik 0,6 zapewnia ci pracę zmywacza naczyń, a jutro nad ranem budzi cię

głośnik i oznajmia, że wszyscy ze wskaźnikiem mniejszym od 0,7 mają się zgłosić na głównym korytarzu swego piętra do odlotu na Tartar. . .

— Trudno nazwać tę sytuację psychicznym komfortem — zauważył Rinah ogłędnie, zupełnie podświadomie unikając bardziej dosadnych określeń.

Coraz wyraźniej odczuwał, jak atmosfera Paradyzji wpływa na jego sposób wyrażania się, a nawet na sposób myślenia: groźba ujemnych ocen, wisząca nad tubylcami, zaczynała kształtować również jego zachowania, wciąż nie był pewien, czy ogólna zasada nie objęła także jego osoby, czy nie włączono go do tej powszechnej gry. Uprzedzano go przecież w chwili przekraczania komory kontrolnej, że jego także obejmują wszelkie miejscowe prawa i przepisy. Kiedy przypadkiem sprawdził poprzedniego dnia wartość swojego wskaźnika SC, okazał się on mniejszy od jedności. Czyżby zapomniano poinformować Centralę o szczególnej sytuacji Rinaha w tym świecie? Trudno mu było uwierzyć, że w tak doskonale funkcjonującym systemie mógłby ulec przeoczeniu tak istotny szczegół. . .

— Wszystko zależy od punktu widzenia. — Alvi był widać przyzwyczajony do cierpliwego odpowiadania na różne pytania i na każde miał gotową odpowiedź. — Wystarczy sobie pomyśleć, że praca na Tartarze jest naturalnym obowiązkiem, a określanie wskaźnika ma na celu nie karanie za przewinienia, lecz wyróżnianie poprzez tymczasowe zwolnienie z tego obowiązku. Trzeba jednak być zawsze świadomym tego, że wcześniej czy później może przyjść kolej na każdego z nas. . . Zmora lęku zamienia się tym samym w powód do codziennego zadowolenia, że nasza kolej jeszcze nie nadeszła. . .

Rozdział XII

Gdy wychodzili z jadłodajni, zaczęła się ona dopiero zapęłniać ludźmi kończącymi pracę o piętnastej. Na głównym korytarzu spory ruch, ludzie wstępowali do magazynów, by pobrać jakieś przydziałowe drobiazgi. Niektórzy przysiadali w małych barach i herbaciarniach, pokazując sobie nawzajem otrzymane towary i ciesząc się najwyraźniej z każdego zdobytego przedmiotu. Informowali się przy tym, gdzie można dostać dobre szczotki do zębów gdzie właśnie dostarczono ostrza do golenia albo chusteczki do nosa.

— Przyszedł pierwszy transport towarów, z twojego, frachtowca — wyjaśnił Alvi. — Stąd ten wyjątkowy ruch w magazynach. Dostawy są, niestety, niezbyt rytmiczne. Statki z Ziemi przybywają w kilkumiesięcznych odstępach i dlatego każdy woli pobrać swój przydział od razu.

Ludzie nosili zakupy w przezroczystych torbach z folii, więc Rinah mógł łatwo dostrzec, co było powodem ich radości i podniecenia. Towary te na Ziemi nie wzbudzałyby specjalnych emocji, przeważnie były to drobiazgi osobistego użytku, jakie można spotkać w każdym ziemskim kiosku czy automacie.

Alvi obejrzał się za grupką młodych, rozgadanych dziewcząt które wyszły razem z pomieszczenia oznaczonego wizerunkiem maszyny do szycia.

— Ładne mamy dziewczyny, prawdą? — uśmiechnął się do Rinaha.

Dwie czy trzy z dziewcząt obejrzały się za nimi, wymieniły jakieś uwagi.

— Twoja ciemna cera rzuca, się w oczy. Nie wygląda na opaleniznę od lampy kwarcowej. Zresztą widziano cię w telewizji. . . Miałbyś pewnie powodzenie u tu-tejszych kobiet. Wiele z nich marzy o poznaniu Ziemianina. Co zamierzasz zrobić dziś wieczorem.?

— Mam spotkanie — powiedział Rinah. — A przedtem. . . Może popracuję, zrobię trochę notatek. . .

— Spotkanie? — zdziwił się Alvi. — A więc już masz tu znajomych?

— Zinia Vett była u mnie wczoraj.

— Ho, ho! — Alvi pokręcił głową z nietajonym podziwem i zazdrością. — Jak ty to robisz?

— Przecież sam mówiłeś, że Ziemianie są tutaj lubiani — zaśmiał się Rinah.

— Ale, niestety, chodzi tylko o wywiad. Możesz to sprawdzić w zapisach Centrali. Alvi naburmuszył się nagle.

— Nie jestem pracownikiem służby porządkowej, mówiłem ci już o tym. Nic mnie nie obchodzi, z kim się spotykasz i o czym rozmawiasz. To sprawa Systemu Zabezpieczeń. Nie śledzimy się tutaj wzajemnie, to zupełnie zbyteczne.

— Wiem, nie musisz się od razu obrażać! — powiedział Rinah pojednawczo. — Dziękuję ci za cierpliwość i miłe towarzystwo. Jeśli masz jakieś własne sprawy, nie będę cię zatrzymywał, spotkamy się jutro.

— Świetnie! — ucieszył się przewodnik. — Wiesz, trochę zaniedbałem osobiste sprawy, muszę to odrobić...

— Dziewczyna?

— Ściśle mówiąc, żona. Obiecałem jej, że pójdziemy gdzieś razem...

— Gdzie tutaj można pójść wieczorem?

— Jest kilka miejsc... Koncert, teatr, można potańczyć przy dobrych nagraniach. Są też taśmoteki z nagraniami literatury pięknej. Poza tym, od czasu do czasu, imprezy sportowe, zawody międzysegmentowe, ale to już na innym piętrze, jeśli się ma zezwolenie. No i oczywiście programy telewizyjne. Właściwie wszystko, co macie u siebie na Ziemi...

— Z wyjątkiem wyjazdów poza miasto... — wtrącił Rinah, patrząc z ukosa na Alviego, który skrzywił się lekko, ale odpowiedział zupełnie spokojnie:

— Trudno odczuwać brak tego, czego się nie zna.

— Nieznane pociąga.

— Tylko myśl sięga poprzez próżnię...

— Czy można ożenić się z Paradyzyjką?

— Można, jeśli chce się zostać Paradyzejczykiem.

— Zdarza się to czasem?

— Nie słyszałem o takich przypadkach. Ludzie z zewnątrz bywają tutaj rzadko i na krótko, zwykle dla załatwienia konkretnych spraw: konsultacji, ekspertyz technicznych. Przyjeżdżają i wyjeżdżają. Czyżbyś zakochał się w Zinii?

— Jeszcze nie — powiedział Rinah ze śmiechem. — Ale mógłbym.

— Nie zabierzesz jej stąd. Zwłaszcza jej! — Alvi mocno zaakcentował ostatnie słowa.

— Nawet gdyby tego chciała?

— Jej chęci nie miałyby znaczenia. Ludzkie chęci bywają nieraz sprzeczne z interesem społecznym, a nawet z indywidualnym interesem człowieka, choć on sam tego nie dostrzega. Centrala wie lepiej, posiada pełną informację i może ostrzec albo nawet uniemożliwić działanie na własną szkodę...

— Jaką szkodę?

— No, przecież wiesz, co dzieje się na Ziemi.

— Wiem, bo tam się urodziłem...

— Nie. Wiesz, bo widziałeś w naszej telewizji — Alvi uśmiechnął się szyderczo. — Centrala powstrzymuje człowieka przed wyrządzeniem sobie krzywdy. To proste: jeśli Paradyzja jest najlepszym z możliwych światów, to rezygnacja z niego na rzecz jakiegokolwiek innej planety jest w każdym przypadku szkodem samymu sobie.

— Można przecież... wrócić.

— O, nie. To z kolei mogłoby zagrozić Paradyzji. Tam, na Ziemi, znane są perfidne metody oddziaływania na ludzki charakter... Nie możemy pozwolić, by przysyłano nam tutaj dywersantów i szpiegów.

Szyderczy uśmiech nie opuszczał oblicza Alwiego, gdy z przekonaniem wygłaszał te bzdurne slogany.

— Pójdę już! — wyciągnął dłoń w stronę Rinaha. — Musiałem ci to powiedzieć, skoro już dotknąłeś tej... puszki Pandory.

Przy ostatnich słowach wymownie potoczył wzrokiem dokoła, a Rinah odniósł wrażenie, że określenie to mogło odnosić się do Paradyzji.

„Ciekawe, co miał na myśli? — zastanawiał się patrząc za odchodzącym Alvim, który zniknął w wejściu do windy. — Czyżby liczył na moją znajomość tego ich podwójnego języka? Puszka Pandory — to przecież pojemnik zawierający wszelkie nieszczęścia... Bezpieczny, póki zamknięty... Groźny, gdy go otworzyć... Groźny — dla kogo?”

Rinah spojrzął na zegar. Do wieczora było dość czasu, postanowił więc przejść się po piętrze. Mijając windę spróbował dotknąć drzwi szybu dłonią z identyfikatorem. Światelko sygnalizacyjne zapaliło się po chwili winda otworzyła się zapraszająco.

„Widocznie zezwolenie ważne jest do końca dnia” — pomyślał wsiadając i naciskając przycisk jedenastego poziomu.

Przejechawszy o jedno piętro wyżej, wysiadł i od razu wmieszał się w tłum młodych ludzi, przechodzących korytarzem. Chłopcy i dziewczęta w malowniczo połatanych strojach, z plastikowymi torbami pełnymi kaset wideofonicznych, z przewieszonymi przez ramię dyktafonami, wychodzili z pobliskich pomieszczeń, sunąc całą szerokością korytarza. Z urywków rozmów Rinah bez trudu wywnioskował, że są to studenci jakiejś miejscowej uczelni. Idąc za jedną z kilkusobowych grup, znalazł się w sporym pomieszczeniu wyglądającym na klub czy świetlicę, z paroma dozownikami napojów i jakimiś automatami do gier zręcznościowych. Ekran telewizyjny był wygaszony, z głośnika płynęła głośna, rytmiczna muzyka. Przy licznych stolikach przekrzykiwali się młodzi ludzie, dyskutując zawzięcie w trudnej do zrozumienia młodzieżowej gwarze.

Rinah przysiadł się do stolika, przy którym rozmawiało dwóch chłopców. Po chwili dołączyła się do nich dziewczyna. Zauważył jej dwa kolejne, długie spojrzenia, którymi obejrzała go dokładnie.

Siedziała naprzeciw Rinaha i udając zainteresowanie rozmową kolegów, zer-

kała na niego od czasu do czasu, on zaś, zrezygnowawszy po chwili z prób zrozumienia treści dialogu, przyglądał się dziewczynie.

— Znam cię chyba! — nie wytrzymała wreszcie, patrząc mu prosto w oczy.

— Pewnie oglądałaś mnie na ekranie.

— Tak, oczywiście! — ucieszyła się. — Pisarz z Ziemi. Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać...

Rinah wymienił swoje nazwisko, młodzi ludzie przerwali rozmowę i spoglądali na niego z zainteresowaniem.

— Jestem Kasiopea albo po prostu Kasia, z trzeciego roku Perswazji.

— Czego? — zdumiał się Rinah.

— Nasza koleżanka uczy się przekonywania, że czarne jest białe — wyjaśnił z powagą jeden ze studentów.

— Głupi jesteś! — burknęła w jego stronę. — Po prostu studiuje na wydziale Indoktrynacji Perswazyjnej. U was, na Ziemi, nie rozwinięto tej gałęzi wiedzy, to nasze własne osiągnięcie. Można by to porównać z waszą pedagogiką społeczną, resocjalizacją... W przyszłości będę zajmowała się wychowywaniem młodzieży, o ile nie dostanę innego przydziału pracy... Ale ciebie pewnie to nie interesuje...

— Wszystko mnie interesuje! Jestem tutaj dopiero drugi dzień.

— Czy to prawda, że u was wciąż jeszcze obowiązuje wszystkich nauka pisanie i czytania? — spytał jeden z chłopców, wysoki blondyn z krótko ostrzyżonymi włosami.

— Oczywiście. Mamy przecież ogromne biblioteki, czasopisma... Zapisy magnetyczne są używane raczej do przekazywania danych komputerom, ludzie korzystają głównie z pisma i druku.

— To okropnie nienowoczesne — powiedziała dziewczyna. — Ciekawa jestem, jak sobie radzi wasz System Bezpieczeństwa z tymi pisanymi tekstami?

— U nich jest inaczej, głuptasku! — powiedział drugi student.

— Jak to inaczej?

— U nas nie ma potrzeby tak dokładnej kontroli informacji — wyjaśnił Rinah.

— Robi się to wyłącznie w nielicznych, uzasadnionych przypadkach. Podczas śledzenia przestępców albo szpiegów podsłuchuje się niekiedy rozmowy, kontroluje korespondencje pisaną...

— To skąd wasza Centrala wie, co ludzie myślą?

— Nasze władze nie interesują się tym zbyt dokładnie.

— No tak! — uśmiech zrozumienia pojawił się na twarzy dziewczyny. — Wasz system w znacznie mniejszym stopniu interesuje się człowiekiem, pozostawia go sam na sam z jego myślami i problemami.

Dwaj studenci wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

— Gęsi uratowały Rzym — powiedział wysoki, patrząc w sufit. — Chwała im za to.

— Muszę iść — powiedziała dziewczyna i wyszła.

— Obraziła się... — mruknął blondyn.

— Nie szkodzi, a nawet lepiej... Jeśli masz chwilę czasu, to chodź z nami. — Drugi zwrócił się do Rinaha. — Może cię to zainteresuje.

Wyszli razem z klubu i poprzez kilkanaście pokoi zamieszkanymi przez studentów dotarli do drzwi, w których stał młody człowiek, uniemożliwiając ich samoczynne zamknięcie. Ściany następnego pokoju były nieprzejrzyste.

— Mamy gościa. Dziennikarz z Ziemi — powiedział blondyn.

— Literat — poprawił jego kolega.

— Dobrze, sala zaraz będzie gotowa, chłopcy już kończą. Nie macie gumy do żucia?

Rinah miał trochę, sięgnął do kieszeni i podał stojącemu w drzwiach. Na palcach jego dłoni dostrzegł kilka identyfikatorów.

— Chłopcy, jest guma — powiedział student w głąb pokoju.

Rinah spostrzegł przez otwarte drzwi, jak jeden z obecnych tam młodych ludzi wspina się na ramiona drugiego i objeżdżając na nim ściany wokoło, manipuluje przy czymś pod sufitem. Po chwili dopiero zorientował się, że chłopak zalepia gumą do żucia obiektywy mikrokamer.

Za Rinahem i jego towarzyszami ustawiała się kolejka złożona z kilkunastu chłopców i dziewczyn.

— Jeszcze chwila! Zaraz wpuszczamy! — informował student przy drzwiach.

Wprawnym ruchem sięgnął do prawej dłoni Rinaha i przełożył jego identyfikator na własny palec. Rinah znalazł się w małym studenckim pokoiku z dwoma tapczanami i parą foteli. Za nim wchodzili inni, również bez identyfikatorów, sadowili się ciasno na tapczanach i podłodze, pozostawiając środek wolny. Chłopak z identyfikatorami pozostał na zewnątrz, drzwi zasunęły się za ostatnim wchodzącym.

— Siadaj byle gdzie i słuchaj — powiedział krótko ostrzyżony blondyn. — Może to jedyne miejsce, gdzie mówi się po ludzku. Przyprawiliśmy cię tutaj, bo jesteś stamtąd i chcesz dowiedzieć się czegoś o nas, ale nie znasz języka, w którym mówi się tu na codzień prawdę.

Na środek wystąpił drobny chłopak o dużych, błyszczących oczach i gestem powitał zebranych.

— Rozpoczynamy kolejny spektakl naszego studenckiego teatryku „Czarna Dziura” — powiedział z powagą. — Doskonale anonimowi wykonawcy witają absolutnie anonimową publiczność. Jeżeli można przyjąć, że znajdując się wewnątrz dziury w serze jest się na zewnątrz sera, to właśnie w tej chwili znajdujemy się na zewnątrz najlepszego ze światów! I co, drodzy przyjaciele? Żyjemy, oddychamy jeszcze? Zdumiewające!

Rozległy się śmiechy i brawa, konferansjer skłonił się ceremonialnie.

— Jakie to proste, nieprawdaż? — kontynuował, wznosząc dłonie ku zalepionym obiektywom kamer. — Wystarczy kawałek wysokiej jakości gumy do żucia,

firmy...

Schylił się, podnosząc z podłogi zmięte opakowanie.

— ...firmy S...P...E...A...R... tfu, co za okropne hieroglify, zbrodniczy wymysł tych tam, no, wiadomych sił... i już możesz bezkarnie podważać, naruszać, oczerniać, w ogóle m ó w i ć, mówić nie będąc słyszany i widziany, co za niesłychana zbrodnia, a wszystko dzięki dywersyjnej gumie do żucia, produkowanej przez naszych wrogów, by ogłuszać i oślepić... kogo? Nasz dzielny, niezawodny System Zabezpieczeń!

— Czy nie wystarczyłoby zgasić światło, zamiast zalepiać soczewki? — szepetem spytał Rinah sąsiada.

— Kamery działają także na podczerwień — wyjaśnił chłopak. — Dopóki w pomieszczeniu nie ma żadnego identyfikatora, komputer nie interesuje się tym pokojem, traktując go jako pusty. Gdyby jednak kamery czuły czyjąś obecność, a mikrofony rejestrowały głos, System potraktowałby to jak awarię pętli indukcyjnej i zaraz mielibyśmy tu ekipę naprawczą.

— Inne środki przekazu też nie, działają, gdy w polu lokalnej pętli nie ma sygnału identyfikacyjnego — szepnął drugi student zza pleców Rinaha. — Jeśli chcesz, to damy ci kasetę ze wskazówkami, jak można ogłupić System Zabezpieczeń.

Po konferansjerze na środek pokoju wystąpiła dziewczyna, która zaśpiewała ponurą balladę, w której przedstawiony był los młodego człowieka wysłanego do pracy w kopalni, za to, że swojej dziewczynie obiecywał pokazać prawdziwe słońce, a System uznał to za równoznaczne z zamiarem wybicia dziury w powłoce Paradyzji.

Potem kilku chłopców recytowało wiersze, o bardzo zróżnicowanym poziomie literackim, lecz o dość jednoznacznej treści. Wszystkie wyrażały protest przeciwko zamknięciu, ubezwłasnowolnieniu i pozbawieniu młodych ludzi jakichkolwiek możliwości kształtowania swojego losu. Nie było w nich żadnych wezwań do czynów mogących zaszkodzić planecie, raczej stawiały retoryczne pytania...

Jeden z wierszy szczególnie utkwił Rinahowi w pamięci. Brzmiał mniej więcej tak:

Słowem bezustym
gestem bezrękim
wznosisz bezwiednie
mur wokół siebie
i ścian uszatych
przejrzystą matnię
w noc bezgwiezdne
myślą bezmózgą

błędząc bezsennie
nadziei własnej
zamurowujesz
wyjścia ostatnie

Wiersz był charakterystycznym przykładem twórczości, młodych paradyzyjskich poetów, kryjących się przed okiem i uchem Centrali, mogących rozpowszechniać swoje smutne i gorzkie utwory jedynie w wąskim gronie kolegów.

Rinaha zdumiewały w tych wierszach — niezależnie od ich poetyckich walorów — przede wszystkim dwie sprawy: język, niezwykle bogaty w słowa, oznaczające pojęcia nie znane Paradyzyjczykom z własnych doświadczeń, oraz trafność oceny własnej sytuacji w zamkniętym świecie planety.

Kwestię języka, który był w gruncie rzeczy zupełnie normalnym językiem literackim, używanym w utworach ziemskich pisarzy, dawało się wyjaśnić dość łatwo.

— Mamy tutaj dostęp do nagrań całej prawie literatury ziemskiej sprzed powstania Paradyzji — wyjaśnił Rinahowi jeden z młodych poetów. — Trafiają do nas także nagrania utworów współczesnych, lecz nie jest ich wiele. No i oczywiście filmy... Z tego wszystkiego możemy zrekonstruować sobie w wyobraźni postać świata, którego nigdy nie widzieliśmy i nie zobaczymy...

Tak więc, znając Ziemię ledwie „ze słyszenia”, z drugiej ręki, młodzi paradyzyjscy twórcy operowali pojęciami tamtego świata opisując swój własny, wizualnie monotonny i ubogi.

Głównym jednakże motywem, przewijającym się w utworach, był los człowieka zamkniętego w niewielkiej przestrzeni sztucznej planety, ograniczonego w swych możliwościach zarówno pod względem wyboru miejsca, jak i sposobu życia.

Ci młodzi ludzie nie mogli mieć własnych planów życiowych, gdyż ostatnie słowo miał tu zawsze centralny komputer, od decyzji którego nie można się odwołać. Zamiast planów, pozostawały tylko marzenia — choć nawet dla marzeń trudno było znaleźć tu cele warte uwagi. Wyglądało raczej na to, że jedynym istotnym marzeniem człowieka w Paradyzji było jak najdłuższe pozostawanie tutaj, bez konieczności wyjazdu na Tartar.

W odróżnieniu od głoszonych na każdym kroku haseł ochrony bezpieczeństwa planety, w wypowiedziach prywatnych młodzi ludzie zupełnie nie poruszali tej sprawy. Motywem protestu przeciwko rzeczywistości ich planety nie było bynajmniej poczucie lęku przed zagrożeniem zewnętrznym czy wewnętrznym. Buntowali się raczej wobec perspektywy swego bezpiecznego życia, niż wobec groźby czyhającej zagłady świata.

Korzystając ze swobody dyskusji, jaką zapewniały chwilowo ogłuszone mi-

krofony, Rinah włączył się do dysputy, która wywiązała się po spektaklu. Rozmowy toczyły się w zupełnie zrozumiałym języku, w niczym nie przypominającym enigmatycznych, aluzyjnych sformułowań Zinii, ani też sztywnych i oficjalnych, wygładzonych zdań Alviego czy Zęba.

Ze szczerych wypowiedzi studentów można było dowiedzieć się mnóstwa cennych szczegółów dotyczących codziennego życia, nastrojów wśród ludności, stanu prawdziwej, nie maskowanej pozorami, świadomości społeczeństwa Paradyzji. Rinah coraz wyraźniej dostrzegał zasadę działania tej zwykłej na pozór, zdyscyplinowanej zbiorowości ludzkiej.

Można było streścić tę zasadę do prostego zalecenia: myśl, co chcesz, ale nie daj się na tym przyłapać.

— Trzeba bardzo uważać na swoje słowa. Nawet na słowa, nie mówiąc już o treści opinii i poglądów wygłaszanych wobec innych — wyjaśniał student, który zaprosił Rinaha do teatrzyku. — Donosicielstwa tutaj nie ma, ale System ma wszędzie swoje uszy i oczy. Nigdy nie wiadomo, czy twój zaufany przyjaciel nie nosi na sobie, zupełnie nieświadomie, jakiegoś mikrourządzenia podsłuchowego czy podglądającego. Pełno tutaj różnych drobiazgów, włączających do pokoi przez przewody klimatyzacyjnej fruwających w powietrzu. . . Odkąd ludzie zaczęli stosować różne sposoby, pozwalające oszukać mikrokamery i mikrofony podsłuchowe, System Zabezpieczeń wzbogaca arsenał środków. My, oczywiście, staramy się znaleźć przeciwsrodki, lecz nie zawsze się to udaje. Dlatego należy wciąż bardzo uważać, zwłaszcza gdy się dobrze nie zna metod kontroli.

— Odnoszę wrażenie, że wasz system kontroli daje się unieszkodliwić bardzo prostymi sposobami! — zauważył Rinah. — Czy wszyscy to robią na co dzień?

— Wydaje ci się tylko, że to proste! — uśmiechnął się student. — To, że możemy tutaj rozmawiać swobodnie, uwarunkowane jest mnóstwem działań przygotowawczych. Gdybyś tak po prostu wszedł do swego pokoju i zakleił gumą do żucia mikrofony i kamery, to już następnego dnia kopałbyś wolfram na Kontynencie Zachodnim. Unieszkodliwianie „zmysłów” Systemu Zabezpieczeń — to cała dziedzina „wiedzy tajemnej”. Mamy od tego specjalistów, znajdujących wszystkie błędy i niedopatrzenia, jakich dopuścili się projektanci Systemu. Może ci się zdaje, że to bardzo proste. Wystarczy oddać swój identyfikator innej osobie, by stać się nieobecnym w miejscu swego pobytu. Owszem, System tak to właśnie odbiera. Pomyśl jednak, że w ten sposób sam zamykasz się w pokoju, z którego nie wyjdziesz bez identyfikatora. Jesteś pozbawiony możliwości działania, a mówić możesz tylko sam do siebie, co nikomu nie przeszkadza. Gdyby jednak ktoś drugi, z identyfikatorem na palcu, znalazł się w tym samym pokoju, wszystko, co powiesz, będzie zaliczone na jego konto. To tylko przykład, bardzo uproszczony. Oprócz powszechnie znanych środków kontroli jest wiele takich, o których prawie nikt nie wie. By mieć całkowitą pewność, że pomieszczenie jest absolutnie wolne od kontroli, trzeba zaangażować dobrego specjalistę. . .

Na pożegnanie Rinah otrzymał od swych nowych znajomych kasotę z nagraniem utworu literackiego, którego rozpowszechnianie było zakazane przez System. Za samo nagranie tego utworu i przedstawienie Centrali do skontrolowania, autor otrzymał podobno długoletni przydział pracy na Tartarze.

— Zanim zaczniesz słuchać, dokładnie umyj uszy i sprawdź włosy — powiedział student, który wręczył Rinahowi kasotę. — Słuchaj oczywiście przy użyciu słuchawek. A nie próbuj czasem wywieźć tego z Paradyzji, bo mogą być kłopoty na komorze celnej. Raczej skasuj to po wysłuchaniu.

Rozdział XIII

Wieczór spędzał Rinah w swoim pokoju, oglądając program telewizyjny. Ze zdumieniem dowiadywał się z niego przerażających rzeczy o Ziemi.

W miarę przyzwoity system sprawiedliwości społecznej, oparty na poszanowaniu ludzkich praw i ludzkiej godności, jaki w ciągu wielu stuleci, w drodze stopniowej likwidacji wszelkich form wyzysku i ucisku zbudowano wreszcie na Starym Globie — tutaj przedstawiany był jako wielkie oszustwo i kamuflaż, maskujący niedolę społeczeństwa poddanego machinacjom bliżej nie określonych, ciemnych mocy... Rinahowi robiło się niedobrze od słuchania prymitywnych komentarzy, szkalujących ziemskie stosunki i oglądania nie wiadomo skąd wziętych filmów ukazujących rzekome zdziczenie społeczeństwa, zbrodnie, katastrofy, wypadki komunikacyjne będące dziełem wykolejonych jednostek i skutkiem wypaczonych stosunków międzyludzkich.

Po dłuższej obserwacji Rinah zaczął podejrzewać, że rewelacje filmowe na temat Ziemi stanowić muszą montaż fragmentów wybranych z modnych niegdyś opowieści grozy, dramatów kryminalnych i przyszłościowych, katastroficznych filmów science-fiction. Oglądane jako rzekome reportaże z codziennej ziemskiej rzeczywistości, mogły naprawdę skutecznie przekonywać widzów o tym, że świat Paradyzji jest w porównaniu z Ziemią oazą bezpieczeństwa i spokoju. Obraz Ziemi, spreparowany w tak tendencyjny i oszukańczy sposób, miał zapewne czynić bardziej prawdopodobną oficjalnie głoszoną tezę o przewrotnych, zdradzieckich zamiarach jej mieszkańców w stosunku do żyjących sobie spokojnie i uczciwie Paradyzjczyków.

W pokazywanych materiałach filmowych skutki cywilizacji ziemskiej przedstawiane były zazwyczaj jako ślepe fatum, wiszące nad głową każdego Ziemianina i spadające na niego coraz to inną plagą lub nieszczęściem, na zasadzie absolutnego przypadku. Katastrofy, zamachy bombowe, serie broni maszynowej z rąk szaleńców, pożary gmachów publicznych spowodowane sabotażem lub nie dbalstwem — wszystko to dotyczyło przypadkowych, niewinnych ludzi. Miało to zapewne (na zasadzie przeciwstawienia) dowodzić wyższości systemu porządku i organizacji życia w Paradyzji, gdzie nie mogłoby się nic podobnego zdarzyć.

Cała miejscowa propaganda zdawała się nieustannie głosić, iż w odróżnieniu od reszty Wszechświata, rządzonego żywiołowymi prawami przyrody, pełnego niespodziewanych zdarzeń i ludzkiej przewrotności — w Paradyzji nic, absolutnie nic nie ma prawa wydarzyć się przypadkowo, wymknąwszy się spod kontroli niezawodnego Systemu Zabezpieczeń. Każdy mieszkaniec tej planety powinien stąd sam wyciągnąć wniosek: jeśli nawet, w jego pojęciu, wydarzyło mu się jakieś nieszczęście, to sam jest temu winien. . .

Innymi słowy, Paradyzyjczyk powinien być przekonany o tym, że jego los kształtowany jest wyłącznie przez niego samego, przez jego słowa i czyny, zachowania i postawę obywatelską. Powinien przy tym być pewien, że Centrala, strzegąca porządku i bezpieczeństwa, dokonuje jedynie obiektywnego podsumowania i oceny ludzkich działań, a to nie ma nic wspólnego z pojęciem sprawowania władzy.

„Gdy sprawiedliwość zakodowana w zasadach Prawa egzekwowana jest z całą konsekwencją i nieomyślnością, nie podlegając subiektywnej manipulacji, wówczas każdy członek społeczeństwa postępujący wedle Prawa staje się uczestnikiem procesu sprawowania władzy”. — Zdanie to Rinah zapamiętał z jakiejś audycji publicystycznej.

Oczekując zapowiedzianej wizyty Zinii, wydobyl z walizki dyktafon i założył czystą kasetę. Postanowił nagrać całą rozmowę, by przekonać się następnie, do jakiego stopnia treść wywiadu opublikowanego w telewizji będzie zgodna z tym, co rzeczywiście powie dziennikarce.

Gdy rozległ się brzęczyk wideofonu, Rinah był przekonany, że dzwoni Zinia. Podbiegł szybko do pulpitu i nim dotknął przycisku odbioru, przygotował odpowiednio miły uśmiech. Zamiast dziewczyny narożnik ekranu wypełnił się kudłatą głową nieznajomego mężczyzny.

— Dobry wieczór! — Twarz na ekranie uśmiechnęła się, co z trudem można było zauważyć pomiędzy rozwichrzoną czupryną a obfitym zarostem. — Rinah Devi, prawda?

Rinah przytaknął.

— Jesteś Ziemianinem? — upewnił się brodac. — Nazywam się Nikor Orley Huxwell, ale dla uproszczenia można do mnie mówić Niki. Czy masz jakiś własny przyrząd do nagrywania dźwięku?

— Mam dyktafon — powiedział Rinah, nie ukrywając lekkiego zniecierpliwienia. — Powiedz jednak, o co chodzi?

— Zaraz. Włącz to swoje pudełko, bo lichy wie, jak długo będziesz mnie słyszał. — Mówiąc to, nieznajomy zmrużył znacząco oczy i znów się uśmiechnął. — Ktoś mnie prosił, abym przekazał ci pozdrowienia. . .

— Zinia Vett?

— Och, nie! Mężczyzna.

— Więc kto? Niewiele osób zdążyłem tutaj poznać, ale. . .

— Włączyłeś?
— Tak, ale...
— Słuchaj, do licha, bo to ważne. Więc ten ktoś prosił, żebym cię pozdrowił od kogoś drugiego, kto nie jest tutaj obecny...
— Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej?
— Chciałbym, ale żebyś mnie zabił, nie powiem, jak się nazywali: ani ten pierwszy, ani drugi — brodacze uśmiechnęli się dziwnie asymetrycznie, jedna półka twarzy. — Po prostu nie mam pamięci do nazwisk. Ale za to bardzo dobrze pamiętam swoje wiersze. Bo nie powiedziałem ci jeszcze, że jestem, w pewnym sensie, literatem, a ostatnio nawet poetą. Jako pisarza, pewnie cię zainteresują moje najnowsze wiersze. Posłuchaj!
Brodacz poeta odchrząknął i wyrecytował:

Pijana gra mych pustych fraz,
kiedy na lutni z rana gram,
ja na gramatykę nie baczę!
Ja nagram wiersz, ty jeszcze raz
przesłuchaj taśmę, a na gram
sensu w nim nie licz, ani znaczeń.

„Jakiś straszny grafoman!” — pomyślał Rinah w popłochu, lecz było już za późno, by mu przerwać.

— Postaraj się dobrze zrozumieć ten wiersz, bo to klucz do mojej całej poezji — powiedział brodacze i znów dziwnie się skrzywił. — Jeśli zrozumiesz go, wówczas pozostałe moje wiersze odkryją przed tobą całą swą głębię. Przeczytam jeszcze dwa. Czy wciąż nagrywasz?

— Tak — bąknął Rinah. — Ale...
— Pierwszy brzmi tak:

Filar strop dźwiga jak atlant
Wśród flar syczących odbłasku
Jak talar srebrny krąg światła
Lar swych i penat nie czas tu
Żałować, gdy pyłu tuman

Jak fular snuje się ku nam

a drugi:

Bracie — ślimaku, co w akwariu mieszkasz,
błada cykorio, listku bez zieleni!
Cóż wiemy, w naszych muszlach uwięzieni
o gniazdach sikor i o lisich ścieżkach. . .

Tyle chciałem ci przekazać, drogi przybyszu. Jestem przekonany, że próbki mojej twórczości przydadzą ci się do czegoś. Bardzo mi przykro, że nie byłem w stanie podać ci imion tamtych dwóch facetów, ale zamiast tego mogłem uraczyć cię szczyptą prawdziwej poezji. Dziękuję za uwagę. Jeśli się kiedyś spotkamy, porozmawiamy dłużej. Bywaj!

Twarz poety zniknęła z ekranu. Rinah wyłączył dyktafon i przewinął taśmę do początku nagrania.

„O co mu właściwie chodziło? Czyżby o popularyzację jego wierszy poza Paradyżą? — zastanawiał się, wtykając w ucho słuchawkę dyktafonu. — Nie wspomniał o tym ani słowem. . . A poza tym, co mógł oznaczać ów dziwny wstęp? Pozdrowienia od kogoś przesłane przez kogoś. . . i nie wiadomo, kto to taki. Po co o tym wspominał? Czyżby chciał w ten sposób skłonić mnie do wysłuchania jego wierszy? Zaraz, po kolei. . .”

Rinah uruchomił dyktafon i przesłuchał całe nagranie.

„Ktoś. . . od kogoś tutaj nieobecnego. . . Od Zinii? Może poleciała na Tartar wcześniej, niż planowała? To możliwe. . . Mogła z jakichś taktycznych względów posłużyć się pośrednikami, by uniknąć kontaktu wprost”.

Rozległ się znowu brzęczyk wideofonu. To była Zinia.

— Nie mogłam się dodzwonić — powiedziała. — Rozmawiałeś?

— Tak. Dzwonił jakiś zwariowany poeta. . . Nie kierowałaś do mnie żadnego poety?

— Nie, skądże. Jak się nazywa?

— Chyba Huxwell. . . Nikor Huxwell.

— Nie znam. Pewnie jakiś debiutant.

— Mniejsza o niego. Mieliśmy się dziś spotkać w sprawie wywiadu.

— Właśnie! — uśmiechnęła się przepaszająco. — Muszę odwołać to spotkanie. Za godzinę odlatuję na dół. Drobną zmianą planów. Wrócę za dwa, trzy dni. Za to. . . spróbuję zorientować się, czy nie można by załatwić sprawy, o której wspomniałeś wczoraj. A teraz kończę, bo jestem w studio i muszę jeszcze nagrać krótki felieton na jutro. Do zobaczenia!

Rinah włączył dyktafon. Słowo po słowie analizował swój dialog z Huxwellem.

„Jeśli zależało mu tak bardzo, bym nagrywał rozmowę, zapewne liczył się z tym, że nie uchwycę jej sensu za pierwszym razem... Zdawał sobie sprawę, że nie mogę biegle rozumieć tego ich dziwaczного języka...”

Szukał aluzji i przenośni, które mogłyby naprowadzić go na jakiś trop. Pierwszy sześciowiersz był raczej żartem słownym, czymś w rodzaju limeryku, lecz o innej wersyfikacji... Utwór sam zresztą deklarował brak sensu i znaczeń... a jednak zalecał ponowne przesłuchanie tekstu. Rinah wsłuchiwał się w brzmienie poszczególnych wersów, wyszukiwał akcentów w głosie deklamującego.

„Gram... gram... agram... nagram — powtórzył w myślach. — Coś, się tu podejrzenie powtarza, coś dźwięczy, przebijając poprzez grę słów... Jakiś Wyrz, którego nie użyto wprost, a jednak... co chwila go słyszeć”.

Jeszcze raz cofnął taśmę.

„Jasne! — z trudem powstrzymał się od głośnego wypowiedzenia słowa, które sprytnie ukryto w różnych miejscach sześciowiersza. — Anagram! Anagram, czyli coś związanego z rozrywkami umysłowymi, jakaś zagadka, szyfr literowy... W każdym razie wskazówka, jak czytać następne wiersze... Po prostu wzorzec, zasada, wedle której zaszyfrowano dalsze słowa... Tak, przecież ten człowiek wyraźnie wspominał o kluczu do zrozumienia...”

Rinah szybko odnalazł na taśmie początek drugiego wiersza. Teraz już poszło zupełnie łatwo. Czytany wedle odkrytej reguły, drugi sześciowiersz we wszystkich wersach — z wyjątkiem piątego — zawierał imię „Lars”.

„Lars Benig. Pozdrowienia od Larsa... Nie, jak to miało być? — wrócił do wcześniejszego zapisu. — Jeden przekazuje pozdrowienia od drugiego, nieobecnego tutaj... Kto jest kto? Logicznie, pierwszy — to Lars... A drugi, ten nieobecny?”

Ostatni czterowiersz sprawił Rinahowi nieco więcej trudności. Przesłuchiwał go wielokrotnie, zanim wyłowił powtarzające się słowo.

„Orio... Oriol... Koriolis!” — znalazł je wreszcie, finezyjnie wbudowane w drugi i czwarty wers. Któż to taki? Od kogo to pozdrowienia przesyła zaginiony czy martwy Lars Benig? „Lars prosił abym cię pozdrowił od Koriolisa, który nie jest tu obecny...” Tak by to brzmiało... Gdzież zatem znajduje się ów Koriolis i kim jest? Lars mógł spodziewać się, że kolejni Ziemianie goszczący w Paradyzji znać będą jego własne imię, lecz cóż znaczy to drugie? Może... powinni je znać wszyscy?

„Koriolis... — Rinah. wyteżał pamięć, usiłując powiązać z czymkolwiek to imię czy nazwisko. — Koriolan, to owszem... Był ktoś taki... Ale Koriolis?”

Przymknął oczy i nagle zobaczył to słowo n a p i s a n e przez duże „C” na początku. W jednej chwili wszystko stało się jasne.

„Co za szczęście, że przed wyjazdem wkuli mi w głowę trochę zapomnianych dawno podstaw dynamiki brył! A już myślałem, że do niczego mi się to nie przyda. — Ale... co wynika z faktu, że Coriolis jest tu *n i e o b e c n y*? A ściślej mówiąc, siła Coriolisa, bo o nią zapewne tu chodzi... Czyżby Lars sam to odkrył?”

Rinah oblał się zimnym potem. W jego mózgu zdarzyło się nagle kilku dotychczas nie wiążących się ze sobą faktów. Lars mógł się mylić w swych wnioskach, lecz jego zniknięcie razem z tymi wnioskami świadczyło, że najprawdopodobniej miał rację...

„Jeśli to prawda, to... — Rinah nie umiał znaleźć odpowiedniego określenia. — Po prostu koszmar... Nie, trzeba to koniecznie sprawdzić!”

Pośpiesznie przewinął taśmę i włączył przycisk kasowania zapisu.

Rozdział XIV

Wezwanie na pierwszy poziom było sporym zaskoczeniem. Mogło oznaczać zarówno grube nieprzyjemności, jak też interesujące propozycje.

Nikor zrobił w windzie pospieszny rachunek sumienia, z którego jednak nie wynikał żaden prawdopodobny powód wezwania go do głównego biura zatrudnienia Pierwszego Segmentu. Jego wskaźnik SC w ciągu ostatnich dni oscylował wokół jedynki w zupełnie przyzwoitych granicach, a dziś rano wynosił nawet parę setnych ponad jedność. Wedle przyjętych przez siebie założeń, Nikor utrzymywał się konsekwentnie w statystycznie najliczniejszej grupie przeciętnych, nie wyróżniających się ani na plus, ani na minus, mieszkańców Paradyzji. Dlatego też wezwanie zaniepokoiło go dość poważnie.

Brak wyraźnej zmiany wskaźnika SC po wczorajszej rozmowie z Ziemianinem świadczył o skuteczności podjętych środków bezpieczeństwa. Rozmowa nie wzbudziła podejrzeń Centrali, nie mogła zatem być przyczyną wezwania.

Kilka minut po siódmej Nikor znalazł się w pokoju wskazanym w wezwaniu. Za pulpitem z monitorami i czytnikami taśm siedział urzędnik, nieduży człowieczek o przesadnie grubej szyi i okrągłej, czerwonej twarzy. Grubymi palcami przebierał po klawiaturze monitora, przez chwilę jakby nie zauważając petenta.

— Spóźniamy się — odpowiedział po długiej pauzie na powitanie Nikora.

— Winda... — bąknął Nikor. — Jedna się popsuła, a druga...

— Wiem — przerwał urzędnik, podnosząc oczy znad pulpitu. — Trzeba zawsze to uwzględniać. Chcemy powierzyć ci odpowiedzialną pracę, musisz być solidny i punktualny.

„Odpowiedzialna praca... — pomyślał Nikor z niepokojem. — Chyba nie w służbie porządkowej?”

— Taak... — wycedził czerwonojęzy, wpatrując się bladoniebieskimi oczyma w twarz Nikora. — Prezencja dobra, włosy, broda... Bardzo dobrze.

Milczał znowu przez chwilę, grzebiąc pośród kaset fonicznych rozłożonych na pulpicie.

— Wiesz, dlaczego byłeś tak długo na dole? — rzucił nagle ostrym głosem.

— Wiem. Za opowiadanie fantastyczno-naukowe...

— Nie za opowiadanie, tylko za kretyńskie pomysły! — zaperzył się nagle urzędnik. — Za opowiadania u nas dostaje się punkty dodatnie. O ile posiadają pozytywne walory — uzupełnił.

Nikor chciał zapytać, czy istnieją też walory negatywne, ale powstrzymał się od jawnej złośliwości.

— Twoje opowiadanie było po prostu mętным bredzeniem, podważającym nienaruszalne podstawy! — ciągnął urzędnik, uderzając miarowo dłonią w pulpit.

Nikora znów zaświerzbiał język, by zapytać, w jaki sposób można podważyć nienaruszalne, i to przy pomocy bredni, ale zamiast tego powiedział z przekonaniem:

— Teraz już to rozumiem i nigdy więcej nie będę tworzył żadnych bredni.

Czerwona twarz uśmiechnęła się niespodziewanie.

— No, nie, nie... Nie aż tak. Po prostu teraz już będziesz wiedział, o czym nie należy mówić. Zresztą dajmy spokój tym starym dziejom. Było, nie ma. Dajemy każdemu kredyt zaufania i pełne szanse wszechstronnego rozwoju talentu... we właściwym kierunku. Do wczoraj jeszcze nie wiedzieliśmy, co z tobą zrobić, ale teraz już możemy zaproponować ci nowe zajęcie.

— Chętnie przyjmę każdą pracę.

— To dobrze, bo właściwie... komputer nie dał ci wyboru. Etat się zwolnił, a ty akurat nam pasujesz. Te twoje wiersze są zupełnie niezłe...

Nikor zadrżał.

— Wiersze? — spytał niepewnie.

— No te, które recytowałeś temu pisarzowi z Ziemi. Komputer nie mógł oczywiście ocenić ich wartości, ale ponieważ właśnie wczoraj zmarł nam facet na etacie Ludowego Poety Pierwszego Sektora, a ty jesteś bez przydziału, więc... No, po prostu Centrala zanotowała te wiersze i zasygnalizowała nam pojawienie się nowego twórcy... To twoje opowiadanie sprzed dziesięciu lat pod względem literackim też nie było złe... Jednym słowem, proponuję ci objęcie etatu poety. Oczywiście na okres próbny. Praca lekka, sześć godzin dziennie, od siódmej do trzynastej...

— Ale... ja przecież... — zająknął się Nikor. — Ja nie podołam...

— Nie bądź taki skromny! Chwaliłeś się przed przybyciem z Ziemi, a teraz tu bawisz się w kokieterię! Masz talent, znam się na tym. Będziesz oczywiście musiał popracować nad formą, a nade wszystko selekcjonować tematykę. Najlepiej będzie, jeśli uzgodnisz ze mną treść każdego wiersza. Oczywiście nie krępujemy swobody twórczej, nie narzucamy tematów... Ten pierwszy twój wiersz, taki zabawny, ma w sobie coś z plebejskiej, beztroskiej przyśpiewki, z renesansowej radości życia... Może być. Od czasu do czasu trzeba ludziom dodać trochę tej lekkości ducha... Byle nie ograniczać się do tego jedynie. Potrzeba nam też takich wierszy jak ten drugi. Przede wszystkim takich! Opiewających trud i wysiłek, pracę dla ogólnego dobra... ale z optymistycznym wydźwiękiem. Jak to

było? „...nie czas, tu żałować”... czegoś tam.

— Lar i penat — podrzucił Nikor.

— No właśnie, tego... nie wiem wprowadzić, co to znaczy, ale skoro Centrala przepuściła te słowa, to mogą być. Więc właśnie tak, nie żałować, tylko do roboty. A ta dyskretna krytyka warunków pracy, o tym pyle, to też dobre! To mobilizuje służby bezpieczeństwa i higieny pracy. Byle nie przejaskrawić. Krytyka tak, krytykanctwo nie! Ale u ciebie to jest dobrze wyważone. A co do ostatniego wierszyka, to... raczej nie radziłbym takich za dużo... Najlepiej w ogóle nie. Wszelkie takie dwuznaczne nawiązania do czegoś, co i tak nieosiągalne, budzą tylko niepotrzebne tęsknoty do świata, którego nie ma... A dlaczego nie ma? Bo tam, na Ziemi, zniszczyli już doszczętnie te ptaszki, ślimaczki i w ogóle... o, właśnie! W to uderzyć! Ja bym to tak napisał: „Ślimaku, co w fenolu zdychasz, rzuć to w cholerę i przyjedź do nas, do Paradyzji. Tu będziesz miał przynajmniej akwarium z czystą wodą!” — O, coś w tym rodzaju, dobre by było...

Rumiany urzędnik od kultury rozochocił się najwyraźniej i zanosilo się na to, że za chwilę sam zacznie układać wiersze.

— Czy, jako twórca, będę mógł korzystać z zezwolenia na poruszanie się po różnych piętrach? — spytał Nikor, chcąc uzyskać przynajmniej trochę przywilejów w zamian za słuźenie społeczeństwu swym talentem. — To niezbędne dla szerszej inspiracji...

— Ależ tak, tak, oczywiście!

— A... przepustka do innych sektorów?

— O, to już raczej... tylko za wybitne osiągnięcia... — zawahał się urzędnik. — Ale nie wykluczam, nie wykluczam. Wszystko zresztą zależy od ciebie. O normach wydajności twórczej porozmawiamy za kilka dni. Na razie przygotuj projekt planu pracy na najbliższy kwartał. Będziemy, rzecz jasna, w ścisłym kontakcie.

..Do diabła! — pomyślał Nikor. — To nie był najlepszy pomysł. Ale kto mógł przewidzieć, że wyniknie z tego jakieś nieszczęście... Przedobrzyłem chyba z tymi wierszykami. Nie dość, że komputer niczego podejrzanego w nich nie znalazł, to jeszcze... musiały mu się spodobać...”

Jedynym pozytywnym skutkiem całej afery było zezwolenie na swobodną zmianę pięter wedle własnego życzenia. To też miało swoją wartość.

Rozdział XV

Alvi był wyraźnie zadowolony z propozycji Rinaha, by tego dnia nie spotykali się jak zwykle z rana w celu dalszego zwiedzania segmentu.

— Czujesz się zmęczony? — uśmiechnął się przewodnik, gdy Rinah połączył się z nim rankiem przez video, by odwołać spotkanie. — Dobrze. Umówmy się, że dziś jest wszystko tak, jak wczoraj i przedwczoraj. A jutro znów będzie, jak chcesz.

Rinah zrozumiał dobrze, co chciał powiedzieć Alvi. W ciągu pierwszych dni zdołał już wyczuć swego opiekuna i nawiązać z nim delikatną nić porozumienia, bez używania niepotrzebnych słów. Rozumiał coraz lepiej sytuację młodego historyka, oddelegowanego do trudnego zadania, jakim było pokazywanie i objaśnianie świata Paradyzji obcemu przybyszowi. Rola ta miała parę dodatnich i parę ujemnych aspektów. Rinah umiał już sobie uszeregować i ocenić wszystkie korzyści i straty, jakie mogły stać się udziałem jego przewodnika i gotów był — z obopólną korzyścią — na pewne drobne kompromisy.

Przed wszystkim Alwiego zwolniono z normalnych obowiązków w jego stałym miejscu pracy. To była korzyść zupełnie oczywista: zamiast użerać się z uczniami w szkole, mógł on prowadzić sobie swobodne (w paradyzyjskim rozumieniu tego słowa) konwersacje z intelektualistą z Ziemi, spacerować po piętrze, a nawet poza piętrem, a nade wszystko — skracać za obopólną zgodą dzienny czas tych wspólnych wycieczek. Jednym słowem, zajęcie to było o wiele mniej absorbujące i męczące niż zwykłe obowiązki nauczyciela. Wczoraj Alvi bardzo chętnie zgodził się na wcześniejsze zakończenie spotkania. Widocznie Centrala nie rozlicza go szczegółowo z godzin spędzonych z Rinahem. Dziś — ochoczo podjął propozycję wolnego dnia.

Dla Paradyzyjczyka, przywykłego do ściśle kontrolowanej dyscypliny pracy, taki luźny reżym dnia musiał być rzeczą niezmiernie cenną.

Z drugiej strony, kontakt z przybyszem pozwalał na otrzymanie cennych dodatków punktów do wskaźnika SC. W tym świecie, gdzie tak bardzo liczą się wypowiedane słowa, wszystko, co z przekonaniem wygłaszał Alvi na chwałę paradyzyjskiego porządku w obecności obcego przybysza, musiało być wysoko

oceniane przez komputerowy analizator słów. Z pewnością taka działalność propagandowa przynosiła znacznie więcej punktów niż wypowiadanie tych samych zdań w obecności innego Paradyzyjczyka lub po prostu do ściany.

Ale, oprócz tych korzyści, na przewodnika czyhały także niebezpieczeństwa. Samo słuchanie przybysza mogło być oceniane ujemnie, jeśli ten nie powściągał się dostatecznie w swych wypowiedziach. Ponadto każda niewłaściwa odpowiedź, każda nieodpowiednia interpretacja faktu czy nieprawidłowe objaśnienie udzielone obcemu mogły kosztować mnóstwo punktów ujemnych. Podejmując się roli przewodnika (o ile w ogóle wchodził w rachubę swobodny wybór), tubylec ryzykował, lecz z możliwością wygranej — jeśli był dostatecznie inteligentny i ostrożny.

Istniała jednak także „trzecia strona” tej sprawy. Przewodnik musiał liczyć się z faktem, iż nie jest jedynym informatorem przybysza. Nieformalnie zdobyte informacje i spostrzeżenia mogły stać w jawnej sprzeczności z tymi, których zobowiązany był dostarczyć.

Przewodnik, nie chcąc uchodzić w oczach Ziemianina za kompletnego durnia albo za notorycznego kłamcę, musiał równocześnie dać do zrozumienia, że to, co mówi, należy traktować trochę „na niby”. Musiał się jakoś usprawiedliwić, przedstawiając swoje wypowiedzi jako wygłaszane raczej dla podsłuchu niż dla słuchacza.

Pozbywszy się tak łatwo towarzystwa Alwiego na dzisiejszy dzień, Rinah przystąpił do prób, które postanowił przeprowadzić dla uwiarygodnienia informacji przekazanej przez rzekomego poetę. Przypominając sobie z trudem wszystko, co w jego pamięci pozostało z przyspieszonego kursu aktualizującego jego wiedzę ścisłą, próbował zaprojektować jakiś kluczowy eksperyment, pozwalający znaleźć pewne rozstrzygnięcie problemu.

Niestety! Teraz dopiero stały się jasne wszystkie niezrozumiałe rekwizycje na komorze celnej. Dokładny kwarcowy zegarek, owa sprężynka z długopisu, gumka, nawet nici do szycia. . . Ich odebranie czyniło hipotezę bardziej prawdopodobną, lecz uniemożliwiało jej sprawdzenie!

„Do bezwzględnego pomiaru przyspieszenia potrzebny jest wzorzec czasu i długości — pomyślał, szukając czegoś, co zastąpiłoby nitkę. — Pomiar względny wymaga tylko wzorca czasu. . . Spróbujemy!”

Położył dyktafon na brzegu pulpitu, tak aby sznur z mikrofonem zwisał swobodnie ku podłodze, i rozhuścił powstałe w ten sposób wahadło. Wahania gasły dość szybko, lecz można było policzyć wahnięcia pomiędzy kolejnymi zmianami cyfr wskazujących minuty na świetlnym zegarze w rogu ekranu telewizyjnego.

„Mam ich! — pomyślał z radością. — Dyktafonu nikt nie może mi zakwestionować, a zegary świetlne są we wszystkich pomieszczeniach. Byle dostać się na możliwie wysokie piętro!”

Radość była jednak przedwczesna. Już po dziesiątej próbie Rinah mógł stwier-

dzić, że liczby wahnięć, policzone w minutowych odcinkach czasu, różnią się za każdym razem. Rozrzut wyników przekraczał dwadzieścia procent. Co mogło być tego przyczyną? Niedokładność liczenia nie wchodziła w rachubę. Można się pomylić o jedno wahnięcie, lecz nie o kilka...

„Niestołość przyspieszenia? — zastanawiał się Rinah. — To po prostu niemożliwe, przynajmniej w takim stopniu. A więc... dlaczego okres wahadła zmienia się z minuty na minutę?”

To było niepojęte. Proste doświadczenie, które wymyślił, okazało się niewykonalne. Wynik z błędem plus-minus dziesięciu procent mierzonej wielkości dyskwalifikował metodę. Rinah położył się na wznak na tapczanie i patrząc w świecący sufit wyobrażał sobie prosty wzór wyrażający długość okresu wahadła.

„Czas! — przebiegło mu nagle przez myśl. — To czas płynie nierównomiernie... A raczej zegar wskazuje minuty o różnej długości! To dlatego zabierają zegarki obcym przybyszom... Ale... przecież odkrywca prawa stałości okresu wahań, Galileusz, także nie posiadał dokładnego zegarka!”

Przypomniał sobie anegdotę o Galileuszu, obserwującym wahania kandelabru zwisającego ze stropu katedry. Średniowieczny uczony liczył wahnięcia porównując je z rytmem własnego pulsu i w ten sposób sformułował uniwersalne prawo fizyczne.

Rinah poszukał tętna na przegubie dłoni. Liczył uderzenia pulsu w czasie, odmierzanym przez świetlny zegar. Jego podejrzenie potwierdzało się! Długość kolejnych „minut” wskazywanych przez zegar zmieniała się w sposób dość przypadkowy...

„Tylko... jak posłużyć się pulsem zamiast zegarka? — pomyślał, próbując liczyć równocześnie wahnięcia mikrofonu i własne tętno. — Galileuszowi najwyraźniej sprzyjał przypadek: okres przypadkowego „wahadła” w postaci żyrandola musiał być dokładnie zgodny z częstością jego tętna. Inaczej nie sposób policzyć obu wielkości równocześnie... A poza tym tętno nie jest absolutną miarą czasu!”

Można było jednak spróbować. Przy pomocy drugiej osoby eksperyment z wahadłem dałoby się przeprowadzić. Wystarczy powtórzyć go na jednym z górnych pięter i wówczas...

„Ostrzega się mieszkańca pokoju 1-10-4280 przed kontynuowaniem n i e z r o z u m i a ł y c h c z y n n o ś c i — rozległo się nagle z głośnika. — Proszę natychmiast wstrzymać ruch wahadłowy metalowego przedmiotu, który wpływa zakłócająco na działanie elektrycznych obwodów Systemu Zabezpieczeń!”

Rinah poderwał się zdumiony z fotela, na którym siedział obserwując dyndający na sznurze mikrofon. Rozejrzał się po ścianach i stwierdził, że były nieprzeźroczyste, choć uprzednio ich nie zasłaniał... Podeszedł do drzwi. Były zablokowane. W pokoju czuć było dziwny, obcy zapach, powodujący lekki ból głowy. Rinah czuł uderzenia tętna w skroniach.

Położył zwisający dotąd mikrofon na pulpicie i sprawdził puls. Jego uderzenia

były wyraźnie częstsze niż przed paroma minutami.

Dziwny zapach sączył się z kratki otworu wentylacyjnego.

System Zabezpieczeń nie był tak naiwny, jak sądził przybysz z Ziemi.

Rozdział XVI

Po godzinie ból głowy ustąpił, powietrze znów było czyste, drzwi odblokowały się, a ściany odzyskały przejrzystość.

„Nieudany eksperyment to także cenna informacja — pomyślał Rinah. — Oni tu rzeczywiście mają coś ważnego do ukrycia przed przybyszami... a może nawet przed mieszkańcami tej planety. Coś w tym jest! Lars musiał zdobyć jakiś dowód, jakieś potwierdzenie swych hipotez i przypłacił to życiem. Trzeba postępować ostrożniej”.

Jeśli jednak ktoś ukrywa pewne własności fizyczne tego świata przed jego mieszkańcami, to musi tu istnieć jakiś podział na tych wtajemniczonych i ogół, nieświadomy prawdziwej sytuacji. Rzeczywisty obraz sztucznej planety musiał różnić się znacznie od tego, który przedstawiano jej mieszkańcom, jeśli ktoś tu uniemożliwiał proste pomiary fizyczne.

„To chyba pierwszy przypadek w dziejach ludzkości — pomyślał Rinah, zwijając kabel mikrofonu. — Znane są fakty fałszowania historii dla otumanienia społeczeństwa. Ale żeby fałszować fizykę?”

Jeśli System uniemożliwiał tak proste doświadczenie, jak pomiar przyspieszenia odśrodkowego, będącego w wirującym układzie odpowiednikiem przyspieszenia grawitacyjnego, to trudno nawet marzyć o przeprowadzeniu bardziej wymyślnych eksperymentów, takich jak na przykład swobodne spadanie przedmiotu w szybie windy, doświadczenie Foucaulta czy doświadczenia z żyroskopem. Przyjmując za fakt brak siły Coriolisa wewnątrz Paradyzji, można było bez trudu zrozumieć prawie wszystko: od podziału wnętrza na piętra i komórki mieszkalne, poprzez utrudnienia w poruszaniu się po segmentach, aż do owej ścisłej inwigilacji każdego z osobna i surowego traktowania wszelkich podejrzanych informacji przekazywanych sobie nawzajem przez ludzi...

Tylko że przyjęcie takich wniosków do wiadomości napawało przerażeniem i zgrozą. Wynikało z nich bowiem, że poza racjonalistycznie i sprawiedliwie działającym Systemem Zabezpieczeń, widzianym przez Paradyzyjczyków jako jedyną siłą sprawczą, decydującą o ich losie i podejmującą działania konieczne do zapewnienia ludności maksymalnego bezpieczeństwa, istnieje jeszcze inna, nadrzędna,

nieznana siła, której podlega sam System.

Jednym słowem, zachodziło uzasadnione podejrzenie, a właściwie — dla Rinaha przynajmniej — pewność, że oprócz konserwatorów i operatorów, rekrutujących się spośród obywateli Paradyzji, cała machina porządkująca ten świat posiada jeszcze... właścicieli.

To bezpieczeństwu ich właśnie, a nie mieszkańców „sztucznej planety”, służyć miał złożony i kosztowny System Zabezpieczeń. To ich interesów chronić musiały satelitarne wyrzutnie rakietowe, układy śledzenia i ostrzegania...

Wszystko to wynikało z poszlak, których prawdziwość należało udowodnić. Dowód taki postawiłby na głowie całą sprawę Paradyzji...

„Ale... czy w jakimkolwiek stopniu odmieniłoby to los jej mieszkańców? — zastanowił się Rinah w tym miejscu swoich rozważań. — Czy świadomość totalnej mistyfikacji, którą dla nich spreparowano, wyzwoli w nich odruchy buntu, czy tylko... przerażenia i przygnębienia? Czy w ogóle ma dla nich jakiegokolwiek praktyczne znaczenie wiedza o ich prawdziwej sytuacji?”

Po powrocie ze spóźnionego śniadania Rinah zastał w swoim pokoju brodatego mężczyznę, w którym rozpoznał wczorajszego rozmówcę z video.

— Zmieniłeś miejsce zamieszkania? — spytał Rinah ostrożnie.

— Mam prawo poruszać się po całym segmencie. Zostałem właśnie etatowym poetą, między innymi dzięki wierszom, które znasz. Jestem tu zatem prawie że służbowo... Możemy porozmawiać o literaturze, o poezji... — powiedział Nikor uśmiechając się ironicznie.

— Gratuluję! Wiersze bardzo mi się podobały.

— Rozumiesz moją poezję?

— Lepiej niż ty sam.

— Bywa i tak. Poeta nie musi sam siebie rozumieć, byle przekazał coś odbiorcy swych utworów...

— Tak. Odbiorca sam odnajduje to, co dźwięczy w strofach, nie dopowiedziane. Na tym polega poezja...

— Zwłaszcza paradyzyjska! — Nikor skrzywił się po swojemu. — Pewien przypadkowo spotkany facet, w drodze na dół, cytował mi trochę prozy. Ale proza to coś zupełnie innego niż poezja. Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodziło. To był zresztą jakiś urman.

— Urman?

— No, „urojenia maniakalne"... Wieźli go do wariatów.

— Na dół?

— Jak zwykle urmanów... To był prawdziwy wariat. Gadał i gadał, a potem pluł pestkami od śliwek.

— Pestkami? I cóż z tego?

— Nic. Po prostu, s p a d a ł y na podłogę. Wokoło cisza i bezruch, a on tfu, tfu, tymi pestkami...

— Zdumiewające! — Rinah z trudem powstrzymał się od żywszej reakcji. — Zupełny wariat! Co się z nim stało?

— Pojęcia nie mam. To było dziesięć lat temu — powiedział Nikor, wstając z fotela.

— Wpadnij jeszcze kiedyś! — zaprosił go Rinah, ściskając podaną dłoń.

Obaj wiedzieli, że nie należy kusić losu. Każde niepotrzebne słowo mogło zwrócić uwagę Centrali na niewinny dialog prozaika z poetą. Najważniejsze zostało powiedziane. Rinah nie był pewien, czy jego gość w pełni rozumie znaczenie informacji, którą przekazał. Widocznie jednak zdawał sobie sprawę z jej ważności.

Dla Rinaha była to wiadomość potwierdzająca ostatecznie hipotezę Larsa Beniga. W Paradyzji nie występuje siła Coriolisa.

Benig nie mógł zapewne stwierdzić tego bezpośrednio, lecz natrafił widocznie na inne zjawiska pośrednio ten fakt dokumentujące. Nazwiska „Coriolis” użył jako symbolu, nawiązującego do mechanicznej charakterystyki obiektu. „Brak siły Coriolisa” jednoznacznie określał, czym *n i e m o ż e b y ć* Paradyzja...

Lars znał prawdę, nim wywieziono go w nieznanym kierunku, Pestka była ostatecznym tego dowodem...

Rozdział XVII

Czy nie mógłbyś uzyskać dla mnie zezwolenia na odwiedzenie któregoś z sąsiednich segmentów? — zagadnął Rinah, gdy następnego dnia spotkali się z Alvim na śniadaniu,

— Obawiam się, że to niemożliwe.

— Zinia Vett obiecała, że postara się zorganizować mi wycieczkę na Tartar...

Alvi wzruszył ramionami.

— Jeśli ktoś ma takie znajomości... — powiedział z lekką drwiną. — Ja, niestety, nie jestem gwiazdą telewizji. Zresztą chyba jej także nie udałoby się dostać dla ciebie przepustki międzysegmentowej.

— A więc łatwiej dostać się na dół niż do przyległego sektora?

— Na dół w ogóle bardzo łatwo się dostać — mruknął Alvi ponuro. — Ważne jest jednak, w jakim charakterze... Osobiście nie, ciągnie mnie tam zupełnie.

— Niektórzy bywają tam dość często. Zinia na przykład...

— Sam powiedziałeś: niektórzy... — Alvi wyraźnie nie zamierzał podejmować tematu. — A do sąsiednich segmentów naprawdę nie ma po co chodzić. Wszędzie jest podobnie.

— Mam wrażenie, że Jedyńka stanowi segment reprezentacyjny, pokazowy. Tutaj znajduje się terminal rakietowy, tu przybywają goście spoza układu... Chciałbym wiedzieć, czy gdzie indziej jest naprawdę tak samo...

— Zostałem zobowiązany do zapewnienia cię, że tak jest w istocie. Opuszczając Paradyżę nie powinienes mieć co do tego najmniejszych wątpliwości — wycedził Alvi, patrząc przenikliwie w oczy Rinaha. — Byłbym niepokieszony, gdyby mi się to nie udało.

— Tak, rozumiem... Więc mam napisać, że w każdym z pozostałych jedenastu segmentów wszystko wygląda podobnie...

— Ściśle mówiąc, w dziesięciu... Z wyjątkiem Siódemki.

— A więc jednak... są pewne wyjątki?

— Siódmy segment spełnia szczególne funkcje. Mieści się tam główne zaplecze techniczne, wszystkie podstawowe urządzenia zapewniające nasze istnienie: reaktory energetyczne, system oczyszczalnia wody i powietrza, wytwornice tlenu,

centralne studio telewizji, węzeł łączności wewnętrznej i oczywiście urządzenia Systemu Zabezpieczeń.

— To niezmiernie interesujące!

— Nie ma mowy, abyś się tam dostał — Alvi stanowczo pokręcił głową. — Ze względu na kluczowe znaczenie tych obiektów, nie ma do nich dostępu nikt spoza ścisłego kręgu osób obsługujących urządzenia. Obsługa zamieszkuje zresztą wewnątrz Siódmego Segmentu, a więc, w praktyce, jest on zupełnie odcięty od reszty planety. Chyba rozumiesz, że nie może być inaczej...

Rinah przytaknął w zamyśleniu, grzebiąc łyżką w talerzu nieapetycznej papki.

— Wynika stąd, że będę musiał pomyśleć nad nowym tytułem dla mojej książki — powiedział po dłuższej chwili milczenia.

— Masz już tytuł?

— Mam. Dawno go wymyśliłem, lecz teraz okazuje się, że nie przyda się na nic.

— Jak miał brzmieć?

— „Dookoła Sztucznego Świata”... Ale, jak słyszę, tego świata nie można obejść dookoła...

— Z Pierwszego Segmentu można dojść do Szóstki, a idąc w drugą stronę, przez Dwunastkę, aż do Ósemki... Jeśli się ma pozwolenie, oczywiście.

— Ale to już nie to samo, co obejść dookoła — powiedział Rinah z nutą żalu w głosie. — Szkoda takiego ładnego tytułu.

— Wymyślisz inny, równie dobry...

— Na przykład: „Świat w konserwie”, albo „Wśród zapuszkowanych” — zakpił Rinah.

Twarz Alwiego ściągnęła się grymasem złości, jego wzrok spiorunował Rinah, szczęki poruszyły się, lecz nie odezwał się ani słowem. Dopiero po dłuższej chwili, gdy wstali od stolika, odezwał się zduszonym szeptem:

— Takie dowcipy drogo kosztują!

Mówiąc to, zrobił kilka kroków tyłem od stolika, a potem odwrócił się nagle i pierwszy wyszedł z jadłodajni, nie oglądając się za siebie. Rinah dogonił go dopiero przy windzie.

— Mógłbyś nareszcie się przyzwyczaić... — powiedział Alvi karcąco. — Gdzie ty wysłuchujesz tych idiotycznych porównań, które później bezkrytycznie powtarzasz?

— Jestem pisarzem, sam je wymyślam.

— A mnie się wydawało, że słuchasz nieodpowiedniej literatury. Masz jakieś kasety?

— Tylko własne, które przywiozłem z Ziemi. Na ogół czyste, albo z moimi notatkami.

— Uważaj na kasety. Czasem ktoś może ci złośliwie podrzucić... jakieś bzdury. Potem, w najlepszej wierze, włączasz taki tekst we własnym pokoju i, zanim

się zorientujesz i wyłączysz, leć ujemne punkty...

Rinah przypomniał sobie o kasce otrzymanej od studenta. Dwa dni temu odłożył ją machinalnie pomiędzy inne, które miał w pokoju, nie wiedząc nawet, co zawierała.

— A ponadto — upomniął go Alvi — pilnuj słów.

— Nie zawsze o tym pamiętam — zełgał Rinah. Uwagi, które tak poruszyły Alwiego, były całkowicie świadome i kontrolowane. — Powiedz mi, dlaczego niektórzy ludzie poruszają się czasem tyłem do przodu?

— Nie zauważyłem! — burknął Alvi. — Musiało ci się przywidzieć. Zjeżdżamy w dół.

W programie dzisiejszego dnia mieli zwiedzanie komór ochronnych. W towarzystwie porządkowego, zaopatrzeni w kaski i latarki przeszli przez małe stalowe drzwiczki w ścianie na końcu głównego korytarza i zagłębili się w półmrok, rozświetlany tylko rzadko rozmieszczonymi słabymi lampami żarowymi. Po metalowych, krętych schodkach zeszli na stalowy pomost, biegnący o kilka metrów poniżej pierwszego poziomu, stamtąd znów innymi schodkami, stromymi i wąskimi, opuścili się jeszcze niżej, w gąszcz ażurowych konstrukcji. W słabym świetle Rinah dostrzegł płyty spękanej, odłazającej farby i wyłaniającą się spod nich rdzawą powierzchnię stalowych wsporników, dźwigających wewnętrzny prostopadłościan mieszkalnej części segmentu.

Z dołu ku górze biegły pęki grubych rur ze sztucznego tworzywa, jakieś kable w barwnych ongiś, a teraz pokrytych szarym pyłem powłokach izolacyjnych. Kolejne pomosty, odległe od siebie o kilkanaście metrów, dźwigały wiązki poziomych rur i przewodów. Od czasu do czasu w mroku błyskały łuki elektryczne, w powietrzu unosił się swąd i dym.

— Ekipy remontowe — wyjaśnił Alvi. — Stale trzeba tu coś spawać, wymieniać, malować.

— Wszystko tu okropnie rdzewieje! — zauważył Rinah, dotykając dłonią chropowatej, pokrytej łuskami rdzy, powierzchni stalowego dźwigara. — Jak długo wytrzyma jeszcze ta konstrukcja?

— Stopniowo wymienia się poszczególne fragmenty. Sto lat to sporo czasu...

— Wszystko tu było obliczone na dwadzieścia parę lat użytkowania. Na dobrą sprawę miałyby już pełne prawo runąć!

— Potrwa jeszcze wystarczająco długo. Łatamy, co się da, wymieniamy elementy nośne... Gdyby udało się umknąć wilgoci, która przenika tutaj z części mieszkalnej i z nieszczelnych instalacji wodnych, nie byłoby z tym tak wiele kłopotu.

— No dobrze... — Rinah po raz pierwszy zastanowił się nad sprawą trwałości konstrukcji sztucznej planety. — A co dalej? Przecież kiedyś wreszcie...

— Mamy dużo czasu — Alvi uśmiechnął się blado.

W słabym świetle pobliskiej lampy jego twarz wyglądała zupełnie inaczej, niż w jarzeniowej poświacie tam, w części mieszkalnej. Był bardziej odprężony, jakby pozostawił tam, na górze, wszystkie swoje lęki i obawy. Mówił też w zupełnie inny sposób, zwłaszcza wówczas, gdy poprzedzający ich porządkowy znajdował się dostatecznie daleko. Rinah domyślił się, skąd ta zmiana: tutaj, pomiędzy zamieszkanym wnętrzem segmentu a zewnętrzną powłoką, nie było urzędzeń kontrolnych.

— Czy zamierzacie... przenieść się gdzie indziej, nim rozsypie się wreszcie to zardzewiałe pudło?

— Zbudujemy nową, trwalszą i lepszą sztuczną planetę. A raczej nasi dalecy potomkowie ją zbudują. Na razie nie stać nas jeszcze na rozpoczęcie tego dzieła, ale plany już są opracowywane. Zamiast stali będzie tam użyty chrom, tantal, pallad... Mamy tego pod dostatkiem na Tartarze. Kiedyś powstanie piękna, wspaniała i niezniszczalna sztuczna planeta. Nowa Paradyzja, gdzie każdy z nas, zamiast skromnych dwudziestu metrów powierzchni na osobę, będzie miał jej kilkakrotnie więcej. Będą tam prawdziwe ogrody, sztuczne słońca, piaszczyste plaże... Bogactwa Tartaru wystarczy na kilka takich planet, gdzie ludzie będą jeszcze szczęśliwsi niż tutaj...

— ... O ile to w ogóle możliwe! — dodał Rinah.

— Co? Zbudowanie Nowej Paradyzji?

— Nie, miałem na myśli stan *j e s z c z e w i ę k s z e j* szczęśliwości.

— Nie drwij z nas. Wiemy, że nie wszystko jeszcze jest tutaj idealne...

— Właśnie: „nie wszystko jeszcze...” — powtórzył Rinah dwuznacznie, lecz Alvi nie dał się sprowokować, pomimo że porządkowy był dość daleko i nie mógł ich słyszeć.

— Mamy swoje problemy i trudności. Żyjemy w ciągłym napięciu. Ochrona przed zagrożeniem z zewnątrz, konserwacja rdzewiejących konstrukcji, wszystko to pochłania masę środków i mnóstwo ludzkiego wysiłku. Ale to nie nasza wina. Wybacz, ale... to wy, Ziemianie, wpędziliście nas w te kłopoty i to wy także zagrażacie naszej suwerenności...

— Mówiłem ci już, że nikt na Ziemi nie chce waszej zguby... Jesteście ludźmi, jak my...

— Przede wszystkim jesteście dla was Paradyzyjczykami, a dopiero potem ludźmi. Wasza propaganda ostatnio posuwa się aż do insynuacji, że to my chcemy opanować Ziemię i dlatego zakupujemy tak wiele materiałów i urzędzeń strategicznych. A to przecież czysty nonsens!

— Przede wszystkim to nieprawda, że posądzamy was o wrogie zamiary! — Rinah był szczerze zdumiony. — To wasza propaganda wymyśla takie brednie.

— Ty wiesz swoje, ja swoje... Cóż obaj wiemy o kulisach polityki międzyplanetarnej?

Schodzili w milczeniu coraz głębiej w czeluść pustych komór, pomiędzy rdzawymi kratownicami wsporników. Niektóre z nich rdza przeżarła już zupełnie, świeciły okazałymi ubytkami i kruszyły się pod dotknięciem palca.

— Nie wiem, czy zdążycie z waszym nowym światem, nim się ten stary zawali! — powiedział Rinah, przebijając, na wylot palcem gruby i z pozoru mocny jeszcze fragment konstrukcji. — W pewnej chwili wszystko to nie wytrzyma obciążenia i runie. . .

Alvi spojrzał na niego z wyrazem złośliwej satysfakcji.

— Myślisz wciąż w kategoriach ziemskich. Zapominasz, że pojęcie obciążenia statycznego należy tutaj traktować zupełnie odmiennie niż na Ziemi! Przecież jesteśmy na orbicie! Wystarczy zmniejszyć prędkość obrotu Paradyzji wokół własnej osi, a obciążenie też natychmiast się zmniejszy! W ostateczności można nawet wstrzymać obroty i całkowicie odciążyć nadwątloną konstrukcją nośną. . .

— Ale wówczas zniknie również sztuczna siła ciężenia! Ludzie nie mogą żyć stale w nieważkości!

— Ludzie? Pojęcia nie masz, co mogą znieść ludzie, kiedy nie mają innego wyjścia. Jeśli zajdzie potrzeba, nikt nie będzie się zastanawiał nad ludźmi. . . to znaczy, nad sprawą tak drugorzędną, jak ich wygoda i warunki życia. Wtedy ważne będzie uratowanie całej naszej planety. Ona musi przetrwać, obojętne jakim kosztem! To chyba nie ulega wątpliwości!

— Lecz nie może to stanowić trwałego, ostatecznego rozwiązania!

— Powiedziałem ci już: zbudujemy Nową Paradyzję. Choćby nawet jedno czy dwa pokolenia miały przeżyć całe życie w stanie nieważkości. Zauważyłeś pewnie, że wszystkie większe przedmioty są u nas przytwierdzone do ścian i podłóg. . . Wszystko jest przewidziane i zaplanowane.

„Jeśli Lars Benig ma rację. . . a ma ją z pewnością — pomyślał Rinah — to ujawnienie jego hipotezy musiałoby spowodować ogólny krach tego świata. . .”

— Najważniejsza jest powłoka zewnętrzna — ciągnął Alvi, gdy po kilku przerwach dla odpoczynku znaleźli się na samym dole, przeszło dwieście metrów poniżej pierwszego poziomu. — Ją też konserwujemy najstaranniej, gdyż od jej całości zależy nasze istnienie. Każda luka w tej głównej przegrodzie, oddzielającej nas od kosmicznej próżni, stanowi śmiertelne zagrożenie dla segmentu. Osłabienie konstrukcji wewnętrznej można skompensować zmniejszeniem obrotów, ale w przypadku uszkodzenia osłabionej skorupy zewnętrznej nic nas nie uratuje. Byle większy meteor, albo nawet samo wewnętrzne ciśnienie, może uszkodzić powłokę w przedziewiałym miejscu. Ona także była projektowana na znacznie krótszy okres eksploatacji. Na szczęście w próżni nie zachodzą procesy korozji, zewnętrzna powierzchnia powłoki ulega tylko erozji spowodowanej mikrometeoroidami. Wewnętrzna zaś jest pod ciągłą kontrolą. Tutaj nie żałujemy pracy i farby antykorozyjnej.

Po chwili stali już na samym dole, na gładkiej powierzchni pokrytej warstwą

brunatnej farby. W kręgu lampy pracowała ekipa złożona z pięciu pracowników.

— Ile nam jeszcze czasu zostało do końca świata? — zagadnął żartobliwie Alvi najbliższego z nich, mierzącego grubość powłoki o ultradźwiękową echo-sondą.

— O, sporo jeszcze, sporo! — powiedział robotnik, podnosząc na przybyłych zmęczone oczy i nie wiadomo czemu westchnął ciężko z głębi piersi.

— Czy nie sądzisz — powiedział Rinah, gdy stojąc na platformie roboczego pomostu powoli sunęli w górę okratowanym szybem — że prościej byłoby znaleźć jakąś spokojną, zaciszną planetę i osiedlić na niej, jeśli nie dzisiejszych Paradyżczyków, to przynajmniej ich wnuków, zamiast głowić się nad ulepszaniem tego sztucznego świata?

— Bzdura! — Alvi zaoponował z niezwykłą ostrością, jakby chciał odrzucić jak najdalej od siebie myśl wypowiedzianą przez Ziemianina. — Nie ma odwrotu z naszej słusznej drogi! Przecież to, co proponujesz, byłoby powrotem do waszego, ziemskiego sposobu życia, z wszystkimi jego problemami i uciążliwościami. . . Nasze społeczeństwo ukształtowało się w zupełnie innych warunkach, nasze obyczaje, nawyki, kultura. . . Nie, absolutnie nie! To byłby po prostu regres, sprzeniewierzenie wobec naszych przodków, którzy budowali dla nas ten świat! A po drugie, gdzie jest taka planeta? Gdzie ją znajdziesz?

Przez chwilę milczeli obaj, obserwując mijane pomosty, na których pracowali malarze i spawacze.

— A po trzecie. . . — powiedział nagle Alvi zupełnie innym tonem, jakby z odcieniem smutku w głosie — gdyby nawet. . . to i tak już na to za późno. Czy wyobrażasz sobie. . . czy ktokolwiek byłby w stanie wyobrazić sobie reakcję tych milionów ludzi na nową sytuację, w której n i e z a g r a ż a, im żaden gwałtowny kataklizm? Jak zachowywaliby się wówczas, w otwartej przestrzeni, nie będąc przy tym ściśle k o n t r o l o w a n i ?

— Tak jak my na Ziemi! — poddał Rinah.

— Nie jest to takie pewne! Teraz, po tylu latach utrwalonego stanu. . . Nie, tego nie da się przewidzieć. . . A poza tym, życie ziemskiego społeczeństwa nie jest w żadnej mierze przykładem godnym naśladowania. Wystarczy obejrzyć parę filmów o Ziemi w naszej telewizji!

Ostatnie dwa zdania Alvi wypowiedział głośno i wyraźnie, bo właśnie znaleźli się na powrót w zasięgu mikrofonów korytarza pierwszego poziomu.

Rozdział XVIII

Wnętrze użytkowej części Pierwszego Segmentu przedstawiało się zupełnie nieźle. Widać tu było troskę o wygląd pomieszczeń ogólnego użytku, pokoje mieszkalne — choć skromnie wyposażone — utrzymane były w porządku i czystości. Dbały o to ekipy konserwatorskie, krążące nieustannie po każdym piętrze.

Rinah nie mógł pozbyć się wrażenia, że Pierwszy Segment jest swego rodzaju „oknem wystawowym” Paradyzji. Zapewnienia Alwiego, że wszędzie jest podobnie, nie mogły go przekonać, choćby ze względu na dwuznaczną formę, w jakiej przewodnik wypowiadał się na ten temat.

Teraz, po wyprawie w głąb komory ochronnej, aż do „drugiego dna” segmentu, którym była zewnętrzna skorupa kontenera, wątpliwości Rinaha wzmożły się jeszcze. Obraz rozsypującej się konstrukcji, dźwigającej stu pięćdziesięciopoziomowy gmach części użytkowej, sprawiał przygnębiające wrażenie, a rozpaczliwe wysiłki spawaczy, ratujących przerdzewiałe dźwigary i wsporniki, wydawały się jakąś daremną pracą Syzyfa.

Rinah zdawał sobie sprawę z beznadziejności tego wyścigu ludzi z korozją zżerającą metal konstrukcji. Wsporniki można było wzmacniać i wymieniać, lecz koszty tego łatania musiały być ogromne: cały materiał importowano z Ziemi. Na Tartarze nie produkowano odpowiednich elementów konstrukcyjnych. Obok ogromnych wydatków na zakupy środków obrony zewnętrznej i wyrafinowanych urządzeń do kontroli wewnętrznej, konserwacja stuletniej sztucznej planety musiała pochłaniać ogromne sumy. Zrozumiała stawała się w tym świetle niezwykła, spartańska wprost skromność warunków życia ludności. Przyjmując za dobrą monetę wszystko, co głoszone tu oficjalnie na temat zagrożeń czyhających na unikalny obiekt kosmiczny, jakim była Paradyzja, trudno byłoby kwestionować priorytet tych ogromnych wydatków przed innymi, mającymi na celu podniesienie komfortu życia. Należało sądzić, że większość mieszkańców Paradyzji uznaje te obiektywne konieczności, przywykły do nich od pokoleń.

Biorąc jednakże pod uwagę obecny stan konstrukcji, będącej podstawą fizycznego istnienia wewnętrznego świata poszczególnych segmentów, należało się spodziewać, że koszty dalszej konserwacji będą gwałtownie wzrastać w miarę

upływu czasu, bo w praktyce trzeba będzie wreszcie zrekonstruować całą sztuczną planetę. . .

„Taka łątanina jest pewnie o wiele kosztowniejsza niż zbudowanie całości od nowa — stwierdził Rinah po powrocie z wycieczki. — Bo wreszcie także powłoka zewnętrzna zacznie się rozsypywać. . .”

Plany budowy nowej, wspianiałej, sztucznej planety były oczywiście ewidentną mrzonką. Pomimo wytężonej pracy ekip wydobywczych na Tartarze, Paradyzja była potężnie obciążona kredytami zaciągniętymi u ziemskich partnerów handlowych i o wszczęciu takiej inwestycji w wyobrażalnej przyszłości nie mogło być mowy.

Przyczyna tak dalece posuniętego rozpadu kosmicznych kontenerów, z których sto lat temu zbudowano Paradyzję, była bardzo prosta: materiał, z którego wykonano powłokę i elementy konstrukcji wewnętrznej, nie był przewidziany na tak długotrwałe użytkowanie. Kontenery, mające służyć do jednorazowego przetransportowania ludzi i ładunku z Ziemi na Tartar, wykonano ze specjalnego materiału, dającego konstrukcji znaczną wytrzymałość mechaniczną i niezmiernie cenną cechę lekkości. Uzyskano to poprzez strukturę „komórkową”. Materiał nie był litym metalem, lecz jak gdyby zastygłą metalową pianką, pod mikroskopem przypominającą budowę pszczelego plastra. O trwałość nikt się nie kłopotał, celowo nawet zastosowano stopy metali, o których wiadomo było z góry, że są bardzo podatne na korozję, lecz za to niezwykle wytrzymałe i odporne na udary mechaniczne.

Po kilkunastu latach, a tyle materiał z powodzeniem wytrzymał, kontenery miały przestać być potrzebne. Zresztą podczas lotu w próżni korozja zewnętrznej powierzchni powłoki w ogóle nie zachodzi, natomiast konstrukcja wewnętrzna opierać się mogła zębowi czasu przez lat kilkadziesiąt, lecz sto lat — to było już powyżej wszelkich przewidywań.

A więc to nie tandetne wykonanie kontenerów, lecz po prostu przystosowanie ich do określonych zadań i celów było przyczyną dzisiejszego opłakanego stanu konstrukcji. Wiadomo, że nikt nie projektuje puszek do piwa tak, by miała trwać dziesiątki lat!

Komórkowa struktura materiału powodowała, że rdzewiał on nie tylko powierzchniowo, lecz niemal w całej swej objętości. . .

Na podstawie faktów, z którymi Rinah zapoznał się przed odlotem z Ziemi, mógł on teraz bez trudu ocenić przyszłość tej planety.

„Trudno powiedzieć, kiedy to nastąpi — pomyślał — lecz na pewno któregoś dnia runie konstrukcja wewnętrzna jednego z segmentów. Mieszkańcom innych powie się wówczas, że to wina dywersantów i sabotażystów. Uwierzą, bo codziennie słyszą o tym zagrożeniu. O prawdziwych przyczynach katastrofy nie dowiedzą się zapewne nigdy, bo ich także, kolejno, spotka to samo. . . Chyba że przedtem. . .”

Nie dokończył tej myśli. Po prostu nie był w stanie wymyślić żadnej skutecznej rady, której mógłby udzielić mieszkańcom Paradyzji dla zażegnania tej nieuchronnej groźby — chyba największej i najbardziej realnej, o której jednakże wspomniano tu najrzadziej. A właściwie — chyba w ogóle nie wspomniano...

Gdyby jednak założyć, że prawdą jest to, co sugerował Lars Benig, to rada taka byłaby trywialnie prosta. Tyle że niewykonalna, bo przez sto lat sprawy zaszły zbyt daleko, a decyzje dotyczące stu pięćdziesięciu milionów ludzi dawno już — bo od samego początku — nie były w rękach tychże ludzi...

Rinah przerwał te ponure rozważania. Porządkując kasety, na których nagrywał dziś po południu przypadkowe rozmowy z ludźmi, natrafił na tę, którą dostał od studenta z jedenastego piętra. Umieścił ją w dyktafonie, włożył do ucha słuchawkę, lecz zawahał się nagle, wspominając otrzymane ostrzeżenia i przestrogi.

Odłożył słuchawkę i rozejrzał się po sąsiednich pokojach. W jednym z nich dostrzegł dwóch mężczyzn zajętych jakąś grą towarzyską, w dwóch innych ludzie siedzieli przed ekranami, zajęci pilnym oglądaniem rozgadanego dziennikarza. W czwartym — kobieta w średnim wieku siedząc na tapczanie zajęta była naprawdę garderoby. Rinah dostrzegł, że zamiast przyszywać łaty na prześwitujących łokciach bluzy, naklejała je jakimś specjalnym klejstem.

Wahał się przez chwilę, nim otworzył drzwi do jej pokoju.

— Przepraszam, czy nie przeszkadzam? — spytał grzecznie, stając przed kobietą.

— Skądże znowu — odpowiedziała podnosząc na niego wzrok. — W czym mogą pomóc?

— Wiesz, jestem tutaj tak daleko od swojego świata, że chwilami potrzebuję nieco ludzkiego ciepła — powiedział, wyciągając w jej stronę prawą dłoń.

— Czyżbyś chciał prosić mnie o rękę? — roześmiała się, odkładając na bok robotę. — Jestem wprost zaszczyczona!

Mówiąc to ujęła dłoń Rinaha i z nieprawdopodobną zręcznością zsunęła z jego palca identyfikator, umieszczając go na swoim.

— Niestety, jestem mężatką — powiedziała z powagą, podchodząc do drzwi i otwierając je. — Ale możesz tu ze mną posiedzieć.

— Bardzo dziękuję! — powiedział, wracając do swego pokoju.

Pierwsza samodzielna próba posłużenia się koalangiem wypadła nadspodziewanie pomyślnie. Wyciągnął się wygodnie na tapczanie i włożył do ucha słuchawkę dyktafonu. Jeśli nawet w jego uchu znajdowała się jakaś pluskwa, to była w tej chwili bezużyteczna: Centrala nie potrafiłaby rozpoznać, czy to ucho...

W słuchawce rozległy się szmery, a potem czyjś niewyraźny głos. Nagranie było bardzo złej jakości. Prawdopodobnie była to któraś tam kolejna kopia z kopii, mocno zniekształcona i z silnym podkładem szumów. Rinah ustawił regulator barwy tonu, przewinął taśmą do początku i włączył dyktafon.

Rozdział XIX

— Mam dla ciebie pomyślną wiadomość — powiedział Alvi pojawiwszy się na ekranie video. — Twoja piękna znajoma uzyskała dla ciebie zezwolenie na jednodniowy pobyt na Tartarze.

— Tylko jeden dzień? — Rinah nie ukrywał zawodu. — Cóż można zobaczyć w ciągu jednego dnia?

— Doba na Tartarze trwa nieco dłużej niż u was na Ziemi. Poza tym dłuższy pobyt zwiększa prawdopodobieństwo nieprzewidzianych wypadków. Trudno ustalić długoterminowe prognozy pogody i zjawisk geofizycznych dla danego obszaru.

— Przecież górnicy przebywają tam nawet po dziesięć lat!

— Owszem, lecz przez cały czas pod ziemią, w specjalnych betonowych bunkrach antysejsmicznych, a mimo to... czasem zdarzają się poważne katastrofy z licznymi ofiarami w ludziach.

— Trudno, niech będzie jeden dzień... — westchnął Rinah. — Kiedy?

— Jutro możesz odlecieć.

— Przez Siódmy Segment?

— Nie! Normalnym, kursowym wahadłowcem, z przesiadką na platformie orbitalnej. Z tym, że... — Alvi zawahał się. — Jest jeden warunek...

— Warunek? Pewnie trzeba złożyć oświadczenie, że w razie, gdyby mi się coś przytrafiło...

— To także, jak zwykle zresztą, ale jest jeszcze jeden... Musisz się zdecydować... Po prostu Centrala wyraża zgodę na tę wycieczkę, jeśli bezpośrednio potem opuścisz Paradyżę... A właściwie, jeśli w drodze powrotnej pozostaniesz w porcie tranzytowym i wrócisz na swój statek.

— Mam skrócić pobyt? Przecież dostałem wizę ważną cztery tygodnie.

— No tak, na pobyt w Paradyżi. O Tartarze nie było mowy, więc... wszystko zależy od ciebie. Albo pozostaniesz tutaj do końca pobytu, albo po wycieczce bezpośrednio wrócisz na swój frachtowiec. Twój bagaż, depozyt i paszport będziesz mógł odebrać w porcie tranzytowym, tam także dokonana zostanie odprawa celna...

— Hm... Pozwól, że się zastanowię — Rinah rozważał przez chwilę to, co usłyszał. — Czy będę mógł zobaczyć się z Zinią? O ile wiem, poleciała niedawno na Tartar.

Alvi uśmiechnął się domyślnie.

— Widzę, że... zaprzyjaźniliście się przez tych kilka dni?

— Widziałem ją zaledwie parę razy i to głównie na ekranie. — Rinah wzruszył ramionami. — Chyba przesada z tą przyjaźnią. Po prostu miała mi wyjaśnić kilka spraw dotyczących jej działalności zawodowej...

— Mogę cię ucieszyć. Będzie oczekiwała tam, na dole. Ma towarzyszyć ci podczas wycieczki. Pewnie zrobi z tego reportaż filmowy dla telewizji. To niezwykle temat: Ziemianin na Tartarze!

— Jeśli tak, to zgoda! — zdecydował Rinah.

— W porządku. Nie będę ci zatem dziś przeszkadzał, bo będziesz pewnie bardzo zajęty. Musisz przejrzeć swoje brudnopisy i nagrać na kasetach to, co chcesz stąd zabrać. Pisane teksty będziesz musiał zostawić na komorze celnej...

— Dlaczego?

— Kasety będą przesłuchane przez komputer, takie są przepisy. A pisanego nie ma tutaj kto czytać i sprawdzać. Urzędnicy celni nie są biegli w czytaniu. Pamiętaj więc: wszystko musi być nagrane na kasetach, w zrozumiałym języku... Przesłuchaj swoje zapisy i skasuj, co niepotrzebne — wyjaśnił Alvi, kładąc akcent na ostatnie słowo. — A jutro rano czekaj na mnie ze spakowaną walizką. Odprowadzę cię na pierwszy poziom, do terminalu.

Na twarzy Alwiego malowały się dość mieszane uczucia: trochę żalu, że tak szybko kończą się niezbyt uciążliwe obowiązki przewodnika, ale też i trochę ulgi. Widocznie polecono mu tak pokierować sprawą, by kłopotliwy gość z własnej woli jak najszybciej wyniósł się z Paradyzji.

„W każdym razie — pomyślał Rinah, gdy twarz Alwiego zniknęła z ekranu — znów udało mu się urwać na cały dzisiejszy dzień!”

Rozdział XX

„Trudno być poetą — pomyślał Nikor odkładając mikrofon i westchnął żalownie. — Skąd ja im wezmę trzy wiersze na miesiąc?”

W świecie, gdzie każdy na co dzień biegle posługiwał się pełną gamą poetyckich przenośni, aluzji i kwiecistych fraz dla ukrywania prostych myśli w gąszczu słów, trudno było wydumać coś naprawdę oryginalnego, zwłaszcza pod naciskiem nieubłaganej normy miesięcznej. Nie chcąc przy tym uchodzić za kretyna w oczach słuchaczy, wypadało mówić koalangiem tak, aby utwór gładko przeciekł poprzez sito komputerowej analizy przysparzając dodatnich punktów, i równocześnie zawierał dobrze ukryte treści przeznaczone dla inteligentnego odbiorcy.

Nikor przełuchał nagrany taśmę, potem przewinął do początku i skasował.

— Na nic! — warknął, wyłączając dyktafon.

Opadł na fotel, przymknął oczy i poruszając wargami, w myślach próbował od nowa sklecić strofy zaplanowanego utworu na temat radości i dumy, jaka rozpiera każdego Paradyzyjczyka na samą myśl o wspaniałości świata, w którym żyje.

Rozbolała go głowa, sięgnął więc do kieszeni po plastikową buteleczkę i wytrząsnąwszy na dłoń dwie tabletki, powłókł się w stronę łazienki, by popić je wodą. W ostatniej chwili spojrzał przypadkiem na tabletki.

— O, do licha... Zapomniałem o tym... — mruknął, szybko schował jedną z tabletek z powrotem do fiolki i wyjął inną.

Tajemnicza szara tabletka, niewiele różniąca się rozmiarami od zwykłego proszku od bólu głowy, wywołała z pamięci obraz ostatniego dnia pobytu na Tartarze.

Wtedy, w podnieceniu i euforii, nie zastanawiał się, co oznaczały słowa Blo-ma, wypowiedziane przy pożegnalnym uścisku dłoni.

— Zachowaj swój gniew — powiedział towarzysz z lochów Złotej Żyły, stary człowiek o łagodnym spojrzeniu zmęczonych oczu. — Nikt nie może ci go wydrzeć. Kiedyś złożymy razem części tego gniewu, rozproszone po segmentach i piętrach. Wielu stąd wraca, niosąc w sobie swój gniew — bezsilny, gdy osamotniony, lecz w sumie z innymi potężny i gorętszy niż tysiąc słońc...

Było w tych słowach coś niezrozumiałego i choć można je było rozumieć

dosłownie, Nikor próbował je teraz raz jeszcze na nowo przywołać jak najdokładniej z pamięci. Czyżby to był koalang? Nie przyszło mu to wówczas do głowy, na Tartarze mówiło się zwykłym językiem, tam nie sięgały uszy Systemu Zabezpieczeń...

Kiedy Blom puścił dłoń Nikora, pozostała w niej ta właśnie tabletką.

— Schowaj albo nawet połknij w razie potrzeby — dodał cicho Blom. — Przeleci przez przewód pokarmowy najdalej w ciągu doby, jest bardzo ciężka.

— Co to jest? — spytał wówczas Nikor, chowając tabletkę.

— To jedyny, ostatni środek, jaki można zaaplikować choremu światu — uśmiechnął się Blom. — Nie zgub, nie pokazuj nikomu. Oddasz temu, kto zapyta cię, czy masz lekarstwo na klaustrofobię.

Tabletka była rzeczywiście wyjątkowo ciężka. Blom nie wyjaśnił, czym jest i jak się u niego znalazła. Nikor wiedział tylko tyle, że Blom przybył do Złotej Żyły z innego miejsca pracy, z zakładu wzbogacania rud czy czegoś podobnego.

Nikor przypomniał sobie wówczas urmana o imieniu Lars, który dziesięć lat wcześniej demonstrował sztuczki z pestką podczas lotu w stanie nieważkości. Podobnie jak tamten pestkę, Nikor ukrył tabletkę pod językiem, gotów ją połknąć w razie zbyt szczegółowej kontroli. Obeszło się bez tego, strażnicy na kosmodromie nie bawili się w dokładne rewizje. Nikt spośród wracających górników nie mógł mieć przy sobie ani grama złota. Dbali o to codziennie ultradźwiękowe czujniki przy wyjściu ze sztolni.

„Ciekawe, co to jest?... — Nikor schował fiolkę do kieszeni. — Może kiedyś się dowiem...”

Połknął dwa proszki od bólu głowy i z obrzydzeniem włączył dyktafon. Głowę miał pełną wierszy, lecz żaden nie nadawał się do nagrania...

Rozdział XXI

— Witaj w innym świecie! — powiedziała Zinia wchodząc do betonowej komory, gdzie przed chwilą wprowadzono Rinaha.

Była dziwnie podniecona, napięta, brak jej było tej pewności siebie, którą demonstrowała w Paradyzji. Rinah czuł, że dziewczyna chce mu coś powiedzieć i równocześnie odwleka tę chwilę.

— Tutaj możemy normalnie rozmawiać! — powiedziała wskazując na ściany. — Ten beton jest ślepy i głuchy, nie ma tu żadnych pętli ani anten. To naprawdę inny świat.

— Nie ma tu także żadnych huraganów, trzęsień ziemi ani straszliwych kataklizmów — podjął tym samym tonem. — Są tylko paskudnie niebezpieczne kopalnie...

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

— Wiedziałeś? — wyjąkała.

— Domyślałem się.

— Miałeś rację — uśmiechnęła się. — Nie muszę ci tłumaczyć, co to oznacza.

Skinął głową i podsunął jej krzesło.

— Nie wiem tylko, gdzie jestem.

— To stara stacja oceanograficzna, niedaleko wybrzeża, na szelfie. Kilkanaście metrów pod wodą. Pewnie powiedzieli ci, że to jedno z nielicznych bezpiecznych miejsc na Tartarze.

— Tak powiedzieli. Sądzę jednak, że chodzi im o to, żebym stąd nie wyszedł i nie rozejrzał się po okolicy. Czy naprawdę nikt nas nie słyszy?

— Tu nie ma potrzeby kontrolowania słów. Jeśli ktoś znalazł się tutaj, nie ma znaczenia to, co mówi. Nikt nie spodziewa się, że będę z tobą rozmawiała o sprawach, których nie powinieneś znać. Oni sądzą, że trzymają mnie w ręce dostatecznie mocno... i mają do pewnego stopnia rację.

— Mówisz o władcach Tartaru?

— To raczej władcy Paradyzji, właściciele stu pięćdziesięciu milionów niewolników.

— Każde społeczeństwo ma taki los, na jaki zasłużyło — zauważył Rinah cierpko.

— Nie wiesz wszystkiego, nie rozumiesz... — powiedziała ze smutkiem. — Zbyt cynicznie do tego podchodzisz. Oni nie są sami sobie winni, jak przypuszczasz. To o wiele bardziej skomplikowane, niż się wydaje.

Można by pomyśleć, że ludność Paradyzji składa się w całości z tępych, otumanionych głupców, do których świadomości nie dociera nic z prawdy o świecie, w jakim żyją. Tak nie jest. Łatwo ulec grze pozorów, powszechnie panującej w świecie wszechstronnej kontroli słów i gestów.

Wśród Paradyzjczyków wyróżnić można kilka kategorii świadomości, choć trudno byłoby stwierdzić, jak liczna jest każda z nich. Na pewno bardzo wielu po prostu przyjmuje do wiadomości ten obraz świata, który jest im przedstawiany od dzieciństwa: Tartar jest dla nich groźną planetą nieustannej walki żywiołów. Wierzą oni, że praca tam, na dole, jest koniecznym ryzykiem, ponoszonym w interesie całej ludności Paradyzji przez tych, którzy zostaną tam skierowani. Wolą oni, oczywiście, by ryzyko to podejmowali za nich inni. Starają się więc, jak mogą, przestrzegać nakazów Prawa i nie popadać w strefę wartości wskaźnika SC, grożącą odkomenderowaniem na dół. Nie wszystkim się to udaje, bo Centrala dba o zapewnienie dostatecznej liczby pracowników dla kopalń Tartaru...

Dla tej kategorii ludzi wszelka myśl o niesubordynacji oznacza ryzyko utraty swego zwykłego miejsca w życiu Paradyzji, do którego przywykli jako do najlepszej z możliwych sytuacji.

Drugą kategorię stanowią ci, którzy domyślają się istnienia „lepszego świata”, których nie przekonują opowieści o okropnościach tartaryjskiej przyrody. Lecz i oni nie mają innego wyjścia oprócz milczącego podporządkowania się — tyle że trudniej im żyć z podejrzeniami i bez nadziei sprawdzenia ich słuszności...

Trzecią wreszcie kategorię stanowią ci nieliczni mieszkańcy Paradyzji, którzy — jak ja na przykład — znają prawdę o Tartarze. Istnienie tej grupy jest konieczne do prawidłowego działania całości układu Tartar — Paradyzja. Jesteśmy swego rodzaju kurierami, łącznikami dwóch rozłącznych, izolowanych światów, z których jeden nie wie o istnieniu drugiego, podczas gdy ten drugi całkowicie panuje nad pierwszym. Spełniamy naszą rolę, bacznie uważając, by jednym nierozważnym słowem nie zniweczyć swego szczęśliwego losu. Cenę milczenia płacimy za prawo krótkich pobytów w tamtym, prawdziwym, normalnym świecie ludzi wolnych, żyjących tak, jak powinni żyć wszyscy... Wiemy, że dla wszystkich nie starczyłoby jednak tego dobrobytu. Możemy z niego sporadycznie korzystać, dopóki nie popadniemy w niełaskę. Mamy do stracenia o wiele więcej niż zwyčajni mieszkańcy Paradyzji, a więc jeszcze mniej powodów do nierozważnych słów i prób buntu. Nie na wiele zresztą zdałyby się nasze słowa. Jeślibym nawet spróbowała przekazać coś z prawdy tym ludziom, korzystając z mojej pracy w telewizji, to po pierwsze: Centrala przerwie emisję po jednym zdaniu, po drugie:

oni nie uwierzą, a po trzecie: gdyby nawet uwierzyli, cóż mogą uczynić? Będą milczeli i udawali nadal, że są całkowicie przekonani o prawdziwości oficjalnej wersji ich świata. Nie mają innego wyjścia, żadnych perspektyw wydostania się ze swej orbitalnej pułapki... A ja zostałabym w takim przypadku potraktowana z całą surowością... W najlepszym razie skierowano by mnie tam, gdzie trzyma się urmanów.

Rinah słuchał z uwagą, pilnie obserwując twarz Zinii. Nie potrafił odgadnąć, czy usłyszane wyznanie jest prawdziwym odbiciem jej pełnej wiedzy o tajemnicach Tartaru.

Wszystko, co usłyszał, pasowało do jego domysłów, mieściło się w ogólnym modelu tego świata, wydedukowanym z ułamkowych, fragmentarycznych kawałków łamigłówek, które zdołał sobie poskładać w niepełny, świecący lukami obraz całości. W wypowiedzi Zinii i brakowało tylko potwierdzenia jednego, niezmiernie istotnego podejrzenia. To, co mówiła, odsłaniało pierwszą zasłonę, kryjącą znaczną część prawdy przed oczami zwykłych mieszkańców Paradyzji.

Potwierdzała istnienie „drugiego dna” tego świata... Wszystko to wyglądało na prawdę — lecz czy było całą prawdą?

— Dlaczego mówisz mi o tym? — spytał, gdy skończyła mówić. — Dlaczego narażasz się na ryzyko utraty swojej uprzywilejowanej pozycji?

Milczała długo, przechadzając się po pokoju, z oczami wzniesionymi ku górze, jakby chciała sprawdzić, czy i tutaj nie śledzą ich soczewki mikrokamer. Gdy wreszcie zatrzymała się przed Rinahem, dostrzegł w jej oczach błyski łez.

— Nie mogę już dłużej... — powiedziała ochryłym szeptem. — Nie potrafię pogodzić się z tą rzeczywistością... Nie dość, że nigdy nie zostanę przyjęta do ich świata, to jeszcze... w każdej chwili mogę utracić te chwile normalnego życia, którymi płacą mi za moją pogodną twarz na ekranie i moje kłamstwa, wygłaszane do milionów widzów. Jedna pomyłka, jedno nieopatrzne słowo może sprawić, że stracę wszystko...

Gdybym nie знаła całej prawdy, gdybym, jak wielu innych, wierzyła w jeden, wspólny dla wszystkich świat Paradyzji, gdybym nie wiedziała, że możliwy jest inny los człowieka, bez hermetycznej skorupy dzielącej go od otwartej, nieograniczonej przestrzeni... Gdybym nie widziała własnymi oczyma, nie dotykała dłońmi wilgotnych, żywych, zielonych liści, barwnych kwiatów, chłodnych kamyków omywanych nurtem strumienia... może umiałabym żyć jak inni, w pozbawionym wyjścia labiryncie szklanych pudełek... Oni, ci z Tartaru, wiedzą dobrze, że nikt z nas, łaskawie goszczonych tutaj, w ich świecie, nie zaryzykuje utraty tych okruszyn, które sypią nam z umiarem, byśmy zawsze chcieli tu powrócić...

— Dlaczego rozmawiasz o tym ze mną? — Rinah powtórzył swe pytanie. — Przecież oni dowiedzą się o naszej rozmowie, gdy na Ziemi ukaże się moja książka!

— To moja ostatnia, jedyna szansa... — odpowiedziała cicho. — Zaufałam

ci, powiedziałam wszystko... Teraz chcę prosić cię o coś. Wierzę, że postąpisz uczciwie... Proszę cię więc: nie pisz o tym, chyba że... potrafisz zabrać mnie stąd na Ziemię. Jeśli zostanę tutaj, nie korzystaj z moich informacji. Oni pozwolili na twój przyjazd na Tartar, bo są zupełnie pewni, że nie dowiesz się prawdy. Zależy im na tym, byś potwierdził wszystko, co oficjalnie wiadomo o tutejszych warunkach. Pokażą ci same straszne rzeczy... Jest tutaj parę wulkanów, trzęsienie ziemi także można spreparować, nie wiem, co jeszcze zainscenizują... Nie zobaczysz ich miast, ich domów, wspaniałych pałaców i ogrodów... Będą cię przekonywali, że żyją tutaj w ciągłym zagrożeniu, poświęcając się dla dobra społeczeństwa Paradyzji, kierując wydobywaniem i transportem surowców, obsługując systemy obronne... Zależy im na tym, abyś w to uwierzył i opisał to zgodnie z ich życzeniem. To ja przekonałam ich o propagandowych korzyściach wynikających z twojego przylotu na Tartar... po aferze z Larsem Benigiem, którego prawdopodobnie zlikwidowali albo wsadzili do urmanów, bojąc się, że wywiezie stąd zbyt wiele prawdziwych informacji... Musiał zobaczyć lub usłyszeć coś niepożądanego...

— Nie wiem, jak wyobrażasz sobie ucieczkę na Ziemię — powiedział Rinah, kręcąc z powątpiewaniem głową. — Ryzykujesz zbyt wiele. Nie masz żadnej gwarancji, że zachowam te wiadomości w tajemnicy, jeśli ty tutaj pozostaniesz. Nie podoba mi się to wszystko!

— Jak to? Co ci się nie podoba?! — spojrzała na niego, sztywniejąc nagle na środku pokoju.

— Wygląda mi to na prowokację — powiedział zimno. — Kazali ci opowiedzieć mi wszystko, dać dowody szczerości, zdobyć moje zaufanie...

Odwróciła się nagle plecami do Rinaha i podeszła do ściany.

— Po prostu — mówił dalej — oni chcą poznać moje cele i zamiary. Może myślą, że jestem szpiegiem. A w końcu złapią mnie na próbie przemycenia ciebie na nasz statek i nigdy już stąd nie wypuszczą. Czy tak?

Zinia stała w milczeniu, twarzą do ściany. Wstał, podszedł do niej i odwrócił ją ku sobie. Zasłoniła oczy dłońmi. Spomiędzy jej palców pociekły łzy.

— Dlaczego? — wyszeptała. — Dlaczego tak myślisz?

— Bo robią z tobą, co zechcą. Jesteś marionetką w ich rękach. Codziennie okłamujesz miliony ludzi, pomagając tym samym utrzymać ich w stanie ogłupienia i zniewolenia. Dlaczegożbyś nie miała i mnie oszukać na rozkaz twoich dobroczyńców? A poza tym nie powiedziałaś mi całej prawdy. Nie dali ci na to upoważnienia?

Odjęła dłonie od oczu i spojrzała mu prosto w twarz.

— Powiedziałam wszystko, co istotne!

— Gdzie znajduje się Paradyzja?

— Więc jednak jesteś szpiegiem! — wycodziła, ocierając oczy chusteczką.

— Nie jestem. Wiesz dobrze, o co pytam.

— Nie wiem, gdzie jest Paradyzja. Nie mamy szansy się dowiedzieć, nawet gdyby to miało być ceną mojego odlotu na Ziemię. Po prostu jest to niemożliwe. Parametry orbity znają tylko oni, i to zapewne nie wszyscy.

Rinah wahał się jeszcze. Być może, mówiła prawdę.

— Czy zawsze latasz z przesiadką w Porcie Tranzytowym? — spytał łagodnie.

— Zawsze.

— Nigdy nie korzystałaś z bezpośredniego połączenia?

— Nie ma takich lotów... To znaczy... bezpośrednio latają tylko specjalne transportowce, wożące pracowników na Tartar... Ale my latamy promami pasażerskimi.

„Mało prawdopodobne, lecz możliwe — pomyślał. — Może naprawdę nie wie...”

— Więc twierdzisz, że niektórzy Paradyzyjczycy domyślają się tego, co ty wiesz o Tartarze. Czy jest wielu takich?

— Tego nie można wiedzieć. Nikt nie dzieli się takimi podejrzeniami. Ci, którzy są nieostrożni, przestają mieszkać w Paradyzji. Reszta nie wie, nie domyśla się albo milczy... W ten sposób powstaje wrażenie, że wszyscy wierzą w wersję oficjalną.

— Dobrze... — Rinah spojrzał w oczy Zinii. — Zaryzykuję i ja także. Spróbuję ci zaufać. Obiecuję też, że nie wykorzystam informacji ze szkodą dla ciebie. Powiedz mi jednakże, jak tłumaczysz sobie motywy Cortazara i jego współników? Dlaczego, wiedząc, że Tartar nadaje się do osiedlenia, budowali Paradyzję?

— To proste — uśmiechnęła się. — Chcieli panować nad masą ludzką, mieć pod ciągłą kontrolą i obserwacją każdego z osobna. Tutaj, na Tartarze, wszyscy osadnicy rozbiegliby się po planecie i któż zmusiłby ich do ciężkiej, niebezpiecznej pracy? Któż zgodziłby się harować na pałace i ogrody przywódców, na komfort ich życia? Musieliby zadowolić się tym, co mieliby wszyscy inni. Zbudowali więc daleko, w bezpiecznej odległości, zbiornik rezerwowej siły roboczej. Stworzyli sytuację, w której Paradyzyjczycy boją się głębiej odetchnąć, by nie spowodować katastrofy... Poza tym wywołali groźbę interwencji Ziemi, dodatkowy element strachu. Dzięki temu są tutaj bezpieczni: nikt się nie zbuntuje, nie zrobi rewolty, nikt nie zobaczy nawet, jak żyją. To orbitujące więzienie jest najlepszym z ich pomysłów.

— Tyle że bardzo kosztownym — wtrącił Rinah. — Budowa, wyposażenie, dostarczanie wszystkiego na orbitę...

— Ziemia pokryła wszystkie koszty, płacąc za rudę.

— Na ich miejscu zaoszczędziłbym na tym przedsięwzięciu. Czy nie pomyślałaś nigdy, że... do osiągnięcia wszystkich celów, którym służy sztuczna planeta zwana Paradyzja, ona sama nie jest potrzebna?

— Nie rozumiem cię.

— Wystarczy mit!
— Mit o czym?
— Mit o jej istnieniu. Czy nie pomyślałaś nigdy, że Paradyzji po prostu nie ma?

— Co to znaczy? — patrzyła na niego zdumionymi oczyma, jakby szukając na jego twarzy, ironicznego uśmiechu, który upewniłby ją, że to tylko żart.

Rinah mówił jednak zupełnie poważnie.

— Myślisz, że jesteś uprzywilejowana w tym świecie, znając jego tajemnicę, przenikając wzrokiem poprzez pozory, poprzez fałszywy obraz kryjący tę resztę, niedostępną świadomości ogółu. Twoja wiedza nie wyczerpuje jednak całości tajemnicy. D r u g i e d n o tego świata, które uważasz za kraniec, ostatnią granicę fałszerstwa, jakiego się dopuszczono, kryje za sobą następne, t r z e c i e, jeszcze głębsze. Paradyzji takiej, jaką przedstawiają kolorowe prospekty i schematy w waszych publikacjach rozsyłanych do innych ośrodków cywilizacji ludzkiej, po prostu nigdy nie było. Czy widziałas ją kiedykolwiek od z e w n ą t r z? Czy wiesz, gdzie się naprawdę znajduje? Nie wiesz, bo nie wolno ci dowiedzieć się o tym nigdy. Jak wszystkimi, którzy zamieszkują ten nie istniejący obiekt kosmiczny, nie wolno ci mieć wątpliwości dotyczących jego istnienia. Pracujesz dla telewizji, a jednak... czy byłaś kiedykolwiek w Siódmym Segmencie, gdzie ponoć znajduje się centrum telewizyjne?

— No... nie! Studio, gdzie nagrywam moje audycje, znajduje się w Pierwszym Segmencie. Uważałam zawsze tę jego lokalizację za bardzo dogodną, bliską mojego mieszkania...

— A tymczasem Siódmego Segmentu w ogóle nie ma!

— To niemożliwe! — zaprotestowała. — Przecież... nie może brakować żadnego segmentu w zamkniętym, wirującym pierścieniu...

— Masz rację, lecz wciąż zakładasz, że istnieje zamknięty pierścień z dwunastu segmentów, że wiruje on wokół swej osi...

— Przecież sztuczne ciążenie jest w Paradyzji faktem... — powiedziała i urwała nagle.

— Zanim ci coś wyjaśnię, posłuchaj tego nagrania. Jest to opowiadanie fantastyczne, powstałe dziesięć lat temu. Ostatnie dziesięć lat autor spędził w kopalniach Tartaru. Posłuchaj i zastanów się, dlaczego Centrala wołała wybić mu z głowy jego zmyślane, fantastyczne wizje. Przekonany jestem, że, jak to bywa z utworami naukowej fantastyki, autor zupełnie nieświadomie zbliżył się na niebezpieczną odległość do prawdy o realnej rzeczywistości, i to stało się przyczyną jego kłopotów!

Rinah włączył dyktafon.

„Nikor Orley Huxwell. Nowy, równie Wspaniały, ale o ileż tańszy Świat. Opo-

wiadanie fantastyczno-naukowe.

Przewodniczący Rady Technicznej sztucznej planety Edenia spojrział na Naczelnego Geologa.

— Czy naprawdę jest aż tak źle?

— Jest jeszcze gorzej. Na Hadesie nie ma już prawie takich złóż, które można by eksploatować bez poważnych inwestycji. Wydobywanie spada, ludzie pracują w trudnych i niebezpiecznych warunkach. Nie stać nas na zwiększenie produkcji, bo nie ma pieniędzy na nowoczesne urządzenia. . .

— A więc błędne koło. . . — Przewodniczący pokiwał ze smutkiem głosem. — Cóż możemy począć w tej sytuacji?

— Trzeba ograniczyć wydatki na systemy zabezpieczeń — powiedział Geolog.

— To jedyny sposób, by poratować nasze finanse, chociaż nie będzie to trwałe rozwiązanie naszych problemów.

— W żadnym wypadku! — Szef Zabezpieczeń zerwał się ze swego miejsca. — Nie możemy dopuścić, by wrogowie wykorzystali nasze trudności. . .

— Przepraszam! — Geolog spojrział wrogo na Szefa Zabezpieczeń. — Jeszcze nie skończyłem. Chciałem zauważyć, że bez eksportu surowców nie będziesz miał swoich rakiet i komputerów.

— Koledzy, koledzy! — Przewodniczący przywołał do porządku, przekrzykujących się specjalistów. — Musimy coś postanowić. Czasu mamy niewiele. . .

— W ogóle nie mamy czasu! — wtrącił się Naczelnny Inżynier Planety. — Zmniejszenie funduszu remontowego spowodowało nieodwracalne ubytki konstrukcji nośnej. . .

— Trzeba zmniejszyć obroty! — burknął Szef Zabezpieczeń. — Ludzie to zniosą, a konstrukcję się odciążą.

— Nie zgadzam się! — zaprotestował Naczelnny Lekarz. — Obroty już i tak są zbyt małe, ciążenie jest za słabe. Ludzie nie mogą żyć stale przy tak niskiej grawitacji. To źle wpływa na układ kostno-mięśniowy i odbija się na wydajności pracy po przeniesieniu w normalne pole grawitacyjne Hadesu.

— Błędne koło. . . — mruczał pod nosem Przewodniczący.

— Nie ma innej rady, koledzy. . . Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Nasza planeta nie wytrzyma następnych dwudziestu lat. Ani mechanicznie, ani gospodarczo. . . — powiedział Naczelnny Inżynier. — Musimy ewakuować Edenie przed upływem tego terminu.

— To niemożliwe! Przecież, w tej sytuacji finansowej, nie zbudujemy nowej sztucznej planety, nawet najprymitywniejszej! — Przewodniczący rozłożył ręce w dramatycznym geście bezradności.

— A przecież obiecywaliśmy ludziom nowy, wygodniejszy świat, więcej przestrzeni życiowej. . . — powiedział Główny Socjolog. Upłynęło sto trzydzieści lat, ludzie są zmęczeni. . . Czy wyobrażacie sobie, jak zareagują, gdy się dowiedzą, że ich świat się wali, a nowego nie widać?

— Nie mogą się o tym dowiedzieć! — wykrzyknął Szef Zabezpieczeń. — Muszą być przekonani, że wciąż zmierzamy w wytyczonym kierunku. Inaczej w ogóle zwątpią generalnie w słuszność idei sztucznej planety!

— Widzę tylko jedno wyjście — powiedział Główny Astrofizyk. — Dwadzieścia lat, to wystarczająco długi okres, by dotrzeć do układu Omikrona...

— To znaczy?... — Szef Zabezpieczeń spojrzał podejrzliwie na Astrofizyka. — Mamy zostawić to wszystko i uciec?

— Przeciwnie. Musimy to wszystko zabrać ze sobą — wyjaśnił Astrofizyk. — Trzeba natychmiast zaprzestać wydatków na cokolwiek poza dwiema rzeczami: zaopatrzeniem na czas podróży i skonstruowaniem napadu dla Edenii.

— Całej Edenii?

— Tak, razem ze wszystkim, co zawiera. Musimy ją przetransportować do układu Omikrona. Na czwartej planecie tego układu istnieją dobre warunki ekologiczne.

— Jak to? Zaprzestać dotacji na Ochronę? — zaperzył się Szef Zabezpieczeń.

— Kiedy porzucimy planetę Hades z jej wyeksploatowanymi w znacznym stopniu złożami mineralnymi, nikt nie będzie chciał nam już niczego odebrać, kolego generale — wyjaśnił ze złośliwym uśmiechem Geolog.

— Cóż więc dalej? — ponaglało kilku spośród Rady.

Po prostu musimy doczepić człony napędowe do naszej Edenii i dopchać ją na orbitę Czwartą Omikrona. Przez cały czas podróży utrzymany będzie jej obrót własny, dzięki czemu warunki ciążenia wewnątrz planety nie ulegną zmianie. Racje żywnościowe będą ograniczone, wodę i powietrze będziemy regenerować jak dotychczas, ale po piętnastu czy dwudziestu latach znajdziemy się u celu. A potem osiedlimy naszych obywateli na Czwartej Omikrona.

— Przecież tam nie ma tak bogatych złóż, jak na Hadesie! — zauważył Geolog.

— Za to są znakomite warunki dla roślin, hodowli zwierząt... — wtrącił się Biolog. — Któż powiedział, że nasi ludzie muszą wciąż pracować pod ziemią? Przystawimy się na rolnictwo, wyżywimy wszystkich i jeszcze będziemy mogli eksportować trochę żywności do innych układów. A jeśli chodzi o surowce, to i tam także jest ich trochę. Na nasze potrzeby wystarczy. Zyskamy tyle, że nikt nie będzie chciał nam niczego wydrzeć. Planeta do tej pory jest bezpieczna i czeka na osadników. Poza tym odpadnie wiele problemów, z którymi borykamy się obecnie: zagrożenie wewnętrzne i zewnętrzne, problemy konserwacji...

— Zaraz, zaraz! — Szef Zabezpieczeń poderwał się ze swego miejsca. — Jak to tak? Wy p u ś c i m y ludzi na powierzchnię planety? Zamiast dać im obiecwaną od stu trzydziestu lat Nową, Wspaniałą Sztuczną Planetę, puścimy ich samopas na dziką, nie zagospodarowaną planetę n a t u r a l n ą?

— Oni tego nie przeżyją! — poparł go Socjolog. — Oni nie potrafią się przestawić na taki tryb życia! To będzie już siódme pokolenie wychowane w sztucznej

planecie! Zbyt wielki będzie szok, lęk przestrzeni... A my, tracąc nad nimi kontrolę, nie będziemy w stanie w niczym im pomóc, pokierować...

— No i sprawa najważniejsza: idea Sztucznej Planety jako Najślusznieszego Rozwiązania! — kontynuował Szef Zabezpieczeń. — Co z naszą naczelną ideą? Mamy ją porzucić tak od razu? Cóż oni pomyślą? Ze wszystko od początku było błędem? Ze niepotrzebnie wszyscy od sześciu pokoleń trwali w świecie będącym wynikiem błędu? Całą winą obarczą nas, chociaż to nie my wymyśliliśmy Najśluszniesze Rozwiązanie przed stu trzydziestu laty!

— Innego wyjścia nie widzę! — podkreślił z naciskiem Astrofizyk. — Kolega Inżynier mówi, że za dwadzieścia lat Edenia zacznie się rozsypywać. Nie ma funduszków na budowę Nowej Wspaniałej Edenii... Na Hadesie żyć się nie da, wiemy o tym dobrze. Cóż pozostaje, jeśli odrzucimy myśl o przeniesieniu naszego społeczeństwa w naturalny świat Czwartej Omikrona? Ludzie zginą wraz z rozpadającą się, przerdzewiałą sztuczną planetą!

— Ale za to nikt nie będzie musiał przyznawać się do odpowiedzialności za bezmyślne kontynuowanie błędów naszych przodków — mruknął Geolog, patrząc na Szefa Zabezpieczeń. — Zginiemy z poczuciem wierności raz obranemu kierunkowi...

— Nie, ja protestuję! — Szef Zabezpieczeń znów zerwał się z miejsca. — Ja nie będę odpowiadał za czyny ludzi rozpuszczonych wolno po naturalnej planecie. Nie wyobrażam sobie systemu kontroli w tych warunkach.

— Ależ... kontrola nie będzie potrzebna! — zwrócił uwagę Astrofizyk.

— Jak to: niepotrzebna? Ja bez kontroli nie podejmuję się utrzymać porządku! Ja nie będę odpowiadał...

— Podaś się do dymisji — powiedział Geolog.

— Co? O, nie. Moja funkcja jest dożywotnia! — obruszył się Zabezpieczeniowiec. — To mój zawód.

— Koledzy, koledzy! — Przewodniczący postukał w blat stołu. — Odbiegliśmy od meritum. Muszę przyznać, że plan Głównego Astrofizyka budzi moje zainteresowanie. Jego realizacja wydaje się możliwa, jeśli przystąpimy do tego od razu, dopóki jeszcze zostało trochę surowców na Hadesie, które jesteśmy w stanie wydobyć. Uzyskane z eksportu środki trzeba by w całości przeznaczyć na przygotowania do operacji przeniesienia Edenii do układu Omikrona.

— Zgłaszam votum separatum! — wykrzyknął Szef Zabezpieczeń wychodząc z sali obrad.

Socjolog pospieszył w milczeniu za nim.

— Stoimy w obliczu decyzji, która ma zaważyć na losie pokoleń! — powiedział z patosem Astrofizyk. — Musimy ją podjąć, bo nie ma żadnej innej rozsądnej propozycji...

— Cały problem w tym, że taką decyzję musielibyśmy podjąć jednomyślnie — zasępił się Przewodniczący. — Wszyscy Główni Specjaliści muszą być zgodni co

do jej słuszności. Niech no ktoś pójdzie i zawoła tamtych dwóch. Trzeba z nimi porozmawiać, zbliżyć jakoś stanowiska, znaleźć kompromis.

— Z technicznego punktu widzenia nie zgłaszam sprzeciwów — powiedział Inżynier. — Edenia wytrzyma przyspieszenie, jeśli oczywiście nie będziemy zwlekać latami z rozpoczęciem podróży.

— Trzeba by tylko skalkulować koszty... — zafrasował się Główny Księgowy.

Szef Zabezpieczeń i Główny Socjolog wrócili na salę. Wyglądało na to, że przemyśleli problem i są skłonni do rzeczowej dyskusji.

— Dobrze! — powiedział Szef Zabezpieczeń, stając przed Przewodniczącym. — Mamy do zaproponowania rozwiązanie pośrednie. Takie, które zapobiegnie katastrofie, a równocześnie nie zrukuje naszego wypracowywanego od lat porządku społecznego i tradycji historycznych, nie spowoduje zamętu w umysłach ludzkich...

— Słuchamy! — zachęcił go Przewodniczący.

— Otóż, po konsultacji z Głównym Socjologiem, doszliśmy do wniosku, że w zasadzie można będzie przetransportować Edenie na orbitę Czwartej Omi-krona. Ale zanim ludność ją opuści, na powierzchni planety naturalnej zbudujemy Nową Edenie. Będzie to zamknięta budowla, w której wnętrzu ludzie znajdą wszystko to, czego oczekiwali i mieli obiecywane: większy metraż na osobę, lepsze wyposażenie wnętrza... Jednym słowem, wywiążemy się z naszych obietnic i tym samym wykazemy słuszność idei, która przyświeca nam od tylu lat. Zbudowanie Nowej Edenii jako lekkiej konstrukcji budowlanej — na przykład w formie niskich i rozległych blaszanych baraków — będzie kosztowało o wiele taniej, niż budowa sztucznej planety na orbicie. Koszty eksploatacji też będą niższe. Wewnątrz zaś wszystko pozostanie tak, jak dotychczas w starej Edenii.

Kiedy Nowa Edenia będzie gotowa, przeniesiemy do niej ludność z orbitującej starej Edenii... ale tak, by ludzie myśleli, że Nowe Edenia jest prawdziwą Sztuczną Planetą...

— ...podczas gdy ona będzie sztuczną Sztuczną Planetą! — odpowiedział geolog. — Co za idiotyzm! Po co to wszystko?

— Po to, żeby uniknąć szoku nagłej zmiany, bałaganu, rozchwiania, umysłów... Po to także, by dopełnić naszego dzieła, wywiązać się z obietnic...

— Sądzisz, że ludzie dadzą się na to nabrać? Jak w tej sytuacji rozwiążesz sprawę pracy na roli? Sądzisz, że ludzie nie poznają prawdy? — wyraził swe wątpliwości Biolog.

— Ludzie zamknięci w Nowej Edenii nie będą mieli możliwości stwierdzenia faktu, że ich świat, zamiast orbitować, spoczywa na powierzchni Czwartej Planety Omikrona — ciągnął Szef Zabezpieczeń. — Powie się im, że na planecie, no... coś się tam wymyśli, jakieś zagrożenia, niebezpieczeństwa... W każdym razie coś, co uniemożliwia jej zasiedlenie na stałe. A tych, którzy będą pracowali na planecie, będzie się dowodzić w taki sposób, by byli przekonani, że podróżując z orbity na

planetę i na odwrót... Uwierzą łatwo, bo do tego samego przywykli na naszej starej Edenii...

— No dobrze... — Przewodniczący zamyślił się na chwilę. — Wprawdzie niezupełnie zgadzam się z argumentacją kolegi Zabezpiezeniowca, ale on jest specjalistą od ochrony społeczeństwa i ma tutaj ostatnie słowo... Więc muszę się zgodzić... Jedno tylko mnie niepokoi. Ktoś przecież będzie musiał budować tę Nową Edenie. Ci ludzie będą wiedzieli, czym jest ona naprawdę i gdzie się znajduje... Poza tym, ktoś będzie przecież musiał koordynować prace na Czwartej Omikrona...

— Rzecz jasna, grupa wtajemniczonych zamieszka poza Nową Edenią, to się rozumie samo przez się — pospieszył z wyjaśnieniem Socjolog. — Będzie to oczywiście jedną z Tajemnic Stanu, podobnie jak kilka innych szczegółów. To nieuniknione w podobnej sytuacji...

— Tak. To jest minimum naszych żądań, jeśli chodzi o modyfikację planów kolegi Astrofizyka. Żadnych ustępstw nie przewidują — powiedział twardo Szef Zabezpieczeń. — Nie może być mowy o dawaniu ludziom swobody rozłazenia się po planecie. Nie umieliby z niej korzystać i zapewne pozabijaliby się zaraz nawzajem! A poza tym, kto by się podjął zmusić ich do solidnej pracy?

Wobec tak zdecydowanego stanowiska Szefa Zabezpieczeń, popieranego przez Głównego. Socjologa, Rada Sztucznej Planety Edenia przyjęła jednogłośnie projekt Głównego Astrofizyka wraz ze zgłoszonymi poprawkami."

— Zabawne, prawda? — powiedział Rinah cierpko, wyjmując kasetę z dyktafonu. — Żartobliwa prognoza dotycząca sztucznego świata, podobnego do Paradyzji. Dlaczego autora spotkały z jej powodu tak poważne... przykrości? On sam prawdopodobnie sądzi, że zaważyły tu sugestie na temat żalosego stanu technicznego i gospodarczego, które mogły być poczytane za aluzję do paradyzyjskiej rzeczywistości... Końcową wizję autor potraktował zapewne, jako groteskowy żart. Tymczasem to właśnie w owym zakończeniu, w jego mniemaniu absurdalnym, Huxwell otarł się niebezpiecznie o prawdę, ukrytą i starannie strzeżoną przed ogółem mieszkańców Paradyzji.

— Więc Paradyzja... nie jest sztuczną planetą? — wyszeptała Zinia, jakby obawiając się wypowiedzieć tej myśli nawet tutaj, wobec głuchych ścian podwodnego bunkra.

— Paradyzja jest szeregiem kontenerów, sprowadzonych na powierzchnię Tartaru sto lat temu, zanim jeszcze obudzono hibernowanych osadników. Kontenery spoczywają jeden obok drugiego, stykając się bocznymi powierzchniami. Nie może być Siódmego Segmentu, zamykającego pierścień, bo nie ma pierścienia. A siła ciężkości wewnątrz segmentów jest po prostu grawitacją planety Tartar, a nie siłą odśrodkową pochodzącą z obrotu. Gdyby zegary w Paradyzji odmierzały równe

minuty, oraz gdyby w paradyzyjskich szkołach nauczano prawdziwej, nie sfałszowanej mechaniki teoretycznej, każdy bystry uczeń potrafiłby zdemaskować mistyfikację. Musiałby jednak w tym celu mieć możliwość swobodnego poruszania się przynajmniej w ramach jednego segmentu oraz wykonywania prostych doświadczeń...

— Jak to się stało, że nikt dotychczas nie wykrył tego oszustwa? — westchnęła Zinia, bezsilnie opadając na krzesło.

— Sama dobrze wiesz, jak funkcjonuje wasz świat. Może wielu próbowało, może nawet niejeden wykazał to sam sobie... Ale tych którzy choćby słowem czy gestem próbowali przekazać te wiadomości innym, czekał nieuchronny cios ze strony Systemu Zabezpieczeń, broniącego nie mieszkańców Paradyzji, lecz tych, co zamknęli ludzi w jej wnętrzu. System chroni Tartaryjczyków przed gniewem i zemstą więźniów Paradyzji... Wasz Cortazar był naprawdę genialnym łotrem... Uwięził całe społeczeństwo, pozbawiając wiele pokoleń prawa do normalnego życia i normalnego świata znajdującego się tuż obok, za warstwami metalu, kłamstwa i strachu przed wyimaginowanym niebezpieczeństwem...

— ...a dzieci po dziś dzień śpiewają pieśni na jego cześć — powiedziała Zinia, patrząc nieobecny wzrokiem w szary beton ściany. — Kto ośmieli się otworzyć tę puszkę Pandory?

— Na pewno nie zrobią tego ludzie, którzy stworzyli sobie na Tartarze swój mały, lecz wygodny świat, istniejący dzięki wysiłkowi milionów niewolników. A tylko ktoś z zewnątrz mógłby to uczynić.

— Nie potrafię być Pandorą — uśmiechnęła się smutno. — Nie otworzę jej...

— Zdaje się, że puszkę pełną plag i nieszczęść, podarowaną w posagu Pandorze, otworzył jej mąż, Epimeteusz... — powiedział Rinah. — Znajdź ochotnika do tej roli. Ale najpierw musiałabyś odnaleźć miejsce na Tartarze gdzie leżą kontenery. To nie może być daleko stąd.

— Cóż z tego, nawet gdybym je odnalazła. Nikt tutaj nie podejmie nigdy decyzji uwolnienia tych ludzi. Pandora i jej mąż pierwsi padli ofiarą swego nierozważnego czynu. Potem plagi spadły na pozostałych. Ileż nieświadomionej jeszcze nienawiści drzemać musi w tych starych kontenerach... Może kiedyś ciśnienie tej nienawiści, obudzonej nagle, zniszczy metalowe ściany...

— Myślę, że prędzej dokona tego rdza... Długie dziesięciolecia upłyną, a może nawet następne sto lat, nim się to stanie — westchnął Rinah. — W każdym razie ja nie widzę sposobu... Ludzie, zamknięci wewnątrz tego więzienia, nie zdają podjąć żadnych wspólnych działań. Zbyt dalece zostali uwikłani, zbyt szczelnie osaczeni. Każdego ranka mogą przebudzić się w swym więzieniu podzielonym na małe, jedno czy dwuosobowe, zamknięte celki. Jedyne, co mogą, to tłuc głową o ściany, przejrzyste lub nie, w zależności od życzenia komputerowych strażników,

— A wystarczyłby jeden wyłom, jedna dziura w skorupie, by wszystko to

wykipiało nagle, wylało się, rozplynęło ludzką falą po tej pięknej planecie...

— Być może... — odrzekł Rinah w zamyśleniu. — Boję się jednak, że nie ma takiej siły... Powłoki kosmicznych kontenerów są wciąż jeszcze zbyt mocne i odporne.

Długo milczeli oboje, każde na swój sposób szukając beznadziejnie wśród gonitwy szalonych myśli jednej choćby, skutecznej recepty na uratowanie świata, ginącego pod brzemieniem stuletniej warstwy kłamstwa.

Rozdział XXII

Rinah patrzył na odległe wierzchołki stożkowatych wzgórz, z których co chwila tryskały w niebo strumienie ognia i dymu. W powietrzu czuło się zapach tlenków siarki, grunt wibrował od dalekich erupcji.

— Nieźle zrobione! — mruknął nad uchem Zinii, gdy towarzyszący im młody pilot śmigłowca oddalił się nieco wzdłuż grzbietu pagórka, na którym stali. — To wszystko specjalnie dla mnie?

Skinęła głową, spoglądając w stronę pilota, który był najwyraźniej znudzony swą rolą.

— Podobnie jak pokaz trąby powietrznej, który obserwowaliśmy na płaskowyżu, jak trzęsienie dna morskiego i wszystko, co widziałeś.

— Niezły cyrk... — powiedział na wpół do siebie. — Nic dziwnego, że tak niechętnie goszczą tu Ziemian. Taki pokaz musi sporo kosztować...

— Wszystko się opłaca, gdy chodzi o efekt propagandowy — uśmiechnęła się smutno. — Ciekawa jestem, co też napiszesz o tym w swojej relacji...

— Nie mogę przecież pomagać im w tworzeniu fałszywego obrazu, w dowodzeniu ich twierdzeń na temat Tartaru! Nic nie napiszę. Chyba, że... ty sama...

Spojrzała na, niego ze smutkiem.

— To nie ma szans... ani sensu — potrząsnęła głową. — Najpierw myślałam o tym serio, ale teraz widzę wyraźnie, że nie ma sposobu na wyrwanie się z tego świata. Zwłaszcza tacy jak ja nie mogą opuszczać tego układu. Tartaryjczycy mają zbyt wiele do ukrycia, by mogli pozwolić sobie na poważniejsze przecieki informacyjne.

— Mnie jednak wpuścili...

— I cóż z tego? Czy masz jakieś dowody na poparcie swoich rewelacji? Ziemska opinia publiczna ma zapewne nie najlepsze zdanie o stosunkach panujących w Paradyzji, ale w całą prawdę nikt na słowo nie uwierzy. Po prostu pewne rzeczy nie zmieszczą się w głowie Ziemianina, przywykłego do skrajnie odmiennych warunków istnienia. Dopiero ktoś stąd, i to niejeden, mógłby zostać uznany za wiarygodnego świadka i oskarżyciela. Dlatego nie- można liczyć na żaden błąd, żadną lukę w szczelnym murze dzielącym nasze światy. Ty dostałeś się tutaj jedy-

na, pilnie strzeżoną furtką. . .

— Myślałem nad czymś w rodzaju porwania, kiedy będziemy oboje w porcie tranzytowym. Mógłbym wziąć cię jako zakładniczkę, grożąc czymkolwiek twojemu życiu i żądając, aby przepuścili nas razem na nasz statek. . .

— Fantasta! — roześmiała się tak głośno, że pilot spojrzał z daleka w ich kierunku. — Musiałbyś mnie chyba naprawdę zabić. . . To oni sami prędzej zabiliby nas oboje, niż zgodzili się wypuścić razem poza strefę tranzytową. . . Obawiam się, że nawet gdyby nam się udało znaleźć na statku, nie pozwoliliby, aby odleciał, choćby musieli go w całości zniszczyć. Nie znasz ich mentalności. Są bezwzględni, gdy chodzi o ich własny interes i bezpieczeństwo.

Patrzyli znów przez chwilę na zainscenizowaną działalność wulkaniczną, mającą przekonać Ziemianina o okropnościach tartaryjskiej przyrody.

— Zresztą. . . Kiedy myślałam o ucieczce, nie miałam pojęcia, jak naprawdę wygląda sytuacja Paradyzji. Wiesz, nie uczono mnie zbyt dokładnie elementarnej fizyki, sama nie umiałabym sprawdzić faktów, o których mi powiedziałeś. Teraz myślę, że wielu Paradyzyjczyków zna prawdę lub przynajmniej czegoś się domyśla, lecz trudno im wymieniać poglądy na ten temat i rozpowszechniać prawdę wśród innych. Zresztą sama wiedza nic tu nie pomoże. . .

— Wystarczyłaby jedna porządna dziura w powłoce. . . Taka, żeby nie dało się jej ukryć przed mieszkańcami segmentu. Ale tego nie da się zrobić od wewnątrz, brak odpowiednich środków. . .

— Dlatego. . . postanowiłam zrezygnować z próby ucieczki — powiedziała Zinia cicho. — Ja bywam i tutaj, i tam, w środku. . . Mam dostęp do studia telewizji. Mogę się do czegoś przydać. . .

Ścisnęła mocno dłonią jego ramię i ruszyli razem w kierunku śmigłowca. Po chwili, gdy znaleźli się już w zamkniętej, pozbawionej okien kabinie pasażerskiej, Zinia spojrzała w oczy Rinaha i powiedziała:

— Byłam z tobą szczerą, więc bądź dla mnie. . . wyrozumiały. Ja wiem, że tu chodzi o miliony ludzi, ale. . . nie poświęcaj mnie jednej, by im pomóc. Nie ujawniaj tego, czego dowiedziałeś się wyłącznie ode mnie. Proszę cię o to. Ufam, że mnie nie skrzywdzisz.

— Nie wiem jeszcze, czy w ogóle będę pisał. . . Ale mogę ci obiecać, że dla bezpieczeństwa przedstawię cię jako piękną, ale za to zupełnie nierozgarniętą idiotkę, przekonaną o tym, że wasz świat ma jedno tylko dno, uczciwe, prawdziwe i widoczne gołym okiem. . .

— Czy nie przesadzasz? — spojrzała mu z bliska w oczy, przechylając na bok głowę.

— Z urodą czy z inteligencją? — spytał bezczelnie, lecz dziewczyna miała poczucie humoru.

— O urodzie możesz nie wspominać, obroni się sama — powiedziała. — Ale, jeśli łaska, nie rób ze mnie idiotki.

— Pod jednym warunkiem: że mi wyjaśnisz, dlaczego niektórzy Paradyzyjczycy spacerują, czasem tyłem do przodu?

Roześmiała się szczerze. Jej twarz, pozbawiona nerwowego napięcia, wydała się Rinahowi ładniejsza niż kiedykolwiek.

„Bez wątpienia, porwałbym ją stąd, gdyby to miało jakąś szansą powodzenia — pomyślał. — Dla niej samej, palicho wszystkie inne względy i cele!”

— Chodzenie tyłem — wyjaśniła Zinia — to dość popularny trik stosowany w Paradyzji, gdy się chce powiedzieć kilka niebezpiecznych zdań bez używania koalangu. Sposób ten jest możliwy do zastosowania w miejscach użyteczności publicznej, gdzie w obrębie pętli indukcyjnej, to znaczy w jednym pomieszczeniu, może znajdować się wiele osób równocześnie, które rozmawiają, wchodzi, wychodzą, spacerują i tak dalej. Mikrofony byłyby w takiej sytuacji mało efektywne, komputer miałby trudności z analizą ogólnego gwaru, rozkładaniem go na pojedyncze głosy i przypisywaniem wypowiedzi poszczególnym osobom. W takich pomieszczeniach stosuje się specjalne kamery, śledzące t w a r z e poszczególnych osób. Komputer analizuje obraz i odczytuje słowa z r u c h u w a r g. Jeśli są to słowa niedozwolone, kamera wykonuje zdjęcie mówiącej osoby dla jej identyfikacji. Nie wnikając w szczegóły, można powiedzieć, że podczas chodzenia tyłem kamery ulegają dezorientacji: włącza się ta, w kierunku której zbliża się mówiąca osoba. A zatem widzi tył głowy mówiącego, zamiast jego twarzy... System, chociaż niezwykle skomplikowany, rozbudowany i kosztowny, jest w gruncie rzeczy bezmyślny, działa mechanicznie. Dzięki temu pozwala się czasem podejść najprostszymi sposobami...

Rozdział XXIII

Rinah zakończył swą relację. W kabinie dowódcy frachtowca zaległo długie milczenie.

— Zdumiewająca jest ich bierność wobec własnego losu — powiedział dowódca w zamyśleniu. — Przecież wielu z nich musi znać prawdę!

— Są bezradni wobec nieustannej kontroli informacji. Prawie każdy coś wie lub czegoś się domyśla, lecz boi się o tym rozmawiać z innymi — powiedział Rinah. — Nauczają ich bardzo okrojonej, wręcz sfałszowanej mechaniki teoretycznej, sprowadzonej w pewnych zagadnieniach do ujęć quasi-statystycznych: nie rozpatrując efektów ruchu, a jedynie stany ustalone. Tym sposobem wyeliminowano pojęcie siły Coriolisa, która powinna występować w układzie wirującym. Siła ta, będąca iloczynem wektora prędkości kątowej układu i wektora prędkości liniowej obiektu w tym układzie, powinna powodować efekty fizyczne, według których można odróżnić sztuczną grawitację od prawdziwej. Uniemożliwiając wykonywanie najprostszych doświadczeń, System Zabezpieczeń nie pozwala przekonać się, że we wnętrzu Paradyzji wahadło porusza się tak samo na każdym piętrze, przedmioty spadają bez odchylenia od pionu, i tak dalej...

Wystarczyłby zresztą dynamometr, by przekonać się, że ciało waży tyle samo na pierwszym, co na ostatnim piętrze. Dlatego zabronione są wszelkie sprężynki, gumki, zegarki i wszystko, co mogłoby posłużyć do prostych eksperymentów, a także swobodna zmiana piętra. Zresztą wobec braku elementarnych wiadomości teoretycznych mało kogo zdziwiłby brak pewnych zjawisk, które powinny występować w układzie wirującym. Konsekwencja, z jaką ukrywa się przed ludźmi rzeczywistą postać ich świata, jest zdumiewająca. Ludzie, którzy często podróżują na Tartar i z powrotem — jeśli nie są zaliczeni do elity wtajemniczonych — odbywają zupełnie niepotrzebne podróże kosmiczne z przesiadką na Stacji Tranzytowej, by nie odkryć wreszcie przypadkiem faktu, że Paradyzja leży prawie obok tartaryjskiego miasta władców. Ludzi, którzy raz czy dwa razy w życiu trafiają do prac na Tartarze, przewozi się tam w sposób, który w innych okolicznościach mógłby być nazwany zabawnym. Otóż pakuje się ich prawdopodobnie do amfibii albo do poduszkowca, który następnie ostro startuje, by po pewnym czasie zatrzymać się

łagodnie i stać przez wiele godzin bez ruchu, co dla zamkniętych wewnątrz niego ludzi, przykrępowanych ciasno do foteli, ma oznaczać lot orbitalny w stanie nieważkości. Sugestia jest tak silna, że ulega jej prawie każdy — chyba że jest uprzedzony lub nastawi się na sprawdzenie tego stanu, jak to zrobił Lars Benig, ukrywając w ustach pestkę, która zdemaskowała rzekomą nieważkość...

— Nawet gdyby wiedzieli, że przebicie skorupy zewnętrznej nie spowoduje zagłady, lecz wyzwolenie, pewnie nie znaleźliby środków, by to uczynić — zauważył Tibor. — Każda próba zbiorowego działania może być w jednej chwili udaremniona przez podział zbiorowości na jednostki lub małe grupki uwięzione w zamykanych automatycznie pokojach...

— A jeśli to nie wystarczy — dodał Rinah — można jeszcze wpuścić gaz usypiający do kanałów wentylacyjnych i ostatecznie wszystkich uspokoić. Nie ma tam zresztą możliwości działań zbiorowych, bo każdy przede wszystkim dba o wysokość własnego wskaźnika SC. Każdy, kto ma większy wskaźnik, jest potencjalnym przeciwnikiem, bo na Tartar, tak czy owak, musi polecieć określona liczba pracowników, tych z mniejszym wskaźnikiem...

— Najgorsze jest to, że nic nie można dla nich zrobić — powiedział dowódca z goryczą. — Ci z tartaryjskiego miasta zaprzeczą wszelkim zarzutom, nie wpuszczą żadnej komisji do zbadania sprawy... Można by ich tylko zniszczyć, ale zdążyli rozbudować taki system obronny, że... nie wystarczyłoby całej naszej floty międzyplanetarnej, by im zagrozić...

— A do tego jeszcze — dodał Rinah — uderzenie w miasto musiałoby zagrozić także Paradyzji, leżącej nie opodal. Jest tylko jedna nadzieja: korozja powłoki. W wilgotnej, bogatej w tlen atmosferze skorupy starych kontenerów muszą się wreszcie rozsypać...

— To może trwać jeszcze ze sto lat! — dowódca pokiwał smętnie głową.

— Sto lat... — powtórzył Rinah cicho. — A potem...? Cóż nowego wymyślą ich wszechmocni władcy?

Załoga rozchodziła się na swoje stanowiska. Żółty sygnał gotowości błyskał we wszystkich kabinach. Odlatywali pełni współczucia dla mieszkańców Paradyzji, lecz świadomi beznadziejności ich sytuacji.

Ponury, pesymistyczny nastrój towarzyszący ludziom na pokładzie „Reginy Vacui” podczas ich powrotnego lotu uległby zapewne znacznej poprawie, gdyby mogli oni wiedzieć o szarej tabletce Nikora Huxwella oraz o wielu identycznych, poukrywanych w kieszeniach niektórych innych mieszkańców fałszywej „sztucznej planety”.

Liczba tabletek wciąż rosła i rosła — w miarę jak wzrastała liczba robotników mających za sobą lata spędzone w kopalniach, przetwórnich rud, zakładach produkcji paliw jądrowych oraz w innych, rujnujących zdrowie i niebezpiecznych miejscach niewolniczej pracy na Tartarze.

Małe te tabletki, każda z osobna, nie mają żadnego praktycznego zastosowa-

nia. Jednakże kiedyś, gdy ich liczba odpowiednio wzrośnie, zgromadzone razem i umiejętnie użyte, zdolne będą powypalać w skorupach starych kosmicznych kontenerów takie dziury, jakich nikomu już i nigdy nie uda się załatać. . .

Warszawa 1981–1982